

ROGER ZELAZNY

# UMRZEĆ W ITALBARZE

(Przełożył : Jerzy Śmigiel)

## 1.

Nocą, którą wybrał kilka miesięcy temu, Malacar Miles przeszedł ulicę oznaczoną cyfrą siedem i minął ciemną lampę jarzeniową, którą uszkodził jeszcze w ciągu dnia.

Wszystkie trzy księżycy Blanchen znajdowały się poniżej horyzontu. Niebo było zachmurzone, a kilka widocznych gwiazd migotało słabo i niewyraźnie.

Obrzucił uważnym spojrzeniem oba wyloty ulicy, pociągnął głęboko z inhalatora płucnego i ruszył do przodu. Ubrany był w czarny kombinezon z kieszeniami, z których te naprzódzie posiadały uszczelnienia. Klepnął się po bokach, upewniając się, że to, czego potrzebuje, znajduje się na swoim miejscu. Całe ciało poczercił już trzy dni temu, tak więc, poruszając się pośród głębokich cieni, był prawie niewidoczny.

Na szczycie budynku po drugiej stronie ulicy przycupnął nieruchomo Shind - niekształtna kula futra, spod której wystawały jedynie dwie stopy.

Nim podszedł do Wejścia Pracowniczego Cztery, zlokalizował na durrilidowej ścianie trzy punkty kluczowe i wyłączył ich urządzenia alarmowe bez przerywania obwodów. Otwarcie drzwi przy Wejściu Cztery zajęło mu trochę więcej czasu, lecz już po piętnastu minutach stał we wnętrzu budynku. Panowała tutaj całkowita ciemność.

Nasunął na oczy gogle, zapalił specjalną latarkę i ruszył do przodu, mijając mroczne nawy, wypełnione częściami maszyn, które za każdym razem wyglądały tak samo. Przez ubiegłe miesiące ćwiczył rozmontowywanie i ponowne składanie poszczególnych części tych urządzeń.

*- Przed frontem budynku przechodzi właśnie strażnik. To człowiek.*

*- Dzięki, Shind.*

Po chwili doszedł go kolejny przekaz:

*- Skręca w ulicę, z której przyszedłeś.*

*- Zawiadom mnie, jeżeli zrobi cokolwiek, co wyda ci się podejrzan.*

*- Po prostu idzie, oświetlając latarką strefy cienia.*

*- Powiedz mi, jeżeli zatrzyma się w miejscu, w którym uprzednio przystanęłam.*

*- Minął już pierwsze takie miejsce.*

*- Dobrze.*

*- Przeszedł obok drugiego.*

*- Cudownie.*

Malacar podniósł pokrywę jednej z maszyn i wyjął z niej komponent o rozmiarach dwu złączonych pięści.

*- Zatrzymał się przy wejściu. Sprawdza drzwi.*

Element, który wyjął z kieszeni, był bliźniaczo podobny do usuniętej przed chwilą części. Rozpoczął montaż, robiąc przerwę jedynie po to, by odetchnąć powietrzem z inhalatora.

*- Odchodzi.*

*- Dobrze.*

Po zakończeniu montażu umieścił pokrywę na miejscu i dokręcił ją.

*- Powiedz, kiedy zniknie ci z oczu.*

*- Zrobię to.*

Zawrócił do Wejścia Pracowniczego Cztery.

*- Odszedł.*

Malacar Miles zatrzymał się przy punktach kluczowych, by zatrzeć wszelkie ślady swojej wizyty, a potem wyszedł.

Trzy bloki dalej przystanął na skrzyżowaniu i szybko rozejrzał się w obie strony. Nagły błysk czerwieni na niebie zapowiadał przybycie kolejnego transportowca. Nie mógł iść dalej.

Blanchen nie było zwyczajnym światem. Tak długo, jak Malacar pozostawał w obrębie dwudziestu czterech bloków, nie uaktywniając żadnych urządzeń alarmowych w pozbawionych okien budynkach, był względnie bezpieczny. Każdy kompleks obchodziło jednak kilku strażników, a patrole składające się z samobieżnych robotów czuwały nad większymi obszarami. Z tego właśnie powodu wolał pozostawać w cieniu. Kiedy tylko mógł, unikał zamontowanych na każdym budynku lamp jarzeniowych - punktów orientacyjnych dla lecących nisko patrolowców.

Skrzyżowanie było puste i ciche. Zawrócił w głąb kompleksu i ruszył na wyznaczone miejsce spotkania.

*- Po prawej, dwa bloki przed tobą. Pojazd naprawczy. Skręca za róg. Idź w prawo.*

*- Dzięki.*

Kierując się sugestią, skrzywił, starając się zapamiętać nową trasę.

*- Pojazd oddala się.*

*- Znakomicie.*

Umknął uwadze strażnika, cofnął się za budynek, powrócił na starą trasę i minął trzy bloki. Zamarł nagle, słysząc w górze odgłos silnika przelatującej nisko maszyny.

*- Gdzie ona jest?*

*- Zostań tam, gdzie jesteś. W tej chwili pozostajesz poza zasięgiem ich wzroku.*

*- Co to za pojazd?*

*- Niewielki ślizgacz. Nadleciał szybko z północy. Teraz zwalnia. Zawisł nad ulicą, którą przed chwilą przechodziłeś.*

- *Boże!*

- *Obniża się.*

Malacar spojrział na widniejące na lewym nadgarstku chrono i westchnął. Przesunął dłonią po wybrzuszeniach ukrytej w kieszeniach kombinezonu broni.

- *Wylądował.*

Czekał.

Po chwili dobiegł go kolejny przekaz:

- *Z pojazdu wysiadło dwóch mężczyzn. Wygląda na to, że wewnątrz nie ma nikogo więcej. Jeden ze strażników idzie w ich kierunku.*

- *Skąd wyszedł? Z budynku?*

- *Nie. Z przeciwnej ulicy. Strażnicy sprawiają wrażenie, jakby na niego czekali. Teraz rozmawiają. Jeden z nich wzrusza ramionami.*

Czując, jak bije mu serce, Malacar zmusił się do kontroli oddechu. Nie mógł dopuścić, by w niezwyklej atmosferze Blanchen jego płuca pracowały ze zwiększonym wysiłkiem. Sięgnął po inhalator i przez chwilę wdychał życiodajną mgłę. Nad nim niebo przecięły dwa transportowce - jeden kierował się na północ, drugi na południowy wschód.

- *Dwóch mężczyzn ponownie wsiada do pojazdu.*

- *Co ze strażnikiem?*

- *Stoi po prostu w miejscu i obserwuje.*

Czekał nieruchomo przez dwadzieścia trzy uderzenia serca.

- *Pojazd zaczyna się bardzo powoli podnosić. Teraz zaczyna dryfować w stronę frontu budynku.*

Pomimo nocnego chłodu, Malacar poczuł, jak po gęstych, ciemnych brwiach zaczyna ściekać pot. Otarł go wierzchem dłoni.

- *Pojazd wisi nieruchomo. Widzę jakąś aktywność. Nie mogę jednak dostrzec, co robią. Jest zbyt ciemno. Poczekaj! Już widzę. Wymieniają uszkodzoną przez ciebie lampę. Teraz pojazd unosi się w górę. Strażnik macha ku niemu ręką. Pojazd oddala się w kierunku, z którego przybył.*

Ciałem Malacara wstrząsnął krótki wybuch śmiechu.

Po chwili ponownie rozpoczął powolną wędrówkę w stronę miejsca spotkania, które wybrał niezwykle rozważnie, ponieważ Blanchen nie było zwyczajnym światem.

Sieci inwigilacji przestrzennej rozciągały się ponad budynkami na różnych wysokościach. Stanowiły dodatek do strażników i systemów alarmowych. Poprzedniego wieczoru jego schodzący w dół pojazd zablokował je skutecznie. Istniała spora szansa, iż w chwili startu uda mu się tego dokonać ponownie. Spojrział na chrono i przytknął do ust inhalator. W przeciwieństwie do

pracujących na planecie strażników, techników i robotników, nie zawracał sobie głowy adaptacją do panujących na Blanchen warunków.

Pozostało około czterdziestu minut...

Blanchen nie miało oceanów, jezior, rzek czy strumieni. Na powierzchni nie pozostał żaden ślad życia. Jedyną pozostałość stanowiła atmosfera, która wskazywała, że kiedyś mogło się tu coś rozwijać. Dopiero wysłanie wynajętego eksploratora planet zmieniło to niekorzystne wrażenie. Okazało się, iż planeta zdalna jest do życia. Jednak plan adaptacyjny zarzucony został z dwóch powodów: wysokich kosztów i propozycji alternatywnej w stosunku do kolonizacji. Wytwórcy i właściciele środków transportu stwierdzili, że olbrzymie obszary lądu i doskonale konserwująca wszystko atmosfera stanowią idealne warunki, by całą planetę przekształcić w olbrzymi skład towarowy. Zaproponowali pierwszym odkrywcom pełne partnerstwo w przedsięwzięciu, zastrzegając sobie prawo do zagospodarowania planety. Warunki te zaakceptowano i gigantyczne prace ruszyły.

Teraz Blanchen przypominało durrylidową pomarańczę. Dookoła planety bez chwili przerwy krążyły tysiące międzygwiazdnych frachtowców, pomiędzy którymi przemykały setki tysięcy doków ładowniczych, zapewniając planecie stały transport. Trzy księżycy Blanchen służyły jako centra kontroli ruchu i ośrodki wypoczynkowe. W zależności od zapotrzebowania poszczególnych światów na towary, doki, obszary lub centra mogły być wykorzystywane bez chwili przerwy. Załoga naziemna przrzucona bywała z obszaru do obszaru zgodnie z wymogami aktywności. Płace były niezłe, a warunki bytowe porównywalne do panujących w kompleksach wojskowych.

Pomimo ogromnych kosztów, związanych z transportem do oddalonych o lata świetlne planet, koncepcja przyjęła się. Niewielkie ilości towarów mogły pozostawać bezpiecznie w czeluściach magazynów przez lata, nawet wieki. Budynek, w którym złożył wizytę Malacar, stał spokojnie przez przeszło dwa ziemskie miesiące. Wiedząc o tym, nie spodziewał się większych kłopotów.

Biorąc pod uwagę przeciążone centra kontroli ruchu oraz monitory i systemy zapobiegawcze wbudowane w jego osobisty statek - Perseusz, nie uważał, opuszczając DYNAB i udając się na terytorium Zjednoczonych Lig, do Blanchen, by wystawiał się na poważniejsze ryzyko. Gdyby go znaleźli i zabili, udowodniłoby to jedynie jego błąd. Gdyby go odnaleźli i pojmali, nie mieliby innego wyjścia, jak odesłać go do domu. Lecz przedtem prawdopodobnie nafaszerowali - by go narkotykami i zmusili, by powiedział o wszystkim, co zrobił. Potem mogliby pokrzyżować jego plany.

Lecz jeżeli go nie odnajdą...

Wydał kilka stłumionych chichotów.

...Ptak powinien dziobnąć jeszcze raz, chwytając jeszcze jednego małego robaka.

Po spojrzeniu na chrono zorientował się, że zostało mu około dwudziestu minut.

- *Gdzie jesteś, Shind?*

- *Nad tobą. Obserwuję.*

- *To wreszcie powinno być dobre, Shind.*

- *Chyba tak, wnioskując ze sposobu, w jaki to opisałeś.*

W górze mignęły światła trzech transportowców, kierujących się na wschód. Malacar nie spuszczał z nich wzroku, dopóki nie rozplynęły się w ciemnościach.

- *Jest pan zmęczony, komandorze - powiedział Shind, niespodziewanie powracając do zarzuconego wcześniej, formalnego tonu.*

- *Wyczerpanie nerwowe. To wszystko, poruczniku. A co u was?*

- *Chyba odczuwam coś podobnego. Jednak moim głównym zmartwieniem jest troska o brata...*

- *Jest bezpieczny.*

- *Wiem. Nie będzie jednak pamiętał o naszych zapewnieniach. Będzie wzrastał w samotności, a potem zacznie się martwić. Nie stanie mu się większa krzywda. Już wkrótce zostaniemy złączeni.*

Na to nie uzyskał odpowiedzi. Malacar podniósł do nosa inhalator i czekał.

Z półdrzemki (jak długo trwała?) wyrwał go przekaz:

- *Zbliża się! Teraz! Zbliża się!*

Napreżył mięśnie i uśmiechając się spojrzał w górę. Wiedział, że za kilka chwil nie będzie już w stanie zobaczyć tego, co oczy Shinda zdążyły już dostrzec.

Statek opadł niczym groźny pająk. Przez chwilę, kiedy Shind wchodził na pokład, zawisł tuż nad nim, a potem opuścił się niżej, wysuwając podnośnik. Złapawszy się uchwyty, podniesiony został w stronę luku w kadłubie Perseusza, mijając po drodze namalowaną własnoręcznie głowę Meduzy z uśmiechem Mony Lizy.

Nim zamknął się za nim właz, splunął na budynek leżący poniżej.

W drodze do Italbar Heidel von Hymack był świadkiem śmierci towarzyszących mu ludzi. Było ich dziewięciu - sami ochotnicy. Wyruszyli wraz z nim, by towarzyszyć mu poprzez deszczowe lasy Cleech do górskiego miasta Italbar, gdzie go oczekiwano. Początkowo zamierzał dostać się do oddalonego o tysiące mil od kosmoportu miasta wynajętą taksówką powietrzną. Zmuszony do awaryjnego lądowania, opowiedział o celu swej podróży wieśniakom z River Bart,

którzy wyszli mu na spotkanie. Z dziewięciu, którzy, pomimo jego protestów, wyruszyli razem z nim pozostało jedynie pięciu. Teraz jeden z tej piątki zaczął się pocić, a drugim wstrząsały okresowe ataki kaszlu.

Heidel z wysiłkiem kontynuował przedzieranie się poprzez gęste poszycie, które porastało cały szlak. Mokra od potu koszula lepiała się do pleców. "Ostrzegąłem ich przecież, że wędrowanie ze mną może być dla nich niebezpieczne" - pomyślał gorzko.

Oni jednak słyszeli już o nim. Wiedzieli, że jest świętym człowiekiem, udającym się z misjami miłosierdzia.

- To ostatnie jest prawdą - powiedział. - Lecz towarzyszenie mojej osobie nie będzie policzone wam jako zasługa w życiu przyszłym.

Roześmieli się. Będzie przecież kogoś potrzebował, by ochraniał go przed zwierzętami i pokazywał szlak.

- Śmieszne! Wskażcie mi tylko właściwy kierunek, a dotrę tam bez niczyjej pomocy - odparł. - W moim towarzystwie grozi wam większe niebezpieczeństwo, niż gdybyście szli samotnie.

Oni jednak roześmieli się ponownie i odmówili pokazania drogi, dopóki nie zgodzi się zabrać ich ze sobą.

- Przebywanie ze mną przez zbyt długi czas może być dla was śmiertelne - zaprotestował.

Pozostali nieugięci.

Westchnął z rezygnacją.

- Dobrze więc. Wskażcie mi miejsce, gdzie przez dzień lub dwa będę mógł pozostać w całkowitym osamotnieniu. Będzie to strata cennego czasu, którego w tej chwili nie mam zbyt wiele. Jeżeli jednak uparliście się, by wyruszyć wraz ze mną, muszę zrobić wszystko, by spróbować was ochronić.

Zrobili to, o co ich prosił, rozprawiając z ożywieniem o oczekującej ich wielkiej przygodzie. Heidel von Hymack najwidoczniej miał zamiar się pomodlić, by zapewnić bezpieczeństwo podróży i sukces w dotarciu do celu.

Powiedzieli mu, że wędrowka zajmie dwa lub trzy dni. Spróbował zmusić się więc do katharsis, by być gotowym. W Italbar umierało dziecko, a on odmierzał minuty, przeliczając je na jego oddech.

Błękitna Dama nakazała mu cierpliwość, lecz on nie mógł już dłużej czekać. Wyruszył po piętnastu godzinach i to był błąd.

Gorączka pierwszych dwóch jego towarzyszy przyszła niezauważalnie. Spowodowana była zmęczeniem i panującym w lasach upałem. Umarli drugiego dnia po południu. Nie był w stanie

zidentyfikować choroby, na którą zapadli. Było ich zbyt wiele. A zresztą, nie starał się dochodzić tego zbyt usilnie. Gdy człowiek już nie żyje, to pytanie, co właściwie było tego przyczyną, jest czysto akademickiej natury. Nagłąc do pośpiechu, odmówił nawet krótkiej ceremonii pogrzebowej, na którą nalegali. Lecz następnego ranka nie obudziło się kolejnych dwóch i pomagając kopać groby, kłął we wszystkich znanych sobie językach.

Rozbawieni - bo za takich ich do tej pory uważał - utracili już chęć do śmiechu i nabrali powagi. Na każdy dźwięk ich rubinowe oczy rozszerzały się ze zgrozy, a sześciopalczaste dłonie drżały lub zaciskały się w pięści. Wreszcie zaczęli rozumieć. Było jednak za późno.

Szli już dwa lub trzy dni... Trzeciego Heidel w dalszym ciągu nie dostrzegł żadnych wzniesień.

- Glay, gdzie są te góry? - zapytał pokasłującego. - Gdzie jest Italbar?

Glay wzruszył ramionami i wskazał przed siebie.

Z miejsca, w którym się znajdowali, gigantyczne, żółte słońce było zupełnie niewidoczne. Jego promienie gdzieś tam przebijały się przez liście o kształcie rozgwiazd, zaś tam, gdzie nie docierały nigdy, panowały wilgoć i pleśń. W poprzek traktu przemykały małe zwierzęta lub duże insekty - sam nie wiedział, co - i znikwały wśród gęstego poszycia. Duże stwory, przed którymi go ostrzegano, jak do tej pory nie pojawiły się, choć słyszał w oddali ich warknięcia i poszczekiwanie. Raz nawet miał wrażenie, że tuż obok przedziera się coś dużego.

Smuciła go ironia sytuacji, w jakiej się znalazł. Przybył, by uratować życie, a tymczasem wysiłek ten kosztował już cztery istnienia.

- Miałaś rację, Pani - mruknął, rozmyślając o swej wizji.

Godzinę później Glay, wstrząsany atakiem kaszlu, runął bezwładnie na ziemię. Jego oliwkowa do tej pory karnacja przybrała niezdrowy kolor otaczających ich liści. Heidel podszedł bliżej. Rozpoznał symptomy. Gdyby miał kilka dni na przygotowania, mógłby uratować tego człowieka. Nie udało mu się to z tamtą czwórką, ponieważ jego katharsis nie zostało jeszcze zakończone. Brakowało mu niezbędnej równowagi. Po śmierci pierwszych dwu był już pewien, że cała dziewiątka umrze w stosunkowo krótkim czasie. Ukląkł i ułożył Glaya w bardziej wygodnej pozycji, opierając jego tułów o pień drzewa. Zerknął na chrono. "Od dziesięciu minut do godziny - pomyślał. - Nie więcej".

Westchnął i zapalił cygaro. Smakowało okropnie. Porastające Cleech grzyby najwidoczniej nie miały nic przeciwko nikotynie. Pleśń, która pokrywała cygaro, płonęła intensywnym płomieniem i wydzielała ostry, gryzący dym.

Poczuł na swej twarzy spojrzenie Glaya. We wzroku leżącego mężczyzny nie było jednak cienia wyrzutu. Zamiast tego uśmiechnął się lekko i powiedział:



- Heidel, dziękujemy ci, że mogliśmy dzielić to z tobą.

Otarł mu zroszone potem czoło. Pół godziny później Glay już nie żył.

Podczas pogrzebu z uwagą studiował twarze pozostałej czwórki. Na wszystkich malował się ten sam wyraz poważnego skupienia. Wyruszyli z nim w tę podróż głównie dla kawału. Potem sytuacja zmieniła się, a oni wydawali się to akceptować. Jednak nie była to sprawa zwykłej rezygnacji. Przeciwnie - ich ciemne twarze promieniały szczęściem. Niemniej jednak był pewny, że wiedzieli, iż umrą przed dotarciem do Italbar.

Tak jak każdy człowiek, doceniał szlachetne poświęcenie. Lecz daremna śmierć... I to właściwie bez powodu. Był przekonany - a oni z pewnością wiedzieli o tym także - iż nawet idąc samotnie, dotarłby do Italbar. Nie dokonali właściwie niczego, służyli mu jedynie za towarzystwo. Jak do tej pory, nie natrafili na ani jedną drapieżną bestię, a sam szlak, kiedy już się na nim znalazł, okazał się stosunkowo prosty... Szkoda, że nie jest już zwykłym geologiem jak niegdyś...

Dwóch następnych zmarło po krótkiej przerwie na posiłek. Szczęśliwie była to gorączka bagienna, nieznaną dotąd na Cleech. Powodowała nagłą zapaść serca, wykrzywiając twarze ofiar w dziwnym uśmiechu. Po śmierci oczy obu mężczyzn pozostały otwarte. Heidel własnoręcznie zamknął im powieki.

Zakrzętnęli się ponownie przy pochówku i Heidel bez zdziwienia spostrzegł, że pozostała przy życiu dwójka kopie cztery groby. Po zakończeniu pracy usiadł i czekał razem z nimi. Nie musiał czekać długo.

Uklepawszy ziemię, zarzucił worek na plecy i ruszył w dalszą drogę. Nie oglądał się, lecz wizja czterech kopczyków świeżej ziemi tkwiła mu uparcie przed oczyma. Oczywista, ponura analogia narzucała się sama. Całe jego życie było szlakiem poznaczonym setkami, nie, prawdopodobnie tysiącami grobów istot, które pozostawił za sobą. Pod wpływem jego dotyku umierali ludzie. Jego oddech wyludniał miasta. A tam, gdzie padał jego cień, czasami nie pozostawało nic.

Mimo że znano go i rozpoznawano jedynie pod pierwszą literą nazwiska - H, o co sam zadbał, miał jednak moc przezwyciężania chorób. Teraz także było to powodem, dla którego nieustępliwie parł do przodu.

Chociaż było już dobrze po południu, wydawało się przejaśniać. Rozglądając się dookoła, szybko odkrył przyczyny takiego stanu rzeczy. Drzewa stawały się coraz mniejsze, a wolne przestrzenie pomiędzy liśćmi coraz szersze. Promienie słońca ożywiały znacznie większe obszary, na których rosły kwiaty - czerwone i purpurowe, mieniące się złotem i żółcią. Dalsza droga stawała się coraz bardziej stroma, choć krępująca stopy trawa rosła tutaj zaledwie do kostek.

Dwieście metrów dalej szlak stawał się już doskonale widoczny i klarowny. Żywe

sklepienie ponad nim otworzyło się nagle szeroką szczeliną i po raz pierwszy dostrzegł czyste, bladozielone niebo. Dziesięć minut później wyszedł na otwartą przestrzeń i spoglądając do tyłu, widział kołyszące się morze konarów, pod którymi nie tak dawno przechodził. Trakt jął piąć się w górę. Pół mili dalej widać było coś, co wyglądało na szczyt pokonywanego przez niego wzniesienia. Przepływały nad nim leniwie szare, postrzępione chmury.

Po dotarciu na szczyt zorientował się, że pozostał mu do pokonania ostatni odcinek drogi, który stanowiła stosunkowo płytka kotlina, a potem długie podejście pod górę. Zrobił krótki odpoczynek, w czasie którego pokrzepił się skromnym posiłkiem i wodą, a potem ruszył w dalszą drogę.

Przechodząc obok drzewa, ściał gałąź i podpierając się nią niby laską, bez większych trudności osiągnął przeciwległy brzeg kotliny.

Gdy rozpoczął ostatni etap wspinaczki, zaczęło się ściemniać. Na skórze poczuł pierwsze ukąszenie wieczornego chłodu. W połowie drogi na szczyt zaczęło mu już brakować tchu, a mięśnie nóg, zmęczone kilkudniowym wysiłkiem, dawały o sobie znać ostrym bólem. Lecz gdy obejrzał się do tyłu, spostrzegł jedynie szczyty drzew falujące niczym morze pod ciemniejącym szybko niebem. W górze kołowało kilka ptaków.

W miarę zbliżania się do szczytu przerwy na odpoczynek stawały się coraz dłuższe. Wkrótce zobaczył pierwsze gwiazdy.

Gdy stanął wreszcie na szerokiej perci, która stanowiła szczyt tego szarego, skalistego łańcucha, dookoła panowała już noc. Cleech nie posiadała księżyca, ale olbrzymie gwiazdy świeciły z siłą zamkniętego w kryształach płomienia. W tle połyskiwały miliony mniejszych gwiazd, niczym porozrzucane na czarnym futrze diamenty. Nocne niebo nad Cleech stanowiło przepiękny widok.

Pomknął wzrokiem przed siebie i dojrzał światła, światła i jeszcze raz światła. Ciemne formy, które zobaczył, mogły być jedynie budynkami, domami i pojazdami w ruchu. Za dwie godziny, jak obliczył, będzie mógł spacerować po tych ulicach, mijając po drodze pogodnych mieszkańców spokojnego Italbar. Będzie mógł wstąpić do gospody na ciepły posiłek i jakiegoś drinka, przysłuchując się przyjacielskim pogawędkom współbiedników. Lecz już po chwili powrócił do pozostawionych na szlaku grobów i odwrócił wzrok. Jeszcze nie teraz. Jednak wizja takiego właśnie Italbar miała go już nie opuszczać do końca życia.

Poniżej szczytu znalazł płaskie miejsce, na którym rozłożył śpiwór. Przygotowując się do tego, co miało nastąpić, zmusił się, by zjeść i wypić tyle, ile żołądek zdołał przyjąć.

Przyciął włosy i brodę, rozebrał się, włożył ubranie do worka i wsunął się do śpiwora.

Rozluźnił się, wyciągając swe prawie sześciostopowe ciało na całą długość. Ramiona

przycisnął silnie do boków. Zagryzł zęby, spojrzął na migocące w górze gwiazdy i zamknął oczy.

Po chwili rysy jego twarzy wyostrzyły się, a dolna szczęka opadła. Głowa oparła się o lewy bark. Oddech pogłębił się i zwolnił. Puls na chwilę zatrzymał się, a potem zaczął bić wolno i regularnie.

Gdy szarpnął głową w prawo, twarz sprawiała wrażenie, jakby naciągnięto na nią doskonale dopasowaną, gumową maskę. Potem zaczęła ciemnieć. Początkowo stała się czerwona, a następnie ciemnopurpurowa. Oddech wyrывał się z płuc w krótkich, bolesnych paroksyzmach. Z kącika szeroko otwartych ust wypływać zaczęła ślina, obrzmiały język był czarny.

Przez ciało przebiegł krótki skurcz. Dygocąc, zwinął się w kłębek. Powieki dwukrotnie podniosły się i opadły. Na ustach pojawiła się piana. Z nosa trysnęła krew, barwiąc na czerwono wąsy i zasychając na brodzie. Chwilami mamrotał coś bez sensu. Potem jego ciało na długą chwilę zeszywniało, rozluźniło się i pozostało nieruchome aż do następnego ataku.

Zewsząd otaczała go błękitna mgła. Miał wrażenie, iż kroczy w tumanach śniegu dziesięciokroć lżejszego od tego, który znał. Miękkie linie mgły falowały, rwały się i krzyżowały. Nie było tu ani ciepło, ani zimno. W górze nie widać było żadnych gwiazd, jedynie błękitny księżyc, wiszący nieruchomo w świetle wiecznego świtu. Po jego lewej stronie rosły rzędy róż w kolorze indygo, po prawej wznosiły się błękitne skały.

Minąwszy je, napotkał wiodące w górę schody. Początkowo wąskie, w miarę pokonywania stopni stawały się coraz szersze, aż w końcu po obu stronach niknęły we mgle.

Wspinał się w górę błękitnej nicości.

Niespodziewanie znalazł się w ogrodzie.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widniały kwiaty i krzewy w najsubtelniejszych odcieniach błękitu. Po ścianach pięły się pnącza dzikiej winorośli - choć były zbyt gęste, by stwierdzić z całą pewnością, że są to rzeczywiście ściany - a kamienne ławy sprawiały wrażenie porzrzucanych w pozornym nieładzie.

Tutaj także wolno dryfowały drżące pasemka mgły. Spomiędzy winorośli dobiegał go świergot niewidocznych ptaków.

Ruszył do przodu, mijając porozmieszczane w regularnych odstępach kamienne bloki, które błyszcząły niby polerowany kwarc. Ponad nimi unosiły się roje olbrzymich, niebieskich motyli, przyciąganych najwyraźniej przez świetlne refleksy.

Daleko przed sobą ujrzął mglisty, niewyobrażalny w swym ogromie kształt. Była to postać kobiety na poły ukrytej w bezmiarze błękitnej pustki. Jej falujące, czarnobłękitne włosy sięgały najdalszych horyzontów; oczy, których nie widział, a jedynie czuł, wydawały się patrzeć na niego ze wszystkich kierunków. Jej emanacja stanowiła odbicie świata. Nagle doświadczył wrażenia

nieprawdopodobnej wręcz potęgi i spokoju.

Gdy postąpił krok bliżej, postać zniknęła. Pozostało jedynie wrażenie jej obecności.

Dostrzegł letni domek, usytuowany za kępą rozłożystych krzewów.

W miarę zbliżania się ku niemu, światło stopniowo bladło. Po wejściu do środka ogarnął go dojmujący żal, iż nigdy nie będzie w stanie spojrzeć jej prosto w twarz, ogarnąć wzrokiem pełnię jej formy.

- Heidel von Hymack - dobiegły doń słowa. Wypowiedziane były cichym szeptem, który wydawał się rozbrzmiewać dookoła niego.

- Pani...

- Nie posłuchałeś mego ostrzeżenia. Wyruszyłeś za wcześnie.

- Wiem. Wiem... Po przebudzeniu wydajesz się taka nierealna... Teraz to drugie miejsce także wydaje mi się jedynie snem.

Usłyszał jej ciepły śmiech.

- Doświadczasz czegoś, co bardzo rzadko staje się udziałem człowieka - odparła. - Gdy znajdujesz się razem ze mną w tej przepięknej altance, twoje ciało skręca się równocześnie w ostrych atakach przeraźliwych chorób. Po przebudzeniu się w tym drugim ze światów będziesz odświeżony i ponownie stanowiąc będziesz jedną całość...

- Przez jakiś czas - powiedział. Usiadł na kamiennej ławeczce i oparł się o przyjemnie chłodny, chropawy mur.

- ...a gdy okres świeżości przeminie, możesz przybyć tu ponownie... - Zastanawiał się, czy rzeczywiście dostrzegł błysk jej ciemnych oczu, czy była to tylko złudna gra światła księżyca. - I zostaniesz odnowiony.

- Tak - odparł. - Co dzieje się tutaj, gdy przebywam tam?

Poczuł na swoim policzku delikatny dotyk jej palców, przynoszący ze sobą zachwyt i błogość.

- Nie jesteś szczęśliwszy, przebywając tutaj? - zapytała.

- Tak, Myra - o - arym. - Odwrócił głowę, by pocałować koniuszki jej palców. - Lecz gdy przebywam tutaj, oprócz chorób pozostają tam ze mną inne rzeczy, które nie powinny opuszczać mego umysłu. Ja... ja nie mogę sobie ich przypomnieć. - I tak ma być. Drą von Hymack. A teraz pozostać musisz ze mną aż do czasu, kiedy twoja odnowa dokona się w pełni. Dla wykonania zadania, które oczekuje na ciebie po powrocie, fluidy twego ciała znaleźć się muszą w doskonałej równowadze. Wiesz przecież, że możesz opuścić to miejsce, kiedy tylko zechcesz. Jednak tym razem sugerowałabym, byś posłuchał mej rady.

- Zrobię tak, pani. Opowiedz mi o rzeczach.

- O jakich rzeczach, mój miły?

- Ja... ja próbuję sobie je przypomnieć. Ja...

- A więc nie próbuj. Nie zda się to na nic...

- Deiba! To właśnie jedna z tych rzeczy! Opowiedz mi o Deibie.

- Nie ma nic do opowiadania, Dra. To mały świat w pozbawionej znaczenia części galaktyki. Nie ma tam nic specjalnego.

- Ależ jest. Jestem tego pewny. Świątynia...? Tak. Na wyżynie. Jest tam też zrujnowane miasto. Świątynia znajduje się pod ziemią, prawda?

- We wszechświecie jest wiele takich miejsc.

- Ale to jest specjalne, czyż nie tak?

- Tak. W pewien dziwny, smutny sposób jest to spuścizna Terry. Zaledwie jeden człowiek z twojej rasy prawidłowo określił to, co tam znalazł.

- Co to było?

- Wystarczy - odparła, dotykając go ponownie.

Potem usłyszał muzykę, miękką i prostą, a ona zaczęła mu śpiewać. Nie słyszał - a jeżeli nawet słyszał, to nie rozumiał słów, które śpiewała. Dookoła zaczęła wirować mgła, poczuł zapach perfum, podmuch wiatru, zapadł w rodzaj ekstazy. A gdy się ocknął, nie było już żadnych pytań.

\* \* \*

Dr Larman Pels orbitujący dookoła świata o nazwie Lavona transmitował wiadomości do Centrum Medycznego, do Centrum Imigracji i Naturalizacji oraz do Centrum Statystyki Demograficznej. Po zakończeniu przekazu splótł ręce i czekał.

Oprócz założenia rąk, nie pozostało mu już nic więcej do roboty. Nie jadł, nie pił, nie oddychał, nie spał, nie wydalał, nie odczuwał bólu czy innych wrażeń zmysłowych, jakie odczuwa człowiek. Nie miał także wyczuwalnego pulsu. Od gnicia powstrzymywały go jedynie różnorakie chemiczne czynniki, w które wyposażony został jego organizm. Lecz by działał, potrzebne były jeszcze inne rzeczy.

Jedną z nich był niewielki system energetyczny, zaimplantowany we wnętrzu jego ciała. Pozwalał mu on na poruszanie się bez wydatkowania własnej energii (co prawda, nie opuszczał się nigdy na powierzchnię planet - zmieniłby się tam w żywy posąg, ponieważ poruszające go części mechaniczne nie dysponowały odpowiednią mocą, by przezwyciężyć siłę ciężenia). System ten, zasilany bezpośrednio z mózgu, dostarczał także odpowiednie bodźce, stymulujące wyższe procesy mózgowo, utrzymując je dzięki temu w ciągłym funkcjonowaniu.

Dr Pels był więc myślącym wyrzutkiem ze świata żywych, wiecznym wędrowcem, człowiekiem, który szukał i czekał - lecz przede wszystkim był poruszającym się trupem.

Druga rzecz popychająca go do działania nie była tak namacalna, jak energetyczny system podtrzymywania życia. Na kilka sekund przed śmiercią kliniczną jego ciało zamarzło, a kilka dni później odczytano jego Oświadczenie o Dyspozycji Dóbr. Ponieważ "człowiek zamrożony nie posiada takiego samego statusu jak człowiek martwy" (sprawa Herms v. Herms. Powództwo Cywilne nr 187 - 3424) i może "korzystać w pełni ze swej własności poprzez wcześniejszą demonstrację intencji, dokładnie w taki sam sposób, jak człowiek uspiiony" (sprawa Nyes v. Nyes. Powództwo Cywilne nr 14 - 187 - B). Tak więc, pomimo żarliwych protestów kilku generacji potomków, wszystkie dobra dr Pelsa zamienione zostały na gotówkę, która posłużyła na zakup statku kosmicznego z pełnym laboratorium medycznym oraz na przywrócenie samego dr Pelsa do stanu względnej ruchliwości. Niespecjalnie przeszkadzał mu fakt, iż przez nieokreślony bliżej czas trwać będzie w punkcie o dziesięć sekund oddalonym od śmierci, pod warunkiem, że będzie mu dane kontynuować prace badawcze. "A zresztą - powiedział kiedyś - pomyślcie o tych wszystkich ludziach, którzy właśnie w tej chwili oddaleni są także o jedyne dziesięć sekund od śmierci, nawet nie zdając sobie sprawy z tego faktu. Przecież oni w dalszym ciągu zajmują się tym, co kochają najbardziej".

Tak więc, największą miłością dr Pelsa była patologia. I to szczególnego rodzaju patologia. Znany był z tego, iż w pogoni za nową chorobą potrafił przemierzyć pół galaktyki. Był autorem błyskotliwych opracowań, twórcą kilkudziesięciu nowych leków, a także wykładowcą prowadzącym cykle wykładów na różnych światach z pokładu swego orbitującego laboratorium. Przedstawiony do kilku prestiżowych nagród, miał zapewniony wgląd do wszystkich banków informacji medycznych, jakie znajdowały się na planecie, którą akurat odwiedzał. Udzielano mu zresztą wszystkich informacji, jakich zażądał.

Unosząc się w swym laboratorium - przeszło sześciostopowa, chuda, bezwłosa i blada postać - dr Pels wydawał się być jedyną odpowiednią osobą, mogącą przeprowadzać badania różnorodnych form śmierci. Teraz, gdy nie podzielał już przyjemności dostępnych zwykłym ludziom, prócz pracy pozostała mu jedna zaledwie rozrywka. Była to muzyka. Rozrywkowa lub klasyczna; jej dźwięki rozbrzmiewały dookoła niego bez chwili przerwy. Jego ciało wyczuwało ją, nawet gdy on sam jej nie słuchał bądź ignorował. W pewien sposób stanowiła dla niego substytut bicia serca i rytmu oddechu. Jednak jakikolwiek byłby tego powód, przez wszystkie te lata żył otoczony muzyką.

Tak było i tym razem. Siedział z założonymi rękoma i czekał, upajając się dobiegającymi ze wszystkich stron dźwiękami. Tylko raz spojrział na Lavonę, czarno - brązowy glob, przypominający

tygrysa widzianego w nocy. Potem powrócił myślami do innych, poważniejszych spraw.

Przez dwie dekady zmagał się z pewną szczególną chorobą. Wiedząc, iż przez wszystkie te lata badań nad nią nie posunął się do przodu prawie wcale, zdecydował się na odwrotną formę ataku: odnaleźć jedyne go człowieka, który ją przeżył, i dowiedzieć się, w jaki sposób tego dokonał.

Mając to na uwadze, wyruszył w podróż okrężną drogą do centrum Zjednoczonych Lig - na Solon, Elizabeth i Loncoln. Były to trzy sztuczne światy, zaprojektowane przez samego Sandowa, orbitujące dookoła Gwiazdy Kwale'a. Tamtejsze komputery być może będą w stanie udzielić mu informacji o miejscu pobytu mężczyzny znanego jako H, a którego tożsamość odkrył stosunkowo niedawno. Ta informacja powinna się tam znajdować, choć z pewnością nie było wielu ludzi, którzy wiedzieliby, jakie pytania zadać maszynie, by wydobyć odpowiednie dane.

Zatrzymał się jednak przy mijanych po drodze światach, prowadząc poszukiwania tego człowieka na własną rękę. Nie uważał tego czasu za stracony, jako że wiedział, iż po dotarciu na SEL być może będzie zmuszony czekać i rok, by otrzymać dostęp do komputera.

Lavona była kolejnym takim przystankiem. Słuchając koncertu, pomyślał, że być może nie będzie musiał udawać się na SEL. Z tego, co przez dwie dekady dowiedział się o mwalakharan Khurr, gorączce deibańskiej, wiedział, że uzyskawszy odpowiednie wskazówki, dowie się, czy człowiek ten istniał jako pojedynczy fenomen. Wiedział także, iż uda mu się go odnaleźć i wydobyć od niego tajemnicę broni, która legnie jeszcze jednym cieniem na postaci Wielkiego Żniwiarza.

Muzyka przybrała na sile. Oddalony o dziesięć sekund od wieczności, dr Pels uśmiechnął się szeroko. Już wkrótce tygrys w nocy poda mu odpowiedź.

Po przebudzeniu zerknął na chrono i stwierdził, że minęło dwa i pół dnia. Podparł się na łokciu, wydobył menażkę z wodą i zaczął pić - budząc się po okresie komy, zawsze odczuwał potworne pragnienie. Odstawił pustą menażkę i stwierdził, że czuje się znakomicie. Całe ciało i wszystkie zmysły pozostawały w doskonałej zgodzie z otoczeniem. Równowaga, którą właśnie osiągnął, zazwyczaj pozostawała tak doskonała zaledwie przez kilka dni.

Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że był piękny, bezchmurny poranek.

Pospiesznie, wykorzystując resztkę wody z menażki i chusteczkę, obmył ciało z potu. Założył wyjęte z worka czyste ubranie, spakował się i wyruszył w drogę.

Schodząc ze zbocza, pogwizdywał wesoło. Podróż przez las wydawała się rzeczą, która przydarzyła się zupełnie innej osobie, lata temu. Po godzinnej wędrówce znalazł się na równinie, a wkrótce zaczął mijać pierwsze zabudowania. W miarę zbliżania się ku centrum miasta, stawały się one coraz bardziej do siebie podobne.

Zatrzymał pierwszego napotkanego przechodnia i zapytał o drogę do szpitala. Nieokreślone wzruszenie ramion było jedyną odpowiedzią. Z drugim spotkanym spróbował rozmawiać głównym językiem planety i tym razem został zrozumiany. Dziesięć bloków dalej. Trudno nie trafić.

Po dotarciu do ośmiopiętrowego budynku wyjął z kasetki wąski kryształ, który włożony do komputera powie lekarzom wszystko, co powinni wiedzieć o Heidelu von Hymack.

Jednak gdy wszedł do niewielkiego, dusznego lobby, stwierdził, że natychmiastowa identyfikacja nie jest konieczna. Na jego widok recepcjonistka ubrana w srebrny, pozbawiony rękawów fartuch zerwała się na równe nogi i pospieszyła mu na spotkanie. Jej jedyną ozdobą był zawieszony na szyi egzotyczny, tubylczy amulet.

- Pan H! - wykrzyknęła. - Ogromnie się martwiliśmy! Doszły nas słuchy...

Położył swój worek na kontuar.

- Jak czuje się dziewczynka?

- Dzięki bogom, stan Luci nie pogorszył się. Słyszeliśmy, że miał pan przybyć tutaj taksówką powietrzną. Gdy stracono kontakt i...

- Proszę mnie zaprowadzić do opiekującego się nią lekarza...

Trzy inne osoby znajdujące się w lobby - dwaj mężczyźni i kobieta - wpatrywali się w niego bez słowa.

- Chwileczkę. - Dziewczyna wróciła za kontuar, nacisnęła kilka przycisków i przemówiła w stronę mikrofonu: - Proszę przysłać kogoś do recepcji. Jest już pan H. - Odwróciła się do niego i wskazując na jeden z foteli, zapytała: - Może zechce pan usiąść? To może chwilę potrwać.

- Dziękuję, ale postoję.

Obdarzyła go uważnym spojrzeniem niebieskich oczu, które w dziwny sposób wpłynęło na niego deprymująco.

- Co się właściwie stało? - zapytała ponownie.

- Wsiadł system zasilania - odparł, uciekając spojrzeniem w bok. - Musiałem lądować na brzuchu. Resztę drogi przeszedłem na piechotę.

- Musiał pan pokonać duży odcinek?

- Spory.

- Przez cały czas nie wiedzieliśmy, co się z panem dzieje. Myśleliśmy...

- Musiałem podjąć pewne medyczne środki ostrożności, nim mogłem bezpiecznie wejść do waszego miasta.

- Rozumiem - odparła. - Tak cieszymy się, że udało się panu w końcu do nas dotrzeć. Mam nadzieję...

- Ja także - odparł, widząc przez chwilę dziewięć zasypanych grobów.



Drzwi obok recepcji otworzyły się i stanął w nich odziany na biało mężczyzna. Dostrzegając Heidela, ruszył w jego kierunku.

- Helman - przedstawił się i wyciągnął dłoń. - To ja właśnie opiekuję się tą dziewczynką Dorna.

- A więc będzie pan potrzebował tego - odparł Heidel i wręczył mu błękitny kryształ.

Doktor mierzył ledwie pięć i pół stopy wysokości. Kolor jego skóry miał intensywnie różowy odcień. To, co pozostało z jego włosów, sterczało we wszystkich możliwych kierunkach. Heidel spostrzegł, iż tak jak u wszystkich lekarzy, których znał, jego dłonie i paznokcie były najczystsza rzeczą w całym lobby. Prawa dłoń lekarza, na której widział wąski, misternie cyzelowany pierścień, ujęła Heidela pod ramię i pociągnęła w stronę drzwi.

- Proponuję, byśmy przeszli w miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie przedyskutować ten przypadek - w głosie lekarza brzmiało zdecydowanie.

- Musi pan jednak wiedzieć, że nie jestem doktorem medycyny.

- Wiem o tym. Sądzę jednak, iż nie ma to większego znaczenia, o ile jest pan owym H.

- Jestem H. Oczywiście nie chciałbym, aby fakt ten stał się tutaj powszechnie znany. Ja...

- Rozumiem - uciał Helman, wiedząc go długim korytarzem. - I, naturalnie, zgadzamy się na pełną współpracę.

Zatrzymał przechodzącego korytarzem, ubranego także na biało młodego mężczyznę.

- Daj to na komputer - polecił. - I wyślij mi odpowiedź do pokoju 17. Tędy. - Odwrócił się w stronę Heidela i wskazał drzwi. - Proszę wejść i rozgościć się.

Zajęli miejsca po obu stronach konferencyjnego stołu. Heidel przysunął sobie popielniczkę i sięgnął po cygaro. Zamyślonym wzrokiem obrzucił stojące na niewielkim postumencie w rogu pokoju tubylcze bóstwo, wyrzeźbione subtelnie z jakiegoś żółto - białego materiału. Posążek mierzył około ośmiu cali wysokości.

- Pańskie właściwości fascynują mnie - przerwał milczenie lekarz. - Opisano je tak wiele razy, że nieomal odnoszę wrażenie, jakbym znał pana osobiście. Chodzące antyciało, żywa składnica leków...

- No cóż - przerwał Heidel. - Sądzę, że może pan to ująć w taki właśnie sposób. Jest to jednak zbyt uproszczenie. Po odpowiednich przygotowaniach potrafię się uporać z niemal każdą znaną chorobą, oczywiście, o ile pacjent nie znajduje się w zbyt ciężkim stanie. Jednak, z drugiej strony, moje właściwości nie są tak zupełnie jednoznaczne. Właściwiej byłoby stwierdzić, że jestem żywym siedliskiem chorób, które potrafię utrzymywać w pewnego rodzaju równowadze. Gdy równowaga ta jest zachwiana, mogę działać jako antidotum. Wyłącznie wtedy. W przeciwnym wypadku mogę być szalenie niebezpieczny.

Dr Helman zdjął z rękawa fartucha czarną nitkę i ostrożnie umieścił ją w popielniczce. Heidel, widząc to, pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie wiadomo jednak, jaki jest właściwie mechanizm tego zjawiska?

- Jak do tej pory nikt nie ma całkowitej pewności - odparł Heidel, zapalając cygaro. - Wydaję się odnajdywać choroby wszędzie, gdziekolwiek się udam. Przyciągam je niejako, a potem uaktywnia się w moim organizmie pewien system immunologiczny, dzięki któremu jestem w stanie zwalczać. W odpowiednich okolicznościach serum z mojej krwi jest efektywnym antidotum dla osoby cierpiącej na taką samą chorobę.

- Czy mógłby pan określić, o jakich dokładnie okolicznościach pan wspomina?

- Wpadam w komę - odparł krótko Heidel. Po chwili kontynuował: - Jest ona zależna od mej woli. Moje ciało przechodzi niejako wtedy pewien rodzaj oczyszczenia. Trwa to od półtora do kilku dni. Mówiono mi... - Urwał i szybko zaciągnął się cygarem. - Mówiono mi, że w okresie śpiączki moje ciało przechodzi wszystkie symptomy chorób, na które zapadało. Nie wiem. Ja sam nic nie pamiętam z takich okresów. I muszę być wtedy sam, ponieważ w czasie komy moje choroby są niezwykle zaraźliwe.

- Pańskie ubranie...

- Najpierw rozbieram się. Po przebudzeniu moje ciało musi być całkowicie nagie. Ubieram się dopiero po wszystkim.

- Jak długo trwa ta... równowaga?

- Zazwyczaj kilka dni, a potem powoli zanika. Wraz z utratą równowagi stopniowo staję się coraz bardziej niebezpieczny i jestem roznosicielem chorób aż do następnej komy.

- Kiedy ostatnio przechodził pan tę komę?

- Obudziłem się kilka godzin temu. Od tej pory nic jeszcze nie jadłem. Czasami wydaje się to przedłużać okresy bezpieczeństwa.

- Nie bywa pan głodny po tak długim czasie nieświadomości?

- Nie. W rzeczywistości czuję się bardzo silny, choć właściwszym słowem byłoby: potężny. Męczy mnie jedynie pragnienie. Jak w tej chwili.

- W sąsiednim pokoju mamy chłodnicę wody - oświadczył Helman wstając. - Zaprowadzę pana.

Heidel zduśił niedopałek w popielniczce i wstał także.

Gdy przechodzili do pokoju obok, w korytarzu natknęli się na mężczyznę, któremu Helman dał do sprawdzenia kryształ Heidla.

Młody lekarz trzymał w dłoniach plik papierów i niewielką kopertę, która, jak domyślił się Heidel, zawierać musiała kryształ. Dr Helman wskazał na chłodnicę i gdy Heidel skinął w podzięcie

głową, odwrócił się i wszedł do pokoju, który właśnie opuścili.

Heidel rozpoczął napełnianie i opróżnianie niewielkich, papierowych kubeczków. Po chwili na obudowie chłodnicy dostrzegł namalowany zieloną farbą maleńki, strantryjski znaczek, mający przynosić powodzenie i szczęście.

Dr Helman wkroczył do pokoju gdzieś między osiemnastym a dwudziestym kubeczkiem. W jednej dłoni trzymał papiery. Wręczając Heidelowi kopertę, powiedział:

- Proponuję, byśmy pobrali panu krew natychmiast. Gdyby zechciał pan przejść do laboratorium...

Heidel skinął głową, odstawił opróżniony kubeczek i schował kryształ do kasetki.

Wyszli z pokoju i Heidel podążył za lekarzem do staroświeckiej windy.

- Szóste - rzucił Helman po wejściu do środka. Drzwi windy zasunęły się i ruszyli w górę. - Te raporty są trochę dziwne - powiedział po chwili, wskazując na trzymane w dłoni papiery.

- Tak, wiem o tym.

- Stwierdzają na przykład, że po okresie owej komy często sama pańska obecność wystarczy, by powstrzymać u kogoś rozwój choroby.

Heidel pociągnął się za ucho i przez chwilę wpatrywał się w czubki swych butów.

- To prawda - przyznał w końcu. - Nie wspominałem o tym, ponieważ za bardzo przypomina to odczynianie złych czarów i tym podobnych rzeczy. Podawanie mojej krwi ma przynajmniej jakieś akceptowane przez naukę wyjaśnienie. Tego drugiego nie potrafię wyjaśnić.

- No cóż, więc u tej dziewczynki Doma spróbujemy z pańskim serum - powiedział Helman.

- Lecz czy zechciałby pan potem wziąć udział w pewnego rodzaju eksperymencie?

- W jakim eksperymencie?

- Mógłby pan wraz ze mną odwiedzić wszystkich pacjentów. Przedstawiłbym pana jako mojego kolegę. A pan mógłby króciutko z nimi porozmawiać. O czymkolwiek.

- Oczywiście, zrobię to.

- Czy będzie pan w stanie im pomóc?

- To zależy od stopnia zaawansowania chorób, na które cierpią, i od tego, czy będą to choroby, które aktualnie posiadam. Uprzedzam jednak, że stan pacjentów z rozległymi zmianami anatomicznymi nie poprawi się.

- Robił pan już coś takiego wcześniej?

- Tak, wiele razy.

- Na jak wiele chorób był pan już narażony?

- Naprawdę nie wiem. Czasami przejmuję jakaś chorobę zupełnie nieświadomie. Sądzę, że wewnątrz mnie jest ich całkiem sporo. - Winda ze zgrzytem zatrzymała się. Po wyjściu na korytarz

Heidel mówił dalej: - Ale może mnie pan przecież wypróbować. Byłoby to nawet interesujące. Dlaczego nie podać mojej krwi wszystkim pacjentom, jakich tutaj macie?

Helman potrząsnął przecząco głową.

- Pańskie akta opisują jedynie te przypadki, które w przeszłości zakończyły się pełnym powodzeniem. Jedynie ta dziewczynka spełnia warunki, które rokują nadzieję na pełną poprawę. Z resztą pacjentów wolałbym nie ryzykować.

- A jednak chce mnie pan zaprowadzić do wszystkich pacjentów.

Helman wzruszył ramionami.

- Nie jestem przesądny, jeśli chodzi o te rzeczy. To im z pewnością nie zaszkodzi. Laboratorium jest na końcu tego halki.

Czekając na pobranie krwi, Heidel wyglądał przez okno. W porannym brzasku gigantycznego słońca dostrzegł cztery świątynie różnych wyznań. Drewniane, o płaskich dachach budynki przystrojone były od frontu wstęgami i dewocjonaliami, zupełnie tak samo, jak widział to w wioskach przy River Bart. Wychylając się do przodu, mógł dojrzeć leżącą poniżej wysoką strukturę, której kształt wskazywał na świątynię Pei'an. Skrzywił się i odwrócił od okna.

- Proszę podwinąć rękaw.

John Morwin bawił się w Boga.

Manipulując kontrolkami, przygotowywał się do narodzin nowego świata. Ostrożnie... Droga od kamieni do gwiazd biegła właśnie tędy. Tak. Powoli. Jeszcze nie.

Leżący na kozetce młodzieniec poruszył się, lecz nie przebudził. Morwin przytknął mu do nosa pojemnik z gazem. Przeciągnął palcem wskazującym wzdłuż wewnętrznej krawędzi okrywającego głowę hełmu, by usunąć pot i rozmasować przy okazji prawą skroń. Pogłaskał swą czarną brodę i pogrążył się w medytacji.

Dzieło nie było jeszcze doskonałe. Nie była to rzecz, którą chłopak opisał. Zamykając oczy, zajrzał głębiej w leżący tuż obok, pogrążony we śnie umysł. Forma wydawała się prawidłowa, lecz wciąż nie potrafił odnaleźć uczucia, którego szukał.

Otworzył oczy i spojrzał na leżącą nieruchomo postać: zbyt kłowny ubiór, drobna, niemal kobieca twarz. Na głowie chłopaka tkwił hełm połączony z jego własnym płataniną elektrycznych przewodów. Strumienie narkotycznego gazu wydobywające się z dysz powietrznych poruszyły lekko koronkowym kołnierzem tuniki. Ściągnął usta i zmarszczył brwi, bardziej z podziwu niż z dezaprobaty. Zawsze ubolewał, że nie wychował się w pełni bogactwa, że nie został rozpieszczony i zepsuty. Zawsze chciał być zblazowanym dandysem. Teraz, kiedy mógł już sobie na to pozwolić, rychło okazało się, iż nie potrafi wcielić się w tę rolę w pełni.

Obrzucił spojrzeniem zawieszoną tuż przed nim pustą, kryształową kulę. Miała około metra średnicy. Jej wnętrze penetrowały rozmieszczone w różnych miejscach, cienkie dysze.

Dotknij odpowiedniego przycisku, a wypełni się wirującym pyłem. Wprowadź odpowiednią sekwencję, a zamarznie tam na wieki...

Ponownie zagłębił się w umysł śpiącego chłopca. Tym razem także, jak zawsze zresztą, było to fascynujące uczucie. Nadszedł czas, by zaaplikować silniejsze bodźce stymulujące.

Przekręcił przełącznik. Chłopiec słyszał teraz własny, nagrany głos, którym opisywał wcześniej swój sen. Doznania zmieniały się. Z pogrążonego w marzeniach sennych umysłu Morwin odbierał przelotne wrażenie déjà vu, uczucie zaspokojonego pragnienia.

Nacisnął przycisk i z końcówek dysz wydobył się cienki syk. Równocześnie przekręcił przełącznik, który przerywał połączenie jego umysłu z umysłem syna jego klienta. Następnie, wykorzystując swą potężną pamięć wizualną i umiejętność telekinczy, skoncentrował własny umysł na wirujących wewnątrz kuli cząsteczkach. Cisnął do wnętrza zarejestrowany przez przelotną chwilę w umyśle chłopca sen, jego formę i kolor - marzenie pełne dziecięcego bogactwa i zachwytu - a potem przez naciśnięcie odpowiedniego guzika unieruchomił na wieczność. Kolejny guzik i dysze wycofały się, kula została uszczelniona. Od tej chwili nie można już jej było otworzyć, nie niszcząc przy tym całości. Nacisnął wyłącznik i zarejestrowany na taśmie głos zamarł. Jak zawsze, po zakończeniu pracy stwierdził, że drży.

A więc dokonał tego ponownie.

Uaktywnił poduszkę powietrzną i cofnął stelaż. Kryształ zawisł nieruchomo w powietrzu. Opuścił stanowiącą tło czarną, aksamitną kotarę i zapalił reflektory punktowe. Przez chwilę przyglądał się swemu dziełu w milczeniu.

Obraz był w pewien sposób przerażający - półludzka forma, opleciona niczym wąż dookoła pomarańczowych skał, stanowiących integralną część zagadkowej postaci. Powyżej górowało uniesione ramię, zawierając w swym zgięciu bezchmurne niebo. Od skał ku gwiazdom prowadziła różowa droga. Całe ramię zwilżone było czymś, co przypominało łyżę, a ponad nim szybowwały nieregularne, błękitne formy.

John Morwin uśmiechnął się lekko. Ujrzał ten sen za pomocą telepatii, wyrzeźbił go telekinetycznie i zachował mechanicznie. Nie miał jednak bladego pojęcia, jaką młodzieńczą fantazję przedstawiał. I nawet o to nie dbał. Ważne było, iż po raz kolejny udało mu się. Gdy kontemplował swe dzieło, uczucie zadowolenia i dumy, jakie czuł, w zupełności go satysfakcjonowało. Wiedział, że było dobre.

Czasami trapiły go wątpliwości, czy to, co robi, jest rzeczywiście sztuką. To prawda, że posiadał unikalny talent uwieczniania snów jako rekompensatę wszystkich kłopotów. Lubił jednak

myśleć o sobie jako o artyście. Ponieważ nie mógł być dandysem, wybrał właśnie to. Zdecydował, że artysta w równym stopniu posiada rozwinięte ego i jest ekscentrykiem, lecz posiadając dodatkową umiejętność tworzenia, nie jest takim samym egoistą w stosunku do przyjaciół.

Zdjął hełm i rozmasował prawą skroń.

Tworzył już fantazje seksualne, sielankowe rojenia o pokoju, koszmary dla szalonych władców, psychozy dla analityków. Za każdym razem jego zleceniodawcy rozpływali się w pochwałach. Miał nadzieję, iż fakt, że dzieła te stawały się uzewnętrznieniem ich własnych uczuć, nie był jedynie... Ale nie. Portretowanie było trudną i pracochłonną sztuką. Czasami w głębi ducha zastanawiał się, co by się stało, gdyby któregoś dnia uwiecznił swój własny sen.

Podniósł się i zdjął hełm z głowy Abse. Ujął w dłonie spoczywającą na warsztacie fajkę z wygrawerowanymi na cybuchu insygniami i przeciągnął po nich palcem. Potem napelnił ją i zapalił.

Usiadł tuż obok chłopca i uruchomił serwomechanizm, który wolno unióś kozetkę do pozycji półleżącej. Wszystko gotowe. Nasłuchując oddechu, wydmuchał kłęb dymu i uśmiechnął się.

Po raz kolejny stał się businessmanem, sprzedawcą oferującym swój towar. Pierwszą rzeczą, jaką Abse powinien ujrzeć po przebudzeniu, będzie odpowiednio usytuowany obiekt. Potem jego głos, dobiegający z tyłu, przełamie zakłęcie chwili, wypowiadając żartobliwą uwagę, a magia - raz uwolniona - zapadnie głęboko w podświadomość oczarowanego widza. Miejmy nadzieję, iż podniesie to jeszcze atrakcyjność oglądanego obiektu.

Drżenie ręki. Lekki kaszel. Ruch przerwany w połowie, nagle zapomniany i niedokończony... Odczekał kilka sekund, a potem zapytał:

- Podoba ci się?

Abse nie odpowiedział natychmiast. Lecz gdy to wreszcie uczynił, przemówił słowami zachwyconego chłopca. Zniknęła gdzieś z trudem skrywana pogarda i sztuczna nonszalancja, niechęć wobec ojca, który zdecydował, iż taki właśnie prezent będzie odpowiedni na urodziny syna, któremu nie pozostało już zbyt wiele niezaspokojonych pragnień.

- To jest... - zaczął. - To jest właśnie to!

- A więc udało mi się. Jesteś zadowolony?

- Bogowie! - Chłopiec wstał i podszedł w stronę kryształu. Wyciągnął powoli dłoń, zatrzymując je tuż nad błyszczącą powierzchnią. - Zadowolony?... To jest... to jest wspaniałe. - Zadrżał i przez chwilę stał nieruchomo, pogrążony w zachwycie. Potem odwrócił się, prezentując swój zwykły, pełen wyższości uśmiech. Mor win także odpowiedział zimnym uśmiechem, unosząc w górę kąciaki ust. I nagle zachwycony chłopiec zniknął.

- Całkiem przyjemne. - Nie odwracając się, wskazał niedbałym gestem na unoszącą się za plecami kulę. - Każ ją dostarczyć, a rachunek przedstawię memu ojcu.

- Oczywiście.

Abse ruszył ku drzwiom prowadzącym do biura, a stamtąd do wyjścia. Morwin wstał, otworzył je i przytrzymał przed chłopakiem. Już w progu Abse zawahał się i przez chwilę patrzył mu prosto w oczy. Wtedy właśnie po raz ostatni Morwin dostrzegł w jego spojrzeniu falę powracającego zachwyty.

- Ja... chciałbym zobaczyć, jak ty to właściwie robisz. Szkoda, że nie pomyśleliśmy, by zarejestrować sam akt tworzenia.

- Kiedy to nie jest wcale interesujące - zaprotestował Morwin.

- Tak też przypuszczałem. No cóż, do widzenia - pożegnał się bez wyciągania ręki.

- Do widzenia - odparł Morwin i spoglądał za nim, dopóki nie zniknął z oczu.

Tak, takie zepsucie byłoby nawet przyjemne. Jeszcze rok lub dwa i chłopak nauczy się już wszystkiego, co powinien wiedzieć.

Usłyszał głos Alyshii Curt nawołującej go z korytarza. Trzymając się framugi obiema dłońmi, wychylił się do tyłu i spojrzał z uśmiechem na swą sekretarkę i recepcjonistkę w jednej osobie.

- Cześć, jestem tutaj - powiedział. - Niech Jansen zapakuje kulę i dostarczy ją razem z rachunkiem.

- Oczywiście, sir - odparła, wskazując na coś oczyma. Morwin odwrócił się.

- Niespodzianka - powiedział siedzący przy oknie mężczyzna.

- Michael! Co ty tu robisz?

- Zamarzyła mi się filiżanka prawdziwej kawy.

- Wchodź dalej. Właśnie zagotowałem wodę.

Mężczyzna podniósł się powoli. Jego barczysta postać, jasny mundur i białe włosy albinosa po raz kolejny przywiodły Morwinowi na myśl pracy niepowstrzymanie do przodu lodowiec.

Weszli do studia i Morwin zakrzętał się, szukając czystych filiżanek. Gdy je wreszcie znalazł, odwrócił się i zauważył, że Michael przeszedł bez szmeru przez całą długość studia i zatrzymał się przed ostatnim dziełem.

- Podoba ci się? - zapytał.

- Tak. To jedno z twoich najlepszych dzieł. Dla dziecka Arnithe'a?

- Tak.

- I co o tym myśli?

- Powiedział, że mu się podoba.

- Hmm. - Michael odwrócił się i podszedł do niewielkiego stolika, przy którym pochłonięty pracą Morwin zjadał czasami posiłki.

Morwin nalał dwie filiżanki parującej, aromatycznej kawy.

- W tym tygodniu rozpoczyna się sezon lamaq.

- Och! - W głosie Morwina brzmiało zdziwienie. - Nawet nie zauważyłem, że to przecież odpowiednia pora roku. Wyjeżdżasz?

- Myślałem o przyszłym tygodniu. Moglibyśmy wybrać się do Blue Forest, rozbić obóz i przez kilka dni solidnie wypocząć.

- Zapowiada się znakomicie. Jadę z tobą. Myślałeś jeszcze o kimś?

- Myślałem, że może Jorgen.

Morwin skinął głową i sięgnął po swoją ulubioną fajkę, przesuwając kciukiem po pokrywających cybuch insygniach. Jorgen, olbrzymi Rigelianin i Michael z Honsi podczas wojny tworzyli załogę. Piętnaście lat temu zastrzeliliby ich bez chwili wahania. Teraz stali się jego przyjaciółmi. Razem pili i żartowali, sprzedawał nawet swoje dzieła ich znajomym. Insygnia "DYNAB - Flota Poczwórnej Gwiazdy" wydawały się pulsować lekko pod kciukiem. W przypiływie nagłego wstydu skrył cybuch w dłoni. "Gdybyśmy wygrali - pomyślał ponuro - wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Nikt nie winiłby Michaela, gdyby nosił ten swój przeklęty pierścień zawieszony na łańcuszku u szyi, poza zasięgiem wzroku. Człowiek urządza swoje życie tam, gdzie mu wygodnie. Gdybym pozostał w DYNAB, w dalszym ciągu zonglowałbym elektronami w jakimś podupadłym laboratorium lub przymierał głodem".

- Ile czasu pozostało ci do odejścia? - zapytał.

- Około trzech lat. Jeszcze nie pora, by łamać sobie tym głowę - odparł Michael, wydobywając spod tuniki komputerowy wydruk informacyjny. - Wygląda na to, że pewien nasz przyjaciel nie ma zamiaru zrezygnować.

Morwin jął przebiegać wzrokiem zapisane gęsto kolumny.

- Czego mam właściwie szukać?

- Druga kolumna. Zaczynij mniej więcej od połowy.

- Eksplozja na Blanchen? O to chodzi?

- Tak.

Po uważnym przeczytaniu spojrzął prosto na przyjaciela.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem - powiedział. Jednocześnie poczuł, jak gdzieś w głębi niego budzi się zapomniane od dawna poczucie dumy. Postarał się, by Michael niczego nie dostrzegł.

- Twój stary komandor floty, Malacar Miles. Któżby inny?



- "Sześciu ludzi zabitych, dziewięciu rannych... Osiem jednostek zniszczonych, dalszych dwadzieścia sześć uszkodzonych - odczytywał powoli Morwin. - Nie odnaleziono żadnych śladów, lecz Service nie ustaje..." Jeżeli nie odnaleziono żadnych śladów, to dlaczego właściwie podejrzewacie komandora?

- Z powodu zawartości magazynów.

- A co takiego ważnego tam było?

- Jednostki translacyjne o podwyższonej rozdzielczości.

- Wciąż nie...

- Upřednio produkowano je wyłącznie w DYNAB. Te egzemplarze były pierwszymi wyprodukowanymi na planetach CL.

- A więc uderzało to w przemysł na DYNAB.

Michael wzruszył ramionami.

- Sądę, że mają prawo robić to, co chcą. Produkcja DYNAB nie była wystarczająco szybka. Więc pewni przemysłowcy z Lig zainteresowali się tą sprawą. Była to pierwsza partia ich wyrobów. Jak wiesz, translatory są skomplikowanymi urządzeniami, wymagającymi dużego nakładu pracy ręcznej. A to pociąga za sobą znaczne koszty.

- A ty myślisz, że w to wszystko zamieszany jest komandor?

- Wszyscy wiedzą, że to on jest za to odpowiedzialny. Robi takie rzeczy od lat. Zapomina, że wojna już się skończyła, że podpisano zawieszenie broni...

- Lecz nie możecie wejść na terytorium DYNAB, by go ścigać.

- Nie. Lecz któregoś dnia może to zrobić jakiś wpływowy cywil. Ktoś, kto będzie już zmęczony ustawicznym niszczeniem jego własności lub mordowaniem przyjaciół czy pracowników.

- Próbowano już tego i wiesz, czym to się zakończyło. Ktokolwiek poważy się na to teraz, pochwyci większy kęs niż będzie w stanie ugryźć.

- Wiem! Doprowadziłoby to do sporych kłopotów, a tego właśnie za wszelką cenę staramy się uniknąć.

- A założmy, że Service rzeczywiście udałoby się przyłapać go na gorącym uczynku, na przykład przykładającego tutaj komuś nóż do pleców. Co wtedy?

- Powinieneś znać odpowiedź. Morwin uciekł spojrzeniem w bok.

- Nigdy nie rozmawiamy o takich rzeczach - powiedział cicho.

Michael zazgrzytał zębami i otarł usta wierzchem dłoni.

- No cóż - westchnął. - Musielibyśmy odstawić go z powrotem na DYNAB. Potem wystosowalibyśmy oficjalny protest do centrali DYNAB, co w stosunku do ich jedyne

pozostałego przy życiu komandora floty nie odniosłoby żadnego skutku. Do tego to powołanie go jako reprezentanta na Pierwszą Konferencję SEL... Wygląda na to, że zaplanowali to z góry i teraz go zachęcają. Chciałbym, by istniał jakiś sposób przekonania go, że stoi na straconej pozycji. Albo żebyśmy mogli cofnąć jego immunitet dyplomatyczny. Sytuacja jest niezwykle napięta.

- Wiem.

- Służyłeś razem z nim. Byliście przyjaciółmi.

- Chyba tak.

- I jesteście nadal, czyż nie tak?

- Jak z pewnością wiesz, odwiedzam go jedynie okazjonalnie, ze względu na stare czasy.

- Czy istnieje szansa, że potrafiłbyś przemówić mu do rozsądku?

- Jak już powiedziałem, nie rozmawiamy o tych rzeczach. Nawet by mnie nie słuchał - powiedział Morwin, nalewając do filiżanek świeżej kawy.

- Nieważne, kim był kiedyś. W tej chwili jest jedynie mordercą i podpalaczem. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Chyba tak.

- Gdyby posunął się za daleko, gdyby spowodował coś, co rzeczywiście groziłoby katastrofą na dużą skalę, prawdopodobnie doprowadziłoby to do wojny. Wielu wpływowych polityków i wojskowych ponownie uderzyłoby w swe bębny, widząc w nowym konflikcie możliwość ostatecznego rozprawienia się z DYNAB.

- Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim. Mike?

- W tej chwili nie jestem na służbie i nie podlegam żadnym rozkazom. Na szczęście moi zwierzchnicy nigdy nie dowiedzą się o tej rozmowie. Mówię ci o tym po prostu dlatego, że jesteś jedynym człowiekiem, o którym wiem, że go zna i czasami widuje. A w dodatku mieszkasz tutaj i jesteś moim przyjacielem. Do diabła! Nie chcę kolejnej wojny! Nawet jeżeli tym razem rozstrzygnięcie zapadnie w ciągu jednego dnia. Starzeję się. Chcę jedynie odejść na zasłużoną emeryturę i w spokoju polować lub łowić ryby. Byłeś jednym z jego oficerów. Wysłucha cię. Gdy było już po wszystkim, podarował ci nawet tę fajkę. Czy to przypadkiem nie oryginalna Bayner - Sadow? Są straszliwie drogie. Musiał cię lubić.

Morwin ze złością poczuł, że się czerwieni. Skinał głową prosto w chmury dymu, który dostał mu się do oczu. Zamrugał gwałtownie. "I sprzedałem go, tak samo, jak pozostałych - pomyślał ponuro - z chwilą, kiedy przeniosłem się do CL i zacząłem wydawać ich pieniądze".

- Nie widziałem go od wieków. Naprawdę nie wiem, czy zechce mnie wysłuchać.

- Szkoda - odparł Michael, wpatrując się w filiżankę. - Postąpiłem wbrew wyraźnym rozkazom, sugerując ci coś takiego. Zapomnij o tym, dobrze?

- Pracujesz nad tym wybuchem na Blanchen?

- Jedyne asystuję.

- Rozumiem. Przykro mi.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. W końcu Michael dopił swą kawę i wstał.

- No cóż, chyba będę już wracał do roboty - powiedział. - Do zobaczenia za jedenaście dni, u mnie. O świcie. Będziesz pamiętał?

- Będę.

- I dziękuję za kawę.

Morwin skinął głową i uniósł dłoń w pozdrowieniu. Michael wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Przez dłuższą chwilę Morwin wpatrywał się w utrwalony przez siebie sen chłopca. Potem jego spojrzenie spoczęło na filizance. Nie odrywał od niej wzroku, dopóki nie uniosła się w powietrze i roztrzaskała o ścianę.

Heidel von Hymack spojrział w górę, na leżącą w łóżku dziewczynkę i odwzajemnił jej słaby uśmiech. Zgadywał, że mogła mieć około dziewięciu lat.

- ... A to jest klanit - wyjaśnił, dokładając kolejny kamyk do rzędu leżących już na okrywającej ją kołdrze. - Zebrałem ich kilka, gdy przebywałem na planecie zwanej Claana. Oszlifowałem je, zachowując jednak ich pierwotny kształt.

- Jaka jest Claana? - zapytała z zaciekawieniem.

- W większości pokryta wodą - odparł. - Ma ogromne, błękitne słońce, które pływa po różowym niebie, i jedenaście księżyców, które zawsze zachowują się w dziwny sposób. Nie ma tam żadnych kontynentów, jedynie tysiące maleńkich wysepek, porzrzucanych po całej planecie. Zamieszkujące je istoty są płazami i większość swego życia spędzają pluskając się w wodzie. Nie ma tam żadnych miast, a przynajmniej nie ma nikogo, kto by jakies widział. Mieszkańcy trudnią się przerabianiem znajdujących w wodzie materiałów na noże i tym podobne rzeczy. Ten kamyk pochodzi właśnie z ich oceanów. Znalazłem go na plaży. Posiada dziwny kształt, ponieważ gdy woda wyrzucała go na brzeg, długo ocierał się o piasek i inne kamienie. Rosnące na wyspach drzewa mają bardzo długie korzenie, którymi sięgają wody. Mają też bardzo duże liście. Niektóre rodzą nawet owoce. Temperatura jest tam prawie zawsze umiarkowana, ponieważ znad oceanów często wieją ciepłe wiatry. I zawsze, kiedy tylko zechcesz, możesz się wspiąć na coś wysokiego i rozejrzeć we wszystkich kierunkach. Zawsze wówczas zobaczysz jakies ciemne miejsce, gdzie akurat pada. Gdy spoglądasz poprzez ścianę deszczu, wszystko wydaje się nieostre i rozmyte, trochę jak odległy brzeg krainy bajek. Są tam także miraże. Czasami widzisz wysepki na niebie, na

których drzewa rosną koronami w dół. Tubylcy powiedzieli mi, że tam właśnie udają się po śmierci. Wierzą, że wysepki te zamieszkane są przez ich przodków, którzy obserwują ich z góry. Jeżeli podoba ci się ten kamień, możesz go sobie zatrzymać.

- O tak, panie H! Dziękuję bardzo!

Zacisnęła na kamieniu drobną piastkę i potarła nim o skraj swej szpitalnej nocnej koszuli.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał.

- Lepiej - odpowiedziała z wdzięcznością. - Dużo lepiej.

Z uwagą przyglądał się maleńkiej twarzyczce, ciemnym oczom i pokrytym piegami policzkom. Od chwili, kiedy podano jej jego krew półtora dnia temu, cera dziecka nabrała o wiele zdrowszego wyglądu. I nie trzeba już było stymulować akcji serca. Mogła już siedzieć, podparta wygodnie poduszkami i przez krótki czas nawet rozmawiać. Gorączka spadła, a ciśnienie krwi wróciło już niemal do normy. W miarę powrotu do zdrowia jąla wykazywać rosnącą ciekawość i ożywienie, właściwe dla dzieci w jej wieku. Uznał, że kuracja zakończyła się sukcesem. Nie myślał już o pozostawionych w lesie dziewięciu grobach i o innych, leżących jeszcze dalej...

- Chciałabym zobaczyć kiedyś Claanę - mówiła właśnie. - Niebieskie słońce i te wszystkie księżycy...

- Być może zobaczysz - odparł uspokajająco, chociaż bez większego wysiłku domyślić się mógł czekającej ją tutaj przyszłości. Wyjdzie za mąż za miejscowego chłopca i przez resztę swego przywróconego właśnie życia będzie zwykłą kurą domową. Jedynie pomarańczowy kamyk być może będzie przypominał jej czasami marzenia dzieciństwa. "Ale mogło być gorzej" - pomyślał, przypominając sobie wieczór, który spędził na wzgórzach ponad miastem. Italbar mógłby być całkiem przyjemnym miejscem dla zakończenia czyjejś wędrówki...

Do pokoju wszedł dr Helman. Skinął im głową, ujął dziewczynkę za nadgarstek i spojrzał na chrono.

- Jesteś troszeczkę podniecona, Luci - oświadczył, kładąc jej dłoń na kołdrę. - Pan H z pewnością opowiedział ci zbyt wiele swych przygód.

- Och nie! - wykrzyknęła. - Chciałam, aby mi opowiadał. Był wszędzie. Widzi pan ten kamień, który mi podarował? Założę się, że przynosi szczęście. Pochodzi z Claany, świata o błękitnym słońcu i jedenastu księżycach. Ludzie żyją tam w morzu...

Lekarz spojrzał na kolekcję kamieni.

- Są bardzo ładne. Lecz teraz chcę, abyś troszeczkę odpoczęła.

Heidel zebrał z pościeli resztę kamieni i umieścił je w opatrzonym monogramami worku, z którym się nigdy nie rozstawał.

- Lepiej będzie, jeżeli już sobie pójdę, Luci - powiedział. - Cieszę się, że czujesz się już

lepiej. Bardzo przyjemnie mi było z tobą rozmawiać. Zdrowiej szybko.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

Helman szedł przed nim.

- Wróci pan do mnie jeszcze, prawda? - zapytała, unosząc się na posłaniu i wpatrując się w niego rozszerzonymi niepokojem oczami. - Proszę, panie H...

- Nie wiem, Luci - powiedział cicho. - Zobaczymy.

- Niech pan wróci... - usłyszał jej cichy głos, gdy wychodzili do hallu. Westchnął.

- Zareagowała w zadziwiający sposób - powiedział Helman. - Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć.

- A co z innymi?

- U wszystkich, których pan odwiedził, postępy choroby zatrzymały się, a w niektórych przypadkach wystąpiła nieznaczna poprawa. Chciałbym kiedyś zrozumieć, dlaczego. A tak przy okazji, pańska krew jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym, niż wykazują to oficjalne raporty. Przeglądałem wyniki z naszego laboratorium. Chcielibyśmy pobrać więcej próbek, by wysłać je do Landsen do dalszych analiz.

- Nie - uciął Heidel. - Wiem, że moja krew jest niezwykła. Wysyłając ją na Landsen, nie dowiecie się wiele nowego. Jeżeli wasi naukowcy są zainteresowani bardziej szczegółowymi raportami, mogą je otrzymać, zwracając się do komputera Panopath w SEL. Moja krew została tam przetestowana na wszelkie możliwe sposoby. A zresztą, już wkrótce moja obecność tutaj stanie się bardzo niebezpieczna. Muszę iść.

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę wind.

- Ta "równowaga", o której pan wspominał - zagaił ponownie Helman. - Nie ma takiej rzeczy. Ujmuje pan to tak, jakby czynniki chorobotwórcze w pańskim organizmie prowadziły pomiędzy sobą wojnę, podpisując chwilowy rozejm, podczas którego zatracają całkowicie swój agresywny charakter. To przecież absurd. Ciało ludzkie nie zachowuje się w taki sposób.

- Wiem - odparł Heidel po wejściu do windy. - To po prostu analogia. Jak już powiedziałem, nie jestem lekarzem. Wymyśliłem więc własne, proste terminy, którymi tłumaczę zachodzące wewnątrz mnie procesy. Może je pan sobie interpretować, jak się panu żywnie podoba. Mnie interesują wyłącznie efekty.

- Wejdzie pan do biura? - zapytał Helman, gdy winda zatrzymała się na parterze i wysiedli.

- Powiedział pan, że wkrótce musi nas opuścić, a ja wiem, kiedy przybywa po pana pański pojazd. Oznacza to, że wybiera się pan w góry, by zapaść w kolejną komę. Mógłbym zalecić obserwację i...

- Nie! - uciął Heidel. - To już koniec. Ostatecznie i nieodwołalnie. Nie pozwolę, by ktokolwiek przebywał blisko mnie, gdy zapadnę w śpiączkę. To zbyt niebezpieczne.

- Mogę pana odizolować.

- Nie zgadzam się. Jestem odpowiedzialny za zbyt wiele zgonów. Rzeczy, które robię w takich ośrodkach, jak ten tutaj, są formą częściowego zadośćuczynienia z mojej strony. Nie chcę ryzykować, mając dookoła siebie ludzi - nawet przeszkolonych. Przykro mi. I nieważne, że ze swej strony podjąłby pan maksymalne środki ochronne. Zawsze coś mogłoby pójść nie tak.

Helman ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami.

- A gdybym panu oświadczył, że byłbym lekarzem nadzorującym taką obserwację?

- No cóż... Przykro mi. Lepiej już pójdę. Obaj mężczyźni wymienili uściski dłoni.

- Dziękuję za wszystko - powiedział Helman. - Bogowie byli łaskawi.

"Być może dla twoich pacjentów" - pomyślał Heidel. Jednak głośno powiedział jedynie:

- Do widzenia, doktorze. - Przeszedł przez drzwi prowadzące do lobby.

Mijał właśnie siedzącą na krześle kobietę, gdy ta niespodziewanie schwyciła go za rękę i przyciągnęła bliżej.

- Dziękuję panu - mówiła. - Niech pana bogowie błogosławią.

Spojrzał w dół, na zmęczoną twarz i podpuchnięte, zaczerwienione oczy. Była matką Luci.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajająco. - Jest grzeczną małą dziewczynką.

Podczas gdy kobieta uczepliła się jego lewego ramienia, prawą dłoń pochwycił mocnym uściskiem mężczyzna ubrany w luźne portki i sweter. Zniszczona przez wiatry twarz wykrzywiona była w szerokim uśmiechu, który ukazywał rząd nierównych zębów.

- Dziękuję panu bardzo, panie H. - Jego dłoń, potrząsająca rękę Heidela, była wilgotna od potu. - Wszyscy modliliśmy się w świątyniach o powodzenie pańskiej misji. I wygląda na to, że nasze modły zostały wysłuchane. Niech błogosławią pana wszyscy nasi bogowie! Proszę, niech pan przyjdzie dzisiaj do nas na kolację.

- Dziękuję, lecz naprawdę muszę już iść - odparł Heidel. - Nim przybędzie mój transport, mam tu jeszcze do załatwienia kilka spraw.

Gdy wreszcie udało mu się od nich uwolnić i odwrócić się, stwierdził, że lobby wypełnione jest ludźmi. Spośród wielu słów wyławiał co rusz "panie H", padające z wielu miejsc na raz.

- Jak pan to robi, panie H...? Czy mogę prosić o autograf...? Mój brat ma alergię. Czy mógłby pan...? Chciałbym zaprosić pana na mszę dziękczynną, sir. Moja parafia... Czy leczy pan na odległość...? Panie H, czy zechciałby pan złożyć oświadczenie dla...

- Proszę - przerwał, wodząc wzrokiem wzdłuż stłoczonych dookoła twarzy i kamer. - Muszę już iść. Doceniam wasze zainteresowanie i wdzięczność, lecz nie mam nic do powiedzenia. Pozwólcie mi przejść.

Lecz lobby zatłoczone było gęsto ludźmi, którzy cisnęli się nawet u drzwi. Dorośli

podnosili dzieci w górę, by mogły go zobaczyć. Spoglądając przez szklaną ścianę, spostrzegł, iż gęstniejąca szybko ciżba zatarasowała prawie całą ulicę.

- ...Panie H, mam dla pana prezent, sama upiekłam... Mogę podwieźć pana, dokądkolwiek pan zechce... Do których bogów się pan modli, sir.“? Mój brat ma alergię...

Z wysiłkiem przepchnął się do kontuaru recepcji, za którym siedziała ta sama dziewczyna, która powitała go dwa dni wcześniej.

- Nie uprzedzono mnie o tym - oświadczył z nutą gniewu.

- My także nie spodziewaliśmy się czegoś takiego - usprawiedliwiła się dziewczyna. - Zebrali się tu w przeciagu kilku minut. Nie mogliśmy nic na to poradzić. Niech pan przejdzie tym korytarzykiem na tyły budynku, a ja oświadczę, że nikt nie ma prawa tam wchodzić. Zaraz zadzwonię po kogoś, kto pokaże panu drogę.

- Dzięki.

Ponownie przeszedł przez drzwi, rozdzielając wokół uśmiechy i wymachując wesoło ręką.

Gdy zniknął, w lobby zapanowała wrzawa. Słyszał płacz i gorączkowe pytania, co się z nim stało.

W końcu ruszył za młodym przewodnikiem, który poprzez płataninę korytarzy doprowadził go do wyjścia awaryjnego na tyłach szpitala.

- Czy mam gdzieś pana podwieźć? - zapytał mężczyzna. - Gdy ten tłum zobaczy pana spacerującego na piechotę...

- Niezła myśl... - odparł Heidel. - Niech mnie pan podrzuci kilkanaście bloków w stronę tych wzgórz. - Wskazał w kierunku wzniesień, które mijał po drodze do Italbar.

- Mogę pana zawieźć aż do podnóża tych gór. Zaoszczędzi pan sobie nielicznego spaceru.

- Dzięki, lecz po drodze muszę się jeszcze gdzieś zatrzymać i uzupełnić zapasy. Może zjem coś ciepłego. Czy zna pan jakieś odpowiednie miejsce?

- Oczywiście, nawet kilka. Zabiorę pana tam, gdzie będzie pan miał chwilę spokoju. Proszę wsiadać. - Wskazał na stojący w pobliżu samochód.

Dotarcie do polecanego przez kierowcę miejsca nie nastąpiło poważnych trudności. Był to wąski sklepik o drewnianej podłodze, gdzie od frontu sprzedawano produkty żywnościowe, a na zapleczu znajdowało się niewielkie pomieszczenie, w którym podawano wytwory miejscowej kuchni. Gdy zatrzymali się przed frontem budynku, kierowca sięgnął pod koszulę i wydobyl zielony amulet - jaszczurkę z biegnącą wzdłuż grzbietu srebrną inkrustacją.

- Wiem, że zabrzmiało to dla pana śmiesznie, panie H - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Ale czy mógłby pan ją dla mnie dotknąć?

Heidel spełnił jego prośbę i zapytał:

- Dlaczego?

Młody człowiek roześmiał się, rozejrzał szybko dookoła i wepchnął amulet pod koszulę.

- No cóż. Chyba jestem odrobinę przesądny. Ta rzecz przynosi mi szczęście. A gdy wszyscy mówią o panu w ten sposób, pomyślałem, że nie zaszkodzi poprosić.

- Wszyscy mówią? Co takiego? Tylko proszę mi nie opowiadać, że ta legenda o "świętym mężu" dotarła za mną aż tutaj!

- Obawiam się, że to prawda, sir. Ale kto to wie? Być może jest w tym rzeczywiście trochę prawdy.

- Pracuje pan przecież w szpitalu. Większość czasu spędza pan pośród naukowców.

- Och, oni w większości są tacy sami. Być może dlatego, że żyjemy tu na takim odludziu. Nasi kaznodzieje twierdzą, że jest to spowodowane powrotem do natury. Wie pan, nasi przodkowie przed wiekami zamieszkiwali ogromne miasta. Jednak, jakkolwiek jest tego powód, dziękuję, że nie odmówił pan mojej prośbie.

- To ja dziękuję za podwiezienie mnie.

- Niech bogowie będą panu przychylni.

Heidel wysiadł z samochodu i wszedł do sklepu. Uzpełnił zapasy, przeszedł do pozbawionego okien pokoiku na zapleczu i zasiadł przy stole. Oświetlenie stanowiło osiem antycznych, upstrzonych insektami lamp. Mimo że był jedynym klientem, musiał czekać dobrą chwilę, nim go obsłużono. Zamówił piwo i stek. Nauczony doświadczeniem z krótkich pobytów w najróżniejszych światach, zaniechał dociekań co do natury stworzenia, z którego stek ów został wycięty. Popijając zimne piwo, zastanawiał się nad swoją sytuacją.

Był wciąż jeszcze geologiem. Było to jedyne zajęcie, które potrafił wykonywać dobrze i bezpiecznie. Prawdą jednak było, iż żadna z większych kompanii nie zatrudniłaby go jako pracownika. Nie wiedząc kim jest, uważali go za dziwaka, który prędzej czy później przysporzy im kłopotów. Nie ustawiało go to w szczególnie silnej pozycji przetargowej, jako że on ze swej strony także wolał nie ryzykować, pracując pośród ludzi. Jednak mniejsze kompanie chętnie wynajmowały go w charakterze niezależnego rzeczoznawcy. To dziwne, lecz w ten właśnie sposób zarobił więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przedtem w swym życiu. A teraz, gdy już je miał, nie wiedział właściwie, na co je wydawać. Trzymał się z daleka od miast, ludzi, wszystkich tych miejsc, w których pieniądze wydaje się w dużych ilościach. Poprzez wszystkie te lata przywykł już do swej samotnej egzystencji, tak że nawet niewielkie zbiorowisko ludzkie - tak jak ten tłum przy szpitalu - wpływało na niego deprymująco. Chciał nawet, by tak pozostało - na starość marzył mu się domek wśród lasów czy chata nad bezludnym brzegiem morza. Jego ulubione cygara, kolekcja minerałów, kilka książek i trochę przechowywanych w Centrali Informacyjnej pamiątek - to



wszystko, czego naprawdę pragnął.

Pograżony w rozmyślaniach, jadł powoli, delektując się każdym kęsem. Po chwili przysiadł się do niego spragniony nowin właściciel sklepu. Był ciekaw, dokąd się właściwie udaje z tym workiem i tyloma zapasami żywności.

Wyjaśnił, że ma zamiar rozbić się obozem w górach. Po co? Miał już odpowiedzieć natrętnemu staruszkowi, że to nie jego interes, gdy nagle przyszło mu do głowy, że być może jego rozmówca także czuje się samotny. Pokój jadalny i sam sklep nie sprawiały wrażenia cieszących się wysoką frekwencją. Najprawdopodobniej właściciel nie ogląda zbyt wielu ludzi. I jest już stary.

Tak więc Heidel opowiedział mu wymyśloną naprędce historyjkę o wyprawie w góry. Mężczyzna słuchał uważnie, kiwając od czasu do czasu głową. Wkrótce role odmieniły się. Heidel słuchał, a sklepikarz snuł jedną opowieść po drugiej.

Skończył posiłek i zapalił cygaro.

Stopniowo, wraz z upływem czasu Heidel stwierdził, że jest nawet wdzięczny staruszkowi za towarzystwo. Zamówił jeszcze jedno piwo, a po skończeniu cygara szybko zapalił następne.

Ponieważ w pomieszczeniu nie było okien, nie wiedział, że na zewnątrz zapada już zmierzch. Zaczął opowiadać właścicielowi o innych światach, pokazał nawet swoją kolekcję kamieni. Ten z kolei opowiedział mu o farmie, którą kiedyś posiadał.

Gdy na niebie zapaliły się już pierwsze gwiazdy, tknięty nagłym przeczuciem Heidel spojrzał na swe chrono.

- To niemożliwe, by było tak późno! - prawie to wykrzyczał.

Staruszek spojrzał na jego chrono, a potem na swoje.

- Obawiam się, że to prawda. Przepraszam, że tyle czasu pana zatrzymałem. Pan się z pewnością spieszy...

- Nie, wszystko w porządku - odparł Heidel. - Po prostu na chwilę straciłem poczucie rzeczywistości. Lepiej jednak, bym już sobie poszedł.

Zapłacił rachunek i szybko oddalił się. Nie miał zamiaru naciągać zbytnio wątego marginesu bezpieczeństwa.

Skręcił w prawo i kierując się światłem gwiazd, ruszył szybko w stronę, z której przybył. Po piętnastu minutach opuścił centrum handlowe i wkroczył w podmiejską dzielnicę willową. Gęstniejący szybko mrok jeły rozpraszać zainstalowane przy domkach lampy jarzeniowe.

Przechodząc obok kamiennego kościoła, z którego witrażowych okien sączyło się kolorowe światło, ponownie poczuł to dziwne oszołomienie, jakim zawsze napawały go takie miejsca, jak to. Po raz pierwszy tego doświadczył - ale czego właściwie? - jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu. Obojętnie, jakby to było dawno, wciąż pamiętał to wydarzenie niezwykle wyraźnie. I wciąż

przyprawiało go ono o dreszcz niepokoju.

Działo się to pewnego upalnego dnia na Murtanii. Był właśnie w połowie drogi z miasta do miasta, gdy lejący się z nieba żar sprawił, że dalsza wędrówka stała się niemożliwa. Poszukał osłony przed palącymi promieniami słońca w jednej ze strantryjskich świątyń, w których zawsze panowały chłód i mrok. Usiadł w cieniu, opierając się wygodnie plecami o ścianę, i odpoczywał. Ledwo przymknął oczy, gdy do świątyni weszło dwóch wyznawców. Jednak zamiast pogрузić się w medytacjach, tak jak tego oczekiwał, nowo przybyli zaczęli rozprawiać o czymś z ożywieniem, zduszonymi szeptami. Po chwili jeden z nich wyszedł, a drugi zajął miejsce przed centralnym ołtarzem. Niewidoczny ze swego miejsca, Heidel przyglądał mu się z uwagą. Obcy był Murtańczykiem, którego membrany skrzelowe były rozdęte i zaczerwienione, co wskazywało na znaczny stopień podniecenia. Nie schylił głowy. Zamiast tego patrzył wprost przed siebie. Heidel powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem i stwierdził, że obcy wpatruje się w szklane wizerunki bóstw, które nieprzerwanym rzędem biegły wzdłuż wszystkich ścian kaplicy. Mężczyzna wpatrywał się szczególnie w jeden wizerunek, który wydawał się emanować błękitną poświatą. Gdy jego wzrok spoczął na wizerunku bóstwa, Heidel odczuł coś na kształt elektrycznego szoku. Po chwili wstrząs zastąpiony został dziwnym uczuciem oszołomienia. Miał jedynie nadzieję, iż nie uaktywnia się żadna z jego starych chorób. Ale nie, to nigdy nie odbywało się w taki sposób. Odczuwał niezwykle ożywienie, jak podczas upojenia alkoholowego, chociaż od kilkunastu już dni nie miał w ustach ani kropli alkoholu. A potem cała kaplica jęła zapełniać się wiernymi. I nim zdążył się zorientować, przystąpiono do celebrowania mszy. Uczucie ożywienia i potęgi wydawało się narastać - aż nagle, zupełnie niespodziewanie wszystko się odmieniło. W jednej chwili pragnął wyjść ze swego ukrycia i przyłączyć się do tych ludzi, nazywać ich "braćmi", dotknąć ich i uzdrowić z wszelkich chorób, a w następnej już ich nienawidził. Żałował, że niedawno przeszedł kolejną komę i nie może zarazić całego zgromadzenia jakąś śmiertelną infekcją, która rozprzestrzeniłaby się niczym płomień w morzu benzyny i powaliłaby ich wszystkich jednego dnia. Miotany tymi powtarzającymi się cyklicznie nastrojami, zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie zwariował. Zawsze był człowiekiem łatwym w obejściu, który ani nie sprawiał kłopotów, ani ich nie szukał. Ludzi, których poznawał, nie darzył jakimś szczególnym uczuciem, lecz zawsze przyjmował takimi, jakimi byli. Nie mógł więc zrozumieć uczucia bezrozumnej wściekłości, które nagle nim owładnęło. Odczekał, dopóki ostatnia fala nienawiści nie minie, a potem wstał i pomknął chyłkiem do wyjścia. Nim do niego dotarł, ponownie popadł w stan euforii i zapragnął brać po kolei w ramiona wszystkich mijanych po drodze. Stopnie prowadzące na leżący powyżej trakt pokonał prawie biegiem. W kilka minut później wszystkie te dziwaczne uczucia zniknęły. Początkowo zamierzał skonsultować się z psychiatrą, lecz szybko zarzucił ten pomysł.

Na własny użytek wyjaśnił sobie te zjawiska jako efekt szybkiego przejścia z upału w chłód, wzmocniony dodatkowo napięciem towarzyszącym odwiedzeniu nowych światów. Nigdy nie doświadczył już podobnego fenomenu. Od tej pory jego noga nie przestąpiła progę żadnej świątyni. Nawet gdy jakąś mijał, zawsze towarzyszyło mu uczucie niesprecyzowanego lęku - jedyna pamiątka po pobycie na Murtanii.

Na rogu zatrzymał się, by przepuścić trzy przejeżdżające pojazdy. Nagle za sobą usłyszał czyjś nawołujący głos:

- Panie H!

Zza drzewa wynurzył się chłopiec i ruszył szybko w jego kierunku. Mógł mieć około dwunastu lat. W lewym ręku trzymał czarna smycz, której koniec przypięty był do obroży na szyi przeszło metrowej, zielonej jaszczurki. Szła za chłopcem, kołysząc się niezgrabnie, postukując ostrymi pazurkami o bruk. Kiedy otworzyła paszczę i wysunęła w jego kierunku długi, rozwidlony język, Heidel odniósł wrażenie, że gad się uśmiecha.

- Panie H, poszedłem do szpitala, aby zobaczyć pana wcześniej, ale pan już wychodzi), więc widziałem pana tylko przelotnie. Słyszałem, że uleczył pan Luci Dom. Spotkanie pana na ulicy to prawdziwe szczęście.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnął Heidel, lecz chłopiec już ścisnął jego rękę i wpatrywał się w jego twarz oczami, w których tańczyły gwiazdy.

Heidel wyrwał dłoń i cofnął się o kilka kroków.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł. - Wydaje mi się, że zaczynam mieć gorączkę.

- A więc nie powinien pan przebywać na takim chłodnym powietrzu. Noce są tu zimne. Moi rodzice z radością pana przenocują.

- Dziękuję, lecz mam umówione spotkanie.

- To jest mój larick. - Chłopiec pociągnął lekko za smycz. - Nazywa się Chan. Siadaj, Chan.

Jaszczurka otworzyła paszczę, kucnęła, a potem zwinęła się w kulkę.

- Nie robi tego, gdy nie ma na to ochoty - wyjaśnił chłopiec. - A teraz chyba nie ma. Ale gdy już usiądzie, stanowi naprawdę pocieszny widok. Podpiera się na ogonie. No dalej, Chan! Usiądź dla pana H! - krzyknął, szarpiąc smycz.

- W porządku, chłopcze - powstrzymał go Heidel. - Być może jest po prostu zmęczona. Posłuchaj, muszę iść. Ale może spotkamy się jeszcze, nim opuszczę miasto. Dobrze?

- Dobrze. Cieszę się, że pana spotkałem. Dobranoc.

- Dobranoc.

Heidel przeszedł na drugą stronę ulicy i przyspieszył kroku. Tuż obok niego zatrzymał się

samochód.

- Hej! Pan jest doktor H, prawda? - wykrzyknął ktoś z wnętrza pojazdu.

Odwrócił się.

- Zgadza się.

- Tak pomyślałem, gdy dostrzegłem pana na rogu. Rozmyślnie zawróciłem, by się o tym przekonać.

Heidel odsunął się od wehikułu, zamierzając ruszyć w dalszą drogę.

- Dokąd się pan udaje? Może podwieźć pana?

- Nie, dziękuję, jestem już prawie na miejscu.

- Jest pan pewny?

- Tak. Ale doceniam, że chciał mi pan pomóc.

- A więc dobrze. Nazywam się Wiley - powiedział kierowca, wyciągając przez okno dłoń.

Heidel szybkim ruchem schował prawą rękę za plecami.

- Wsadziłem rękę w jakiś smar. Ubrudzę pana - powiedział, lecz mężczyzna ujął lewą dłoń, uścisnął lekko i cofnął się do wnętrza pojazdu.

- OK, wszystkiego dobrego - powiedział i odjechał.

Heidel miał ochotę wrzeszczeć. Miał ochotę wykrzyknąć temu światu, by przestał go dotykać i pozostawił w spokoju. Następne dwie przecznice minął biegiem. W chwilę później tuż obok niego zwolnił kolejny samochód, lecz Heidel odwrócił twarz i pojazd, nie zatrzymując się, pomknął dalej. Siedzący na ganku i ćmiący fajkę mężczyzna powiedział coś i wstał. Heidel puścił się biegiem.

W końcu znalazł się na obszarze, gdzie odległości pomiędzy zabudowaniami stawały się coraz większe. Światło gwiazd przyćmiewały porozmieszczane tu sporadycznie lampy. Wszedł na trakt, kierujący go do podnóża wzgórz.

Wkrótce wspinał się już ponad miasto. Nie obejrzał się ani razu.

Jackara, z rozwianymi na wietrze czarnymi włosami, gnała poprzez okalające Capcville wzgórza, ściskając kolanami pokryte rogowymi płytkami boki dosiadanego przez siebie ośmionogiego kooryaba. Samo miasto, przesłonięte w tej chwili welonem mgły, leżało dużo niżej, po jej lewej stronie.

Tam właśnie niezliczone okna wysokich budynków lśniły w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Jackara, patrząc na piętrzące się za miastem chmury, wyobrażała sobie, że jest to gigantyczna, wznosząca się ku niebu, spieniona fala przyływu, gotowa w jednym ataku niszycielskiej siły pogrzebać cały kontynent na dnie oceanu, zamieniając go wraz z upływem wieków w zaginioną Atlantyde Deiby.

Dziewczyna, ubrana w spodnie i białą tunikę, przepasaną czerwonym pasem, z widniejącą nad błękitnymi oczyma czerwoną opaską, przytrzymującą jej powiewające włosy, miotła najwymyślniejsze przekleństwa we wszystkich znanych sobie językach świata. Gwałtownie zatrzymała swego wierzchowca i gdy zwierzę zasyczało gniewnie, uniosła się w strzemionach.

- Płoń, cholera! Płoń! - krzyknęła w stronę znienawidzonego miasta.

Płomienie jednak nie były posłuszne jej wezwaniom.

Dobyła ukryty pod tuniką niezarejestrowany pistolet laserowy, wycelowwała w stronę niewielkiego drzewa i nacisnęła spust. Przecięty strumieniem światła pień chwiał się przez chwilę, a potem runął w dół zbocza, pociągając za sobą lawinę kamieni. Widząc to, kooryab drgnął gwałtownie. Udało jej się go uspokoić, wzmacniając uścisk kolanami i przemawiając doń łagodnie.

Chowając pistolet do kabury, ponownie spojrzała na miasto oczyma, w których tlił się zimny ogień szaleństwa.

Nie chodziło tu o samo Capeville czy o dom publiczny, w którym pracowała. Nie. Nienawidziła całego obszaru skupionego w Zjednoczonych Ligach. Nienawidziła z pasją, jaka bardzo rzadko stawała się udziałem zwyczajnych ludzi. Była jak nawiedzona. Niech inne dziewczęta w dni wolne od pracy odwiedzają kościoły. Niech obzerają się słodyczami i tyją. Niech czekają z utęsknieniem na prawdziwą miłość. Jackara uganiała się po wzgórzach i ćwiczyła w strzelaniu.

Pewnego dnia - a miała nadzieję, że wydarzy się to jeszcze za jej życia - będzie prawdziwy ogień, spadną prawdziwe bomby i rakiety, siejąc dookoła spustoszenie i śmierć. Przygotowywała się na ten dzień jak oblubienica do nocy poślubnej. Gdy ten dzień wreszcie nadejdzie, pragnęła jedynie zabijać dla słusznej sprawy i umrzeć z jej imieniem na ustach.

Była bardzo młoda - jak przypuszczała, mogła mieć wtedy cztery lub pięć lat - kiedy jej rodzice wyemigrowali na Deibę. Wraz z wybuchem konfliktu ze względu na ich pochodzenie przesiedlono ich do Centrum Relokacji. Gdyby miała pieniądze, mogłaby powrócić. Wiedziała jednak, iż nigdy ich nie zdobędzie. Rodzice nie przeżyli przeciągającego się konfliktu zbrojnego pomiędzy Zjednoczonymi Ligami a DYNAB. Po zakończeniu wojny dostała się pod kuratelę stanu. Gdy znalazła się w wieku odpowiednim do szukania zatrudnienia, szybko przekonała się, że stare piętno pozostaje wiecznie żywe. I tak wylądowała w kontrolowanym przez państwo domu publicznym w Capeville, który był jedyną placówką, przyjmującą ten typ dziewcząt. Nigdy nie miała opiekuna ani przyjaciela, nigdy też nie starała się o zmianę pracy. Czuła, że ktoś w jej aktach zakreślił na czerwono: "prawdopodobnie sympatyk DYNAB", piętnując ją w ten sposób na całe przyszłe życie.

"Bardzo dobrze - zdecydowała już dawno temu, rozważając swą sytuację. - Bardzo dobrze.

Zabraliście mnie, przyrzekliście mi się i odrzuciliście. Opatrzyliście nie chcianym przeze mnie imieniem. Przyjęłam je, usuwając jedynie "prawdopodobnie". Gdy nadejdzie czas, stanę się złośliwym rakiem, atakującym serce waszego kwiatu".

Inne dziewczęta rzadko odwiedzały ją w pokoju, ponieważ sprawiał on na nich deprymujące wrażenie. Przy tych kilku okazjach, gdy to uczyniły, przez cały czas chichotały nerwowo i szybko wychodziły. Nie było tu żadnych atlasów ani koronek, żadnych fotografii przystojnych aktorów - pomieszczenie Jackary było proste i surowe niczym cela. Jedynie nad łóżkiem widniał namalowany portret Malacara, mściciela, ostatniego człowieka na Ziemi, a na przeciwnej ścianie wisiała para grubych pejczy, o rękojeściach okręconych srebrną nicią. Niech pozostałe dziewczynki zajmują się zwykłymi klientami. Ona chciała tylko takich, których mogła lżyć i upokarzać. A im silniej ich upokarzała, tym częściej do niej wracali. I każdej nocy przemawiała do portretu żarliwym, przypominającym modlitwę szeptem: "Pobiłam ich, Malacarze, tak jak ty pobiłeś i zniszczyłeś ich miasta, ich światy, jak niszczysz i będziesz niszczył ponownie. Pomóż mi być silną, Malacarze. Daj mi siłę, bym mogła ranić i niszczyć. Pomóż mi, Malacarze. Proszę, pomóż mi. Zniszcz ich wszystkich!" Czasami późną nocą lub wczesnym rankiem budziła się z płaczem, sama nie wiedząc, dlaczego.

Zawróciła wierzchowca i ruszyła w stronę szlaku, który prowadził poprzez wzgórza w kierunku przeciwnego brzegu półwyspu. Dzień był jeszcze młody, a jej serce na wieść o ostatnich wydarzeniach na Blanchen było pełne radości.

Heidel wypił pełną menażkę wody i połowę następnej. Nad miejscem, w którym się rozłożył na noc, panowała głęboka ciemność. Położył się na plecy i opierając głowę na splecionych razem dłoniach, zapatrzył się w niebo. Wydarzenia poprzedniego dnia wydawały się być niezwykle odległe. Za każdym razem, kiedy budził się po okresie śpiączki, miał wrażenie, że rozpoczyna nowy etap życia. Wszystko to, co wydarzyło się przedtem, wydawało się równie mało znaczące, jak zapomniane już z dawna listy, odkryte przypadkowo po latach w starym koszu na strychu. Wiedział, że to dziwne uczucie powinno opuścić go po godzinie.

Na widok spadającej gwiazdy uśmiechnął się. "Zwiastun mego ostatniego dnia na Clcech" - pomyślał.

Spojrzał na jarzące się w mroku chrono. Tak, jego przyćmione mgiełką snu oczy nie zawiodły go. Do świtu wciąż jeszcze pozostało kilka godzin.

Przetaił oczy i powrócił myślami do jej piękna. Tym razem wydawała się być bardzo cicha. Chociaż rzadko pamiętał słowa, wydawało mu się, że padło ich zaledwie kilka. Czyżby smutek maskował czułość? Przypomniawszy sobie jej dłoń na czole i coś wilgotnego, co upadło na jego

policzek.

Potrząsnął głową i przesunął dłonią po brodzie. A może rzeczywiście, tak jak to podejrzewał, zwariował już dawno temu, jeszcze w tej stantryjskiej świątyni? Przecież myślenie o niej jak o rzeczywistej osobie jest czystym szaleństwem.

Lecz z drugiej strony...

Jak właściwie można by wytłumaczyć powtarzający się sen? Trwający w dodatku przez przeszło dekadę? Chociaż nie był to właściwie sen w dosłownym znaczeniu tego słowa. Dialogi i nastroje zmieniały się. Jedynie otoczenie pozostawało takie samo. Jednak za każdym razem, gdy zabierano go w to dziwne, tchnące nieziemskim spokojem miejsce, doznawał uczucia miłości i siły. Być może powinien skonsultować się z psychiatrą. To znaczy, gdyby chciał ponownie poukładać sobie życie, ale wcale nie był pewny, czy rzeczywiście tego pragnie. Był samotny przez większość czasu, kto więc miałby go skrzywdzić? Pomagał ludziom, a oni ze swej strony stanowili przyjemną odmianę pomiędzy okresami komy. Dlaczego pozbawiać się tak niewinnej przyjemności, jaką stanowiły te sny? Nie wydawały się powodować postępującego rozstroju, a przynosiły mu spokój i chwilowe ukojenie.

Leżał jeszcze przez kilka godzin, rozmyślając o przyszłości. Obserwował pierwsze błyski rodzącej się jutrzeńki i gasnące kolejno gwiazdy. Przez chwilę zastanawiał się, co dzieje się na innych światach. Upłynęło już dużo czasu, odkąd po raz ostatni był w Centrali Informacyjnej.

Gdy świt podzielił już świat na niebo i ziemię, wstał, umył się i ubrał. Zjadł przygotowane naprędce śniadanie, spakował się, zarzucił worek na plecy i ruszył w dół zbocza.

Pół godziny później wkraczał już na peryferie miasta.

Przechodząc przez ulicę, usłyszał bijący z monotonną regularnością dzwon.

"Śmierć - pomyślał. - Pogrzeb". I ruszył dalej.

Do dźwięku dzwonu dołączyło się jęklive zawodzenie syren. Kroczył dalej, nie próbując nawet odszukać źródła tego dźwięku.

Zatrzymał się przed sklepem, w którym uzupełnił zapasy kilka dni temu. Był zamknięty, a drzwi przybrane były żałobnym kirem.

Nagle, obawiając się najgorszego, ruszył dalej.

Na rogu zatrzymał się, by przepuścić kroczącą wolno procesję. Pośrodku sunął czarny, przystrojony kwiatami karawan.

"A więc tu wciąż jeszcze chowają swych zmarłych - przemknęło mu przez głowę. - Nie, to z pewnością nie to, o czym myślę. To po prostu zgon, zwykły zgon... I kogo właściwie staram się oszukać?..."

Przechodzący obok niego mężczyzna niespodziewanie odwrócił się i splunął na niego.

"Znowu? Co się ze mną stało?"

Przeszedł przez ulicę i skierował się w stronę lotniska.

"Jeżeli to ja jestem za to odpowiedzialny, to w jaki sposób mogliby dowiedzieć się o tym tak szybko?" - zapytywał siebie w duchu.

Nie mogli, z całą pewnością...

Lecz nagle pomyślał o sobie w sposób, w jaki widzieli go inni. Wybraniec bogów, cudotwórca, ciśnięty niespodziewanie w sam środek życia. O obopólnym porozumieniu nie mogło być mowy, z pewnością przeważałby strach i lęk przed nieznanym. Pozostał tu zbyt długo. Jego radość z dobrze wykonanego zadania z każdym uderzeniem dzwonu kruszyła się, rozpadała na kawałki i znikła.

Idąc chodnikiem, starał się odwracać twarz.

Powszechną uwagę skupił na nim młody chłopiec, wołając:

- To on! To H!

Nie mógł temu zaprzeczyć - jednak ton tego głosu sprawił, że zaczął żałować swej decyzji o powrocie na lotnisko.

Szedł dalej, a chłopiec - teraz w towarzystwie kilku dorosłych - sunął krok w krok za nim.

"Ale ona żyła - powiedział do siebie. - Dałem jej życie..."

Wielkie zwycięstwo.

Minął samochodowy warsztat naprawczy. Przed frontem siedzieli na składanych krzeselkach robotnicy w niebieskich drelichach. Nie poruszyli się. Palili fajki i spoglądali na niego w milczeniu.

Dzwon nie przestawał bić. Przemykał przez ulice, a ludzie odwracali się od witryn sklepowych, wychylali się z okien i obrzucali go miazdzącymi spojrzeniami.

"Zostałem tu za długo - ponownie przemknęło mu przez głowę. - Nie chciałem przecież, by ktokolwiek ścisnął mnie za rękę i dziękował. W dużych miastach nie ma takich problemów. Oprawdają mnie po zautomatyzowanych jednostkach, które potem sterylizują. Dają mi całe skrzydło, które potem także sterylizują. Widuję bardzo niewielu ludzi - i to jedynie natychmiast po katharsis - i opuszczam miasto w ten sposób, w jaki przybyłem. Lata minęły, odkąd odwiedzałem miasta tak małe, jak to. Stałem się niedbały. To moja wina. Wszystko byłoby w porządku, gdybym po obiedzie nie został tak długo w tym sklepie. Byłoby. Stałem się niedbały."

Spostrzegł ładowaną na karawan trumnę. Za rogiem stał kolejny karawan.

"A więc nie jest to plaga... jeszcze?" - pomyślał.

Na tym etapie mieliby wrażenie, że płoną im ciała. Uciekaliby w panice.

Obejrzał się do tyłu, chociaż po zgiełku, jaki czynili, wiedział już, co zobaczy. I nie omylił



się.

Podążała za nim grupa około tuzina mężczyzn. Spośród wielu głosów wyłowił powtarzane wielokrotnie "H" w różnych odcieniach lęku i złości.

Przejeżdżające obok niego pojazdy zwalniały. Nie spoglądał w ich stronę, ponieważ wiedział, że kierowcy i pasażerowie obrzucali go podejrzliwymi spojrzeniami.

Wkroczył na niewielki plac w centrum miasta, mijając usytuowany tutaj pomnik jakiegoś miejscowego bohatera.

Nagle usłyszał, jak ktoś wykrzykuje wyrazy w języku, którego nie znał. Zaczął się spieszyć; odgłos kroków za jego plecami rósł - najwidoczniej tłum szybko się powiększał.

Przeszedł obok kolejnego kościoła. Tu także bito w dzwony - dźwięk był nienaturalnie czysty i głośny. Z tyłu usłyszał kobiecy głos, wykrzykujący przekleństwa.

Strach, który towarzyszył mu już od pewnego czasu, zaczął się szybko potęgować. Wschodzące coraz wyżej słońce zapowiadało przepiękny dzień, nie miał już jednak nastroju, by się nim cieszyć.

Skręcił w prawo i skierował się w stronę pola leżącego ćwierć mili dalej. Dobiegające z tyłu głosy przybrały na sile - wciąż jednak nie zwracali się do niego bezpośrednio. Usłyszał wypowiedane kilkakrotnie słowo: "morderca".

Na widok twarzy w oknach przyspieszył kroku. Za jego plecami coraz częściej padały przekleństwa. Nie, nie zmuszą go, by biegł. Przechodząc przez ulicę, niemal potrącony został przez samochód. Kierowca obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, przyspieszył i zniknął za rogami.

Wiedzieli, że to on był za to odpowiedzialny. Ludzie umierali, a wszystkie poszlaki wskazywały na niego. Poprzedniego dnia był bohaterem. Teraz stał się wyklęty. A w dodatku ta przeklęta, prymitywna i pełna przesądów aura, która spowijała całe miasto. Wszystkie te wizerunki bóstw, talizmany i przynoszące szczęście symbole - wszystko to sumowało się teraz w coś, co zmuszało go do coraz większego pośpiechu. Czuł, że w swych ograniczonych umysłach przypisują mu kontakty raczej z demonami niż bogami.

... Gdyby nie pozostał tak długo po obiedzie, gdyby udało mu się umknąć przed przechodniami...

"Byłem samotny - rozpaczliwie przekonywał sam siebie. - Gdybym był tak rozważny jak kiedyś, uniknąłbym niebezpieczeństwa i nie miałaby miejsca żadna infekcja. Ale byłem taki samotny..."

- H! - wykrzyknął ktoś ostro, histerycznie. Nie odwrócił się.

Jakieś dziecko stojące obok kosza na śmieci strzeliło do niego z procy.

Gdy przechodził przez przejście dla pieszych, ktoś pstryknął w jego kierunku niedopałkiem

papierosa. Zatrzymał się i nie odwracając czekał. Idący za nim tłum zbił się w zwartą masę. Ktoś go pchnął, ktoś inny uderzył łokciem. Kilka razy usłyszał słowo "morderca".

W przeszłości doświadczył już czegoś podobnego. Nagłe wspomnienie nie dodało mu jednak ducha.

- I co teraz zamierzasz robić, mister? - wykrzyknął ktoś.

Nie odpowiedział.

- Pozarażać jeszcze więcej ludzi? Nie odpowiedział.

Nagle za plecami usłyszał gwałtowny, spazmatyczny kaszel jakiejś kobiety.

Odwrócił się. Niedawno doświadczył oczyszczenia, mógł więc pomóc.

Plująca krwią kobieta osuwała się właśnie na kolana.

- Przepuście mnie - polecił spokojnie, jednak zwarty mur ciał ani drgnął.

Ponad ramionami zdezorientowanych ludzi obserwował bezradnie, jak kobieta umiera lub zapada w komę. Dla niego wyglądała już na martwą.

Zauważył, że chwilowo uwaga tłumu skupiła się na umierającej kobiecie, co dawało szansę na pomyślną ucieczkę. Cofnął się, skręcił za najbliższym rogiem i zaczął biec.

W chwilę później ponownie siedzieli mu na karku.

Po rzuconych w niego przedmiotach zorientował się, iż próbując uciekać, popełnił kolosalne głupstwo. Teraz byli już pewni.

Na chodniku przed nim jęły roztrzaskiwać się kamienie. Jeden uraził go boleśnie w ramię. Zły znak.

Teraz jednak nie mógł się już zatrzymać. Musiał biec - szybciej i szybciej. Ścisnął worek mocniej i pomknął przed siebie.

Jeden z kamieni musnął go po włosach.

- Morderca! Zabójca!

"Co oni właściwie zamierzają?" - przemknęło mu przez głowę.

Przez chwilę rozważał możliwość łapówki. W przeszłości udało mu się dzięki temu wykaraskać kilkakrotnie z podobnych sytuacji. W tej chwili nie miał jednak nic do zaoferowania, a ścigający go z uporem tłum nie wydawał się skłonny do negocjacji.

Niewielki kamyk minął go, odbijając się ze stukotem od ściany budynku. Kolejny rzut był celniejszy - ramię sparaliżował nagle ostry, przejmujący ból.

Następny pocisk gwizdnął mu tuż koło ucha. Potrząsnął głową.

- Drań! - usłyszał wrzask.

- Nie wiecie, co robicie! - wykrzyknął. - To był wypadek!

Trafił go kolejny kamień i na szyi poczuł wilgotną, ciepłą strużkę. Palce, którymi dotknął

urazonego miejsca, splamiły się czerwienią.

Może wbiec do sklepu? Mógłby poszukać schronienia w mrocznym wnętrzu magazynu. Rozejrzał się dookoła, lecz wszystkie wydawały się być już zamknięte. Gdzie była policja?

W plecy uderzyło go kilka kawałków ostrych skał, przejmując całe ciało dotkliwym bólem. Zachwiał się.

- Przybyłem, aby okazać pomoc... - zaczął.

- Morderca!

Upadł na kolana pod gradem kamieni, jednak podniósł się i szybko pobiegł dalej.

Bezskutecznie rozglądał się za jakimś oferującym względne schronienie miejscem. Wszystko było pozamykane.

Coś ciężkiego uderzyło go w plecy i upadł. Tym razem nie podniósł się tak szybko. Poczul na swym ciele kilka kopniaków, ktoś splunął mu w twarz.

- Morderca!

- Proszę... Wysłuchajcie mnie! Mogę to wyjaśnić.

- Idź do diabła!

Nieporadnie, posuwając się na czworakach, dotarł do ściany i usiadł, opierając się o nią plecami. Otoczyli go zwartą ścianą. Posypały się kamienie i razy.

- Proszę! Jestem już bezpieczny! - Drań!

Niespodziewanie owładnęła nim wściekłość. Za to, co z nim robili. Przybył do tego miasta, by służyć im swoim darem i nieść pomoc. Droga do Italbar kosztowała go wiele wysiłku. A teraz leży, krwawiąc, na ich ulicy. Kimże oni są, by go sądzić, obrzucać przekleństwami i ranić? Wściekłość narastała, a wraz z nią moc, o której wiedział, że raz uwolniona, może pozabijać ich wszystkich.

Nienawiść, uczucie ongiś zupełnie mu nieznane, nagle eksplodowała w jego umyśle niczym biały płomień. Żałował, że niedawno przeszedł kolejne katharsis. Byłby teraz nosicielem, zarażającym ich wszystkich.

Razy i kopnięcia nie ustawały.

Skulił się, osłonił dłońmi twarz i cierpiał. "Lepiej mnie zabijcie - pomyślał mściwie. - Bo jeżeli nie, powrócę".

Kiedy po raz ostatni opanowało go podobne uczucie? Nie musiał wysilać zbytnio pamięci, wspomnienie przyszło samo.

Kościół. Stranryjska świątynia. Wtedy właśnie doświadczył nienawiści, jaka owładnęła nim teraz. I teraz dopiero spostrzegł, że miał rację. Dziwne, nie zdawał sobie z tego sprawy wcześniej, gdy...

Żebra bolały go, jakby były połamane. Rzepka w prawym kolanie była przemieszczona. Stracił kilka zębów, a pot i krew z rany na głowie zalewały mu oczy. Tłum w dalszym ciągu obrzucał go wyzwiskami. Musiał stracić na chwilę przytomność, bo kiedy się ocknął, był już sam.

Leżał nieruchomo, więc być może pomyśleli, że już nie żyje. A może po prostu zmęczyli się lub też zrobiło im się wstyd. Nigdy się tego nie dowie.

Leżał na chodniku z plecami przy ścianie, która nie otworzyła się, by dać mu schronienie. Był sam.

Kaszlnął chrapliwie i splunął krwią.

"A więc dobrze - pomyślał. - Próbowaliście mnie zabić. I prawdopodobnie myślicie, że udało wam się tego dokonać. Lecz pozwalając mi żyć, zrobiliście poważny błąd. Jakikolwiek były wasze intencje, nie proście mnie nigdy o wybaczenie czy litość. Zrobiliście błąd".

Podniósł się powoli i chwiejnie ruszył przed siebie.

Grube krople deszczu przyjemnie chłodziły jego rozpaloną twarz. Gdy odzyskał zmysły, stwierdził, że jest już południe, a on sam jakimś tajemniczym sposobem znalazł się w bocznej alejce. Nie pamiętał, by się przyczołgał w to miejsce, a był pewny, iż nikt z nich nie pomógł mu się tu dostać.

Ponownie zapadł w nieświadomość. Kiedy się ocknął, niebo było już ciemne.

Deszcz, który najprawdopodobniej padał bez przerwy, przemoczył go do suchej nitki. Oblizwał wargi.

Ile to już czasu minęło? Spojrzał na chrono. Było oczywiście połamane. Obolałe ciało zdawało się świadczyć, że przeleżał tak całe wieki.

A więc dobrze. Pobili go i obrzucili przekleństwami. Dobrze. Czując w ustach słony smak, splunął w pobliską kałużę czerwoną plwocinę.

"Czy wiecie, kim jestem?"

Przybyłem do was, by pomóc. I pomogłem. A jeżeli w trakcie owej pomocy stałem się przypadkową przyczyną kilku zgonów, czy naprawdę myślicie, że zrobiłem to rozmyślnie?

Nie?

A więc dlaczego?

Ja wiem.

Robimy to, ponieważ czujemy, że musimy tak robić. Czasami pozwalamy jednak, by nasze emocje i całe nasze człowieczeństwo wzięło nad nami górę - tak jak u mnie tego feralnego popołudnia. To prawdopodobnie wtedy zaraziłem jedną lub wszystkie osoby, z którymi się kontaktowałem.

Ale śmierć... Czy byłbym w stanie spowodować ją rozmyślnie u innej istoty ludzkiej?

Nie wtedy.

Teraz jednak, gdy pokazaliście mi podlegszą stronę życia...

Moje emocje i odczucia zmieniły się. Zbiliście mnie niemal na śmierć, gdy próbowałem jedynie dostać się na lotnisko. OK.

Zatem macie we mnie wroga. Zobaczymy, czy możecie tak samo przyjmować, jak rozdawać.

Czy jesteście pewni, że wiecie już o mnie wszystko?

Jestem chodzącą śmiercią.

Naprawdę myślicie, że już załatwiliśmy nasze sprawy?

Jeżeli tak, jesteście w błędzie.

Przybyłem do was, by pomóc. A zostanę, by siać zwątpienie i śmierć".

Leżał jeszcze długie godziny, nim w końcu był w stanie podnieść się i ruszyć przed siebie.

Dr Pels przyglądał się światu.

A więc mieli coś dla niego. Dali mu wskazówkę.

Deibańska gorączka. To był ślad, który naprowadził go na trop H. Podczas nie kończących się nocy i dni, które przepływały obok niego w nic nie znaczącym strumieniu czasu, pewne myśli krystalizowały się i bladły, zostawały na dłużej, w końcu trwały.

H.

H był czymś więcej niż jedynie kluczem do mwalakharan khurr...

Obecność H wydawała się pomocną w leczeniu wielu niezwykłych przypadków.

"Czy to rzeczywiście ta osoba? - zapytał sam siebie. - Człowiek, przez którego zarzuciłem przeszło dwudziestoletnie badania na rzecz tej nowej formy ataku? H nie może żyć wiecznie, podczas gdy ja - tak. W sposób, w jaki żyję obecnie. Ale czy mogę go być absolutnie pewnym?"

Przygotował B Coli do skoku przestrzennego i powtórnie pogрузił się w czytaniu notatek, które właśnie otrzymał.

Dookoła przepływały ciche dźwięki Śmierci i Transfiguracji.

Heidel ocknął się ponownie i pomimo otaczających go w dalszym ciągu ciemności, zorientował się, że leży w rowie. W pobliżu nie było nikogo. Ziemia była błotnista i śliska, lecz na szczęście deszcz przestał już padać.

Z wysiłkiem dźwignął się na nogi i zatoczył się.

Ruszył w stronę pola, które od początku było celem jego wędrówki. Nagle przypomniał sobie o czymś, co dostrzegł tam, spacerując tego dnia, gdy oddał krew - kiedy to właściwie było?

Niespodziewanie odnalazł to, czego szukał.

Szopa nie była zamknięta. Wewnątrz zobaczył pokrywy zdjęte z nieznanym mu urządzeń. Oferowały całkiem znośne schronienie. Co prawda pokryte były kurzem, lecz to nieważne. I tak zaczął już kaszleć.

"Kilka dni - pomyślał. - Tylko tyle, by zabiły się rany. To wystarczy".

Malacar słuchał najnowszych wiadomości. Po wysłuchaniu każdej części wyłączał radio, namyślał się głęboko i włączał je ponownie.

Perseusz prześlizgiwał się pomiędzy słońcami...

Zdrzemnął się, wysłuchując prognoz meteorologicznych dla stu dwunastu planet. Biuletyn Centrali Informacyjnej znudził go. Słuchając programu z Prurii, przez chwilę medytował leniwie o seksie.

Jego statek, wykonujący w tej chwili skok przestrzenny, zatrzyma się dopiero w domu.

*- Zrobiliśmy to - oświadczył Shind.*

*- Zrobiliśmy - odpowiedział.*

*- A ci, którzy zginęli?*

*- Sądzę, że podadzą przybliżoną cyfrę, nim dotrzemy do portu.*

Tym razem Shind nie odezwał się.

## 2.

Siedząc w górnym pomieszczeniu wieży największego portu, samotny mężczyzna spoglądał z góry na swe imperium.

"Idiotyczne? - zapytywał się po raz wtóry. - Nie. Ponieważ nie mogą mnie tu zranić".

Spoglądał na widoczny w tej chwili ocean, który szarym ogromem rozciągał się daleko poza Twierdzę Manhattan - jego dom.

"Mogło być gorzej..."

Jak?

Gdy w całym porcie nie ma nikogo innego, czasami dostaję obłędu...

Być może któregoś dnia..."

Dr Malacar Miles był jedynym człowiekiem na Ziemi. Był tutaj panem, absolutnym monarchą. I wcale o to nie dbał. Ziemia należała do niego. Nikt inny jej nie chciał.

Okna ze szkła ołowiowego umożliwiały mu spoglądanie na połowę tego, co pozostało z Manhattanu.

Unoszący się bez przerwy dym tworzył olbrzymią, czarną chmurę. Lustro, którym manewrował dla lepszego widoku, ukazywało pomarańczowe płomienie.

Radioaktywne piekło.

Jego osłony absorbowały to.

Czasy, kiedy zwracał sobie tym głowę, przeminęły już dawno.

Spojrzał w górę, na majaczący w ostatniej kwadrze księżyc, i czekał.

Gdy wreszcie pojawił się statek, westchnął.

- *Mój brat cierpi* - nadbiegł przekaz Shinda. - *Czy podasz mu teraz lekarstwo?*

- *Tak.*

- *Widziałem tę rzecz dawno temu. Strzeż się.*

Nim udał się do laboratorium, Malacar jeszcze przez chwilę spoglądał na to, co niegdyś było sercem Nowego Jorku. Po fundamentach zrujnowanych budynków pięły się w górę szare nici winorośli. Ich liście były długie, kruche i rdzawe. Dym sprawiał, że czerniały i więdły, lecz wciąż rosły nowe. Widział to nawet teraz. Żadna istota ludzka nie mogłaby przeżyć w kanionach śmierci, które skrywały. Bez specjalnego powodu nacisnął guzik i rakieta średniego zasięgu o jądrowej głowicy zniszczyła oddalony o kilkanaście mil budynek.

- *Będę musiał podać twemu bratu karanię. Oslabi to jednak troszeczkę jego funkcje oddechowe.*

*- Ale poprawi kondycję ogólną, prawda? - Tak.*

*- A więc musimy to zrobić.*

*- Zabierz go do laboratorium.*

*- Dobrze.*

Po raz ostatni spojrzął na swe królestwo i prześwitujące pomiędzy kłębam dymu skrawki oceanu. Potem zjechał na niższy poziom.

Szalejące na zewnątrz wiatry porwały w powietrze tumany śmieci. Jak zwykle. Jako jedyna zamieszkująca to miejsce istota ludzka, nie przejmował się zbytnio tym widokiem.

Tuba zjazdowa zabrała go na najniższy poziom twierdzy. Idąc korytarzem, włączył trzy obwody alarmowe, raczej by je sprawdzić niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. W laboratorium oczekiwał już na niego brat Shinda - Tur.

Ze skrytki w ścianie wyjął niezbędne medykamenty i zaaplikował je niewielkiemu stworkowi. I czekał. Może dziesięć minut.

*- Jak się czuje?*

*- Nie zachwyciło go ukłucie igły. lecz twierdzi, że zaczyna już odczuwać poprawę samopoczucia.*

*- To dobrze. Czy mógłbyś otworzyć swój umysł i opowiedzieć mi coś więcej o wizycie Morwina?*

*- On jest twoim przyjacielem. Moim także. Od dawna.*

*- Co więc miało oznaczać twoje "strzeż się" ?*

*- Nie chodziło o niego, lecz o coś, co przyniesie ze sobą. To może spowodować na ciebie niebezpieczeństwo.*

*- Co to takiego?*

*- Informacja. Tak czuję.*

*- Informacja, która może mnie zabić? Ci radykałowie z CL razem ze swymi raketami niezbyt rzetelnie przykładają się do swej pracy. Co ma Morwin?*

*- Nie wiem. Przemawiam jedynie jako członek mej rasy, która czasami dostrzega fragmenty przyszłości. Czasami wiem. Widzę to w mych snach. Nie rozumiem jednak samego procesu.*

*- OK. Sprawdź teraz stan swego brata i powiedz mi, jak się czuje.*

*- Oddychanie jest nieznacznie utrudnione, lecz jego serce bije z większą łatwością.*

*Dziękuję ci.*

*- A więc zadziałało. To dobrze.*

*- To nie jest dobrze. Jego życie dobiegnie końca za około trzy ziemskie lata.*

*- A więc co chcesz, bym zrobił?*



- *Wraz z upływem czasu będzie potrzebował coraz silniejszych środków. Okazałeś dużo uprzejmości, lecz musisz okazać jej jeszcze więcej. Może jakiś specjalista...*

- *W porządku. Możemy sobie na to pozwolić. Będzie miał najlepszego. Opowiedz mi coś o symptomach.*

- *Wkrótce nastąpi coraz szybsza degeneracja naczyń krwionośnych. Jednak dopiero za około szesnaście ziemskich miesięcy szkoda stanie się nieodwracalna. Potem pójdzie już szybko. Nie wiem, co wtedy zrobię.*

- *Zajmiemy się nim z całą troską. Przemów teraz do niego i uspokój.*

- *Właśnie to robię.*

- *Wprowadź mnie.*

- *Musisz uzbroić się w cierpliwość.*

...I nagle, pochwycony i wciągnięty przez strumienie, znalazł się w umyśle upośledzonego dziecka. Teraz wiedział i widział wszystko.

...To, na co spoglądały te oczy, zostało tutaj zmagazynowane. Malacar zorientował się, iż oczy te patrzyły rzeczywiście na wiele rzeczy. Takiej zabawki nie odrzuca się jedynie z powodu wygórowanego rachunku lekarza.

Wpływał w głąb mrocznego umysłu. Mając świadomość podtrzymywanej przez Shinda więzi, ogarniał napływające doń obrazy. Nieba, mapy, miliony stron, twarze, sceny, diagramy. Możliwe, iż umysł tego idiotycznego stwora nie rozumiał tych rzeczy, niemniej jednak rejestrował wszystko, na czym spoczęły jego żółte oczy. Ta futrzasta głowa była prawdziwym magazynem, jednak niezbyt ochoczo ujawniała nagromadzone w niej skarby.

Dookoła niego zawirowały uczucia. Znalazł się niespodziewanie blisko centrum bólu i śmiertelnego strachu - zrozumiął jedynie częściowo, lecz bardziej przez to przerażających - koszmarne miejsca pełnego widziadeł, które wiły się, płonęły, krwawiły, były rozdierane na kawałki. Coś w jego umyśle zareagowało echem podobnych odczuć i przybrało na sile. Był to atawistyczny strach istoty spoglądającej w oblicze nicości, próbującej zapełnić ją wybieranymi na oślep wyobrażeniami, których nie rozumie, więc wytwarza nowe, jeszcze bardziej przerażające.

- *Shind! Wyciągnij mnie stąd!*

Ponownie znalazł się w laboratorium. Stojąc tuż obok zlewu, opłukał trzymaną w dłoni retortę.

- *Czy eksperyment był owocny?*

Zadecydował, że tak.

- *Będę stopniowo zwiększał dawkowanie. Nie pozwól mu, by się nadmiernie wysilał.*

- *Podobały ci się jego wspomnienia?*

- *Wiesz cholernie dobrze, że tak. I zrobię wszystko, by je zachować.*
- *To dobrze. Chociaż podana przeze mnie szacunkowa ocena długości jego życia może być chybiona o lalka miesięcy.*
- *Będę więc działał w granicach rozsądku. A teraz powiedz mi o Morwinie.*
- *Jest zakłopotany.*
- *A czyż my wszyscy nie jesteśmy?*
- *Wkrótce wyląduje i przyjdzie tutaj. Wydaje się, że jego umysł trapią obawy zasiane przez ludzi zamieszkujących miejsca, których nienawidzisz.*
- *To możliwe. On żyje pośród nich.*

Na włączonych ekranach przesuwały się obrazy jego świata. Spoglądał na nie przez chwilę, lecz szybko zniechęcił się monotonnym widokiem i wyłączył je. Życie na wulkanie, jakim teraz stało się to miejsce, i to jedynie dlatego, iż kiedyś coś ono znaczyło, przyzwyczało go do najgorszego. Zresztą samo miejsce w dalszym ciągu było dla niego ważne, niewiele jednak mógł zrobić, by zmienić krajobraz. Zamiast tego zajął się obserwacją lądującego statku. Po chwili z wnętrza pojazdu wyłonił się Morwin.

Uaktywnił wykrywacz i uzbroił systemy obronne.

"To przecież śmieszne - pomyślał. - Musi być ktoś, komu mógłbym zaufać".

Niemniej jednak nie spuszczał oka z Morwina, który zbliżał się do bramy. Tuż nad kroczącym powoli mężczyzną unosiła się niewielka kula, zdolna w ułamku sekundy spowodować jego śmierć.

Ubrana w kombinezon kosmiczny postać zatrzymała się i spojrzała w górę. Kula pokryła się siateczką pęknięć. Dotknął jednego z przycisków na imponującej konsoli sterowania bronią. Rozbłysło białe światło i kula zniknęła. Równocześnie z głośnika dobył się głos:

- Przybyłem jedynie po to, by powiedzieć "dzień dobry". Jeżeli pan chce, mogę odejść.

Włączył komunikator.

- Nie. Proszę wejść. To tylko taki środek ostrożności.

Jednak w dalszym ciągu śledził wszystkie jego kroki, wprowadzając wzory jego ruchów do komputera bojowego. Prześwietlił go promieniami rentgena, zważył, zmierzył tętno, ciśnienie krwi i prześledził wydruk elektroencefalografii. Wprowadził dane do komputera, który po dokładnej analizie przekazał wynik do komputera bojowego.

"Wynik negatywny" - brzmiała odpowiedź, tak jak się tego spodziewał.

Otworzył bramę i artysta wszedł do środka.

Morwin przeszedł do przestronnego hallu i usadowił się na dryfującej kanapie.

Malacar rozebrał się i przeszedł zasłonę szarej mgły, która momentalnie umyła go i ogoliła. Potem skierował się do szafy ściennej i szybko ubrał, skrywając pod ubraniem jedynie broń osobistą.

Zjechał na najniższy poziom i wkroczył do głównego hallu swej fortecy.

- Witam - powiedział. - Jak się pan miewa?

Morwin uśmiechnął się.

- Witam pana. Do kogo pan strzelał, gdy stałem tam na dole, sir?

- Do duchów.

- Och! I trafił pan jakiegoś?

- Nigdy. Szkoda, że wszystkie winnice na Ziemi są martwe. Mam jednak niezły zapas ich wyrobów. Zechce pan spróbować?

- Z przyjemnością.

Malacar podszedł do barku, napełnił dwie szklaneczki winem i jedną z nich wyciągnął w stronę Morwina.

- Za pańskie zdrowie. Potem zjemy obiad.

- Dziękuję, sir.

Dotknęli się szklaneczkami.

Wstał i przeciągnął się. Lepiej. Dużo lepiej.

Obejrzał troskliwie ręce i nogi. Niektóre ze stłuczonych mięśni wciąż jeszcze pulsowały nieprzyjemnym bólem. Rozmasował je. Otrzeptał ubranie i pokręcił kilkakrotnie głową, próbując rozruszać zdrętwiałe mięśnie szyi. Potem podszedł do brudnego okienka i wyjrzał na zewnątrz. Wydłużające się cienie. Koniec kolejnego dnia.

Roześmiał się.

Przez chwilę zdawało mu się, iż przed jego zaspanymi oczyma przepłynęła smutna, błękitna twarz.

- Przepraszam - powiedział i usiadł na skrzyni, oczekując na zapadnięcie ciemności.

Ból ponownie przybrał na sile. Spojrzał na nie zagojoną ranę na grzbiecie prawej dłoni.

A więc niech się stanie.

Deiling z Diglii, tak jak to miał w zwyczaju, medytował w oczekiwaniu na dźwięk dzwonu oznajmiającego przyływ. Znajdował się na swym ulubionym tarasie. Z półprzymkniętymi oczyma w rzeczywistości wcale nie widział oceanu, do którego zwrócony był twarzą.

Wydarzenie było z gatunku tych, do których trening w zakonie duchownym zupełnie go nie

przygotował. Nigdy nie słyszał o podobnym zajściu, lecz z drugiej strony religia, w której piastował godność kapłańską, była starożytna i niezwykle skomplikowana.

To niepojęte, iż cała ta sprawa nie zwróciła uwagi Nazwanych. Tradycyjnie już poświęta taka jak ta jest fenomenem na skalę galaktyki.

Lecz Nazwani w dziwny sposób wydawali się być obojętni na to, co działo się w ich własnych świątyniach. Generalnie, Noszący Imiona komunikowali się pomiędzy sobą jedynie w sprawach dotyczących tworzenia światów, czym każdy z nich wydawał się być zainteresowany.

Czy ostrożne podanie tej sprawy pod rozwagę jednemu z Trzydziestu Jeden, którzy żyli, byłoby z jego strony wielką impertynencją? Prawdopodobnie tak. Lecz jeżeli nie byli niczego świadomi, powinni zostać poinformowani.

Zamknął oczy i zamyślił się. Myślał długo.

Z pierwszym uderzeniem dzwonu podniósł się i sięgnął po komunikator.

"To było nie w porządku" - zdecydował. Tego właśnie chciał i jak postanowił już wcześniej - było to właściwe. Lecz sam cel zbladł w czasie aktu, odbierając całemu przedsięwzięciu niezbędną słodycz.

Szedł ulicami Italbar. W opustoszałych domach nie paliło się ani jedno światło.

Zerwał wiszący na ścianie znak kwarantanny, przedarł na pół, a strzępki cisnął na ziemię.

Chciał nadejść nocą i dotykać swoimi ranami klamek drzwi, przesuwać dłońmi po poręczach, włamywać się do sklepów i pluć na żywność.

Gdzie oni wszyscy teraz są? Martwi lub umierający, uciekający w popłochu. Nie było to już to samo miasto, na które spoglądał owego pierwszego wieczoru ze szczytu wzgórza. Lecz wtedy jego intencje także były inne.

Zaczynał żałować, iż stał się ich aniołem destrukcji niejako przez przypadek, a nie w pełni rozmyślnie.

Lecz dalej z pewnością były inne światy, takie jak Italbar - pełne takich samych ludzi, jak tutaj.

Doszedł do rogu, na którym chłopiec uściskał jego dłoń, i zatrzymał się, by wyciąć sobie łaskę.

Minał miejsce, w którym mężczyzna w samochodzie zaproponował mu podwiezienie, i splunął.

Spędziwszy większość życia w samotności, czuł, iż może dostrzec prawdziwą naturę człowieka o wiele wyraźniej niż ci, którzy całe życie spędzili w miastach. Widząc osądzał.

Podpierając się łaską opuścił miasto i ruszył w kierunku wzgórz. Wiatr rozwiewał mu włosy

i brodę, a w oczach odbijały się gwiazdy.

Idąc uśmiechał się.

Malacar rozłożył kryjące prawdziwy arsenał ramiona i pozwolił sobie na dyskretne ziewnięcie.

- Jeszcze kawy, panie Morwin?

- Dziękuję, komandorze.

- ...A więc CL spodziewają się dalszych aktów wrogości i aby to wytłumaczyć, zamierzają posłużyć się moją skromną osobą?

- Nie jest to dokładnie taki sam punkt widzenia, z jakiego przedstawiono mi tę sprawę, sir.

- Niemniej jednak prowadzi do tego samego.

"To źle, że nie mogę ci ufać - pomyślał Malacar. - Chociaż ty sam masz się za uczciwego. Byłeś dobrym oficerem i lubiłem cię. Jednak wy, artyści, jesteście zbyt chwiejni. Podążacie za tymi, którzy kupują wasze dzieła. Kierując te twoje umysłowe sztuczki na reaktory jądrowe, znowu zrobilibyśmy razem kawałek dobrej roboty. Szkoda. I dlaczego nie palisz fajki, którą ci ofiarowałem?"

- *Właśnie o tym myśli* - oświadczył Shind.

- *I o czym jeszcze myśli?*

- *Jakakolwiek jest ta informacja, której się obawiałem, nie przeważa ona w jego umyśle. A jeżeli tak, to nie rozpoznaję jej jako takiej.*

- Panie Morwin, chciałbym prosić pana o przysługę.

- Słucham.

- Dotyczy ona tworzonych przez pana, słynnych już kul z widziadłami sennymi...

- Tak?

- Chciałbym, aby wykonał pan jedną taką dla mnie.

- Z prawdziwą przyjemnością. Niestety, nie mam przy sobie niezbędnego wyposażenia.

Gdybym wiedział, że jest pan zainteresowany...

- Nie szkodzi. Wydaje mi się, że pojmuję istotę pańskiej twórczości. Sądzę, że w moim laboratorium znajdziemy coś, co okaże się pomocne.

- Potrzebowałbym pewnych narkotyków, kuli, telepatycznej więzi...

- ... Jestem lekarzem i mam przyjaciela telepatę, który potrafi zarówno odbierać, jak i transmitować przekazy myślowe. A co do kuli, to wydaje mi się, że uda nam się coś takiego skonstruować.

- No cóż, w takim razie spróbuję.

- Dobrze. Może zaczęlibyśmy jeszcze tego wieczoru? A może natychmiast?

- Nie wysuwam sprzeciwu. Gdybym wiedział o pańskich zainteresowaniach, zaproponowałbym panu swe usługi wcześniej.

- Myślę o tym raczej od niedawna, a chwila obecna wydaje się być najbardziej odpowiednią porą.

"Jeszcze jak - przemknęło mu przez głowę. - Jeżeli nie jest za późno".

Wędrował przez rozległe lasy Cleech. Przeszedł obok River Bart. Podróżując łodzią z biegiem rzeki, przemierzył setki mil, zatrzymując się przy brzegach wiosek i niewielkich miasteczek.

Wszędzie tam, gdzie się pojawiał, traktowali go jak świętego wygnańca. W głównej mierze przyczyniał się do tego jego wygląd - ubranie w strzępach, długa i zmierzwiona broda oraz płonące wewnętrznym ogniem oczy, przyciągające uwagę tłumu. Ciało pokryte było niegojącymi się ranami i wrzodami. Wszędzie, gdzie przechodził, wygłaszał kazania, a ludzie go słuchali.

Przeklinał ich. Mówił im o pokładach zła, które zalega ich dusze, i o przemocy, która jest integralną częścią ich człowieczeństwa. Mówił im o ich winach, które domagają się sądu i o tym, że sąd taki został już dokonany. Twierdził, że nie istnieje coś takiego jak skrucha i nakazywał, by ostatnie godziny - życia spędzili na porządkowaniu własnych spraw. Nikt się nie śmiał, gdy wypowiadał te słowa, chociaż później wielu to czyniło. Kilku jednak usłuchało jego zaleceń.

Celebrując swój Dzień Anihilacji, wędrował od wiosek do miast, od miast do metropolii, a wszędzie jego obietnica była dotrzymana.

Nieliczni, którzy przeżyli, z oczywistych powodów uważali się za Wybranych. Do jakiego jednak celu - nie mieli pojęcia.

- Jestem gotowy - oświadczył Malacar. - Możemy zaczynać.

- Doskonale - skinął głową Morwin. - Zaczynamy więc.

"Po kiego diabła mu to właściwie potrzebne? - zapytywał sam siebie. - Nigdy nie przejawiał szczególnych zamiłowań estetycznych czy introspektywnych. A teraz ni z tego, ni z owego pragnie, by stworzyć dla niego wysoce osobiste dzieło sztuki. Czyżby się zmienił? Nie, nie wydaje mi się. W urzędzeniu tego miejsca z pewnością nie kierował się dobrym smakiem, a od czasu mej ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Rozmawia w taki sam sposób, jak zawsze. Jego intencje, plany i pragnienia wydają się być niezmiennymi. Nie. To nie ma nic wspólnego z jego wrażliwością. O co więc chodzi?"

Podjeździwym okiem obserwował, jak Malacar wbija w ramię igłę i wstrzykuje sobie

bezbarwną ciecz.

- Czy to jakiś narkotyk? - zapytał.

- Łagodny środek uspokajający, niemniej jednak o właściwościach halucynogennych. Za kilka minut zacznie działać.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, czego mam szukać, jakie zjawisko próbować wywołać, by spełnić pańskie oczekiwania.

- Ułatwię to panu - powiedział Malacar po usadowieniu się wygodnie na kanapie. Przed nimi unosiła się stworzona wspólnymi siłami kula. - Powiem panu poprzez Shinda kiedy wizja będzie gotowa. Pańskim zdaniem będzie jedynie pochwycenie jej i utrwalenie.

- Lecz zakłada to współpracę stosunkowo dużego obszaru pańskiej świadomości. Nie sprzyja to sile i ostatecznej czystości wizji. Dlatego w trakcie pracy wolę podawać własne medykamenty.

- Proszę się nie martwić. Ta będzie silna i czysta.

- Jak długo potrwa, nim skryształizuje się w formie, w jakiej chciałby ją pan zachować?

- Być może pięć minut. Pojawi się niczym błysk, ale będzie trwała wystarczająco długo, by zdołał ją pan utrwalić.

- Spróbuję, sir.

- Z pewnością uda się panu, Morwin. To rozkaz. Bez wątpienia będzie to najtrudniejsze zadanie w pańskiej karierze. Ale chcę ją mieć tutaj, przed sobą, gdy się obudzę.

- Tak, sir.

- Może odpocznie pan przez chwilę? Z pewnością musi pan poczynić jakieś psychiczne przygotowania.

- *Tak, sir.*

- *Shind?*

- *Jestem, komandorze. Obserwuję. Jest wciąż zdezorientowany. Zastanawia się. teraz, dlaczego pan tego chce i co to ma właściwie być. Ponieważ jak do tej pory nie udało mu się dojść do żadnych wniosków, próbuje odłożyć te pytania na później. Mówi do siebie, że już wkrótce będzie wiedział. Teraz próbuje się rozluźnić, zrelaksować. Jest wciąż bardzo napięty. Wyciera spocone dłonie o nogawki spodni. Uspokaja oddech i tempo bicia serca. Jego umysł staje się klarowniejszy. Mało istotne myśli zanikają. Teraz! Teraz... On rzeczywiście ma w swym umyśle coś, czego nie mogę pojąć ani zdefiniować. Teraz przygotowuje się do użycia swego specyficznego talentu. Jest zrelaksowany. Wie, że jest gotowy. Nie ma w nim napięcia. Pozwala sobie na nieskrępowany przepływ myśli. Powstają i znikają w ułamku sekundy, łącząc się w intymny łańcuch wspomnień. Nic szczególnie silnego...*

- Podążaj dalej tym tropem.

- Czynię to. Coś, coś chyba...

- Co takiego?

- Nie wiem. Glob - coś o jakimś globie...

- O tym, który skonstruowaliśmy?

- Nie, ten wydaje się służyć mu jedynie jako bodziec. Teraz, gdy jest rozluźniony, rozmyśla o nim bardzo wiele... Ten drugi glob... Nie. Jest inny. Dziwny...

- Jak wygląda?

- Jest duży, a w tle migocą gwiazdy. Wewnątrz...

- Co?

- Człowiek. Jest martwy, lecz mimo to porusza się. Widzę tu także dużą ilość skomplikowanego wyposażenia. Medycznego wyposażenia. Ten glob jest statkiem - jego statkiem. B Coli...

- Pels. Martwy doktor. Patolog. Czytałem niektóre z jego prac. Co z nim?

- Najwidoczniej nie ma związku z Morwinem, bowiem zniknął już z jego umysłu. Ponownie pojawiają się ulotne myśli i wrażenia. Lecz jest także coś... rzecz z mojego snu. Rzecz, przed którą cię ostrzegałem, o której mówiłem, że w pewien sposób będzie z nią związany.

- Dowiem się.

- Nie od Morwina, ponieważ on sam o tym nie wie. To po prostu fakt, iż wiedza, jaką w przyszłości uzyskasz, ma związek z osobą martwego doktora. To on stanowi zagrożenie. Proszę o wybaczenie, komandorze. Myliłem się, gdy po raz pierwszy interpretowałem mój sen. To Pels będzie przyczyną kłopotów, a nie Morwin. Lepiej będzie unikać wszystkiego, co łączy się z martwym doktorem. Dziwne. Niezwykły splot myślowy.

- Nie odkryliśmy jednak informacji, której potrzebujemy. Lecz to możemy odłożyć na później. Zajmijmy się teraz "snem".

- Zaczekaj. Lepiej, aby nie było te go później. Wyrzuć Pelsa ze swego umysłu i nigdy nie przywołuj go z powrotem.

- Nie teraz, Shind. Teraz musisz mi pomóc w przeszukiwaniu pokładów twego brata.

- Dobrze. Będę ci asystował. Ale...

- Teraz, Shind.

I oto znalazł się tam ponownie. Ostrożnie manewrował pomiędzy półkami niezwyklej biblioteki, jaką stanowił umysł tego zadziwiającego stwora. Przed nim leżało wszystko, czego brat Shinda kiedykolwiek doświadczył - od niejasnych wrażeń, datujących się jeszcze sprzed narodzenia, do obecnej świadomości. Odszukał smutne, chore miejsce, na które natknął się



wcześniej. Wstrząśnięty bijącą stąd grozą śmierci i koszmarnymi lękami, zmusił się, by spenetrować ten obszar głębiej. Było to to samo widzenie senne, które tak bardzo wytrąciło go z równowagi za pierwszym razem, a które niezwykle umysł Tura z fotograficzną wyrazistością zachował i umieścił pomiędzy innymi wspomnieniami, w galerii własnej agonii. Przypominało poskręcany kleks z dwiema serpentynami, które przypominały drżące nogi. Całość przenikały iskrzące się linie niczym ogon zielonej komety. U podstawy tego czegoś migotała słaba poświata, nadając ciemności powyżej rozmazane, niewyraźne rysy twarzy - choć niewyraźne, Malacar był pewien, iż nigdy przedtem nie napotkał podobnie szkaradnej istoty - z twarzą znajdującą się w pół drogi pomiędzy życiem a śmiercią, oczyma roniącymi krwawe łzy, ściekające na kleks i dalej, na niewyraźne zarysy kształtów wykonanych ze srebrnego kryształu lub płomieni srebrnego ognia. W samym środku owej rzeczy Malacar, posługując się własną pamięcią, dokonał projekcji mapy układu gwiazdowego Zjednoczonych Lig, gdzie każde słońce drżało niczym komórka w umierającym ciele. Zajęło mu to zaledwie chwilę. Powiedział:

- Teraz, Shind - i usłyszał krzyk Morwina. Usłyszał także syk przystępujących do pracy dysz.

Nagle zdał sobie sprawę, iż sam krzyczy także. I nie przestawał, dopóki Shind nie wydobył go na zewnątrz. Ogłuszyła go ciemność, nagła jak uderzenie pioruna.

Cleech pozostało za jego plecami. Za kilka godzin znajdzie się już poza granicami tego niewielkiego systemu i wejdzie w podprzestrzeń. Odwrócił się od konsoli i sięgnął po długie, smukłe cygareto, w które zaopatrzył się w jednym ze sklepów portu kosmicznego martwego miasta.

Tym razem odbyło się to o wiele szybciej. Co to właściwie było? Dziwne, ale do tej pory nie potrafił rozpoznać symptomów. Czy to możliwe, by w jakiś tajemniczy sposób stał się roznosicielem zupełnie nowych chorób?

Zapalił cygareto i uśmiechnął się.

Jego język stał się czarny, a tęczówki oczu zupełnie zmętniały. Wiedział, że nie przedstawia teraz sobą okazu zdrowia. Całe ciało stało się obrzmiałą masą różnokolorowych siniaków i wrzodów.

Zachichotał, wydmuchując dym. Nagle jego wzrok padł przypadkowo na odbicie własnej twarzy, widniejącej na ekranie jednego z wyłączonych monitorów

Uśmiech zbladł. Odłożył cygareto na bok i pochylił się do przodu, studiując własne rysy. Po raz pierwszy patrzył na własną twarz od... Od kiedy właściwie? I gdzie? Italbar, oczywiście. Zanim to się wszystko zaczęło.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w sieć zmarszczek, w miejsca, które wyglądały jak spalone i w głębokie bruzdy, żłobiące oba policzki. Coś wewnątrz niego ścisnęło boleśnie żołądek

żelaznymi palcami.

Odwrócił twarz od ekranu i nagle zorientował się, iż ciężko dyszy. Zaciśnął dłonie w pięści, by powstrzymać ich drzenie.

"Moja kondycja nie powinna zmieniać się aż do tego stopnia, aby osiągnąć zamierzony efekt" - pomyślał. Trzy tygodnie, nim dotrze na Summit. Wystarczająco dużo czasu, by poddać się oczyszczeniu.

Zaciągnął się głęboko cygarem. Lewą dłoń umieścił tak, aby nie była na widoku. Nie spojrzał już na ekran.

Po wejściu w podprzestrzeń odwrócił się w stronę ekranu dziobowego i spojrzał na gwiazdy. Poruszały się teraz po długich, płonących spiralach, z których jedne zwijały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a inne w przeciwną stronę. Tkwiąc nieruchomo w fotelu, przez dłuższą chwilę przyglądał się przemykającemu tuż obok niego wszechświatowi.

Potem rozłożył oparcie, zamknął oczy, skrzyżował ramiona na piersiach i wyruszył w podróż, której nie odbywał od czasu Italbar.

...Ze wszech stron otaczała go błękitna mgła. Szedł szybko, nie rozglądając się na boki. Wszędzie błękit. Błękitne kwiaty wyglądały jak uniesione w górę łby węży. Zapach perfum. Błękitny księżyc i błękitne winorośle, pnące się po szerokich schodach.

Kierował się do ogrodu...

Dookoła brzęczały chmary błękitnych insektów. Zamachnął się, aby je odgonić, i wtedy spostrzegł własną dłoń.

"Coś tu jest nie tak - przemknęło mu przez głowę. - Kiedykolwiek przybywam do tego miejsca, moje ciało jest takie, jak zawsze".

Po wejściu do ogrodu wyczuł w otoczeniu niesłychanie subtelną zmianę, chociaż nie było tu właściwie nic, z czym mógłby ją powiązać.

Podniósł wzrok ku górze, jednak na niebie zobaczył tylko nieruchomo zawieszony księżyc.

Wokół panowała cisza. Przez chwilę nasłuchiwał uważnie, lecz nie usłyszał tak charakterystycznego dla tego miejsca śpiewu ptaków.

Mgła owinęła mu się dookoła kostek jak błękitny wąż. Pierwszy z napotkanych migocących kamieni wydawał się tkwić na swoim miejscu, jednak nie unosiły się nad nim żadne motyle. Zamiast tego pokryty był częściowo pajęczyną, w której tkwiły wyginające się spazmatycznie błękitne gąsienice. Poniżej rogów na czole ich oczy lśniły jak szafirowe łzy.

Pod wpływem jego spojrzenia wszystkie gąsienice jak gdyby wyprostowały się i uniosły głowy.

Ruszył dalej, nie spoglądając już na mijane po drodze kamienie. Gnany uczuciem

wzrastającego niepokoju, rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu wysokiej kępy krzewów.

Dostrzegłszy ją, pospieszył w jej kierunku i jak zwykle w miarę podchodzenia bliżej błękitna poświata wydawała się blednąć. W końcu jego oczom ukazał się letni domek.

Lecz coś się tu nie zgadzało. Domek był ocieniony, chłodny i bezpieczny jak zawsze. Tym razem jednak każdy z kamieni tkwiących w jego ścianach gorzał zimnym, błękitnym światłem. W środku panowała absolutna ciemność.

Zatrzymał się. Przeszył go nagły dreszcz.

Zastanawiał się, co było przyczyną owej tajemniczej zmiany. "Nigdy nie było tutaj tak, jak teraz. Czyżby była na mnie zła? Ale dlaczego? Być może nie powinienem tak wkraczać. Może powinienem poczekać, aż nadejdzie czas, by udać się z powrotem lub może powinienem wrócić natychmiast. Powietrze jest wyraźnie naelektryzowane. Jak przed burzą..."

Stał nieruchomo, obserwował i czekał. Nic nie naruszyło panującej wokół martwoty.

Nieprzyjemne uczucie mrowienia wzmogło się. Poczuł, jak zaczynają pulsować mięśnie karku. Po chwili to samo stało się z dłońmi i stopami. Gdy zdecydował się odejść, stwierdził, że nie może się ruszyć. Mrowienie i pulsowanie objęło całe ciało.

Zawładnęła nim chęć wejścia do środka. Nie było to jednak pragnienie, a raczej przymus. Drżąc ruszył do przodu.

Po wejściu do ciemnego wnętrza jego uczucia nie były takie same, jak przy poprzednich wizytach tutaj. Tym razem wcale nie pragnął dostrzec ulotnego uśmiechu czy blasku błękitnego księżycy w jej oczach czy we włosach. Bał się samej jej obecności. Miał nadzieję, że pozostanie sam.

Podszedł do stojącej pod ścianą kamiennej ławy i usiadł.

- Drā Heidel von Hymack. - Wszechobecny szept sprawił, że zapragnął podnieść się i uciec. Ciało jednak nie posłuchało go. Wypowiadane przez nią słowa były bardziej syczące niż zazwyczaj. Na policzku poczuł lodowaty powiew. Nie odwracał głowy.

- Dlaczego nie spojrzysz na mnie, Drā von Hymack? Przecież zawsze było to twoim pragnieniem.

Nie odpowiedział. Była taka sama - a jednak inna. Wszystko było inne.

- Nie odpowiedziałeś mi, Drā von Hymack. Co się stało?

- Pani...

- Bądź więc nierycerski. Wystarczy, że wróciłeś w końcu do domu.

- Nie rozumiem.

- Zrobiłeś wreszcie prawidłową rzecz. Teraz gwiazdy zawróciły na swych orbitach, a wody mórz stały się nieprzebrane.

"Jaki piękny głos - przemknęło mu przez głowę. - Piękniejszy niż poprzednio. To ta nagła zmiana wytrąciła mnie z równowagi. Ogród także wydaje się ładniejszy".

- Zauważyłeś zmiany i zaaprobowałeś je. To dobrze. Powiedz mi, co sądzisz o swojej nowej mocy.

- Podoba mi się. Ludzie są bezwartościowi i zasługują, by umrzeć. Gdyby moja moc była większa, umarłoby ich więcej.

- Ależ będzie! Uwierz mi. Już wkrótce będziesz w stanie emanować zarodniki, które będą zabijały na przestrzeni setek kilometrów. A potem nadejdzie dzień, w którym postawisz jedynie stopę w obcym świecie i uśmierczysz w ten sposób wszystko, co żyje.

- Ale mi chodzi jedynie o ludzi. To oni mnie skrzywdzili. Jedynie człowiek jest bezmyślny i brutalny. Inne rasy i inne formy życia nie stanowią dla mnie zagrożenia.

- Lecz jeżeli będziesz służył mi w pełni, tak jak się na to zdecydowałeś, każda forma życia stanie się twoim wrogiem.

- Nie chciałbym posuwać się tak daleko. Pani. Nie wszystkie istoty żywe są złe.

- Aby osiągnąć winnych, musisz uderzyć także w niewinnych. Nie ma innego wyjścia.

- Mogę unikać światów, które nie są zamieszkane przez człowieka.

- Tak, być może przez jakiś czas. Ale powiedz mi, czy wciąż jesteś najszcześliwszy, przebywając tu razem ze mną?

- Tak, Myra - o...

- Nie wulgaryzuj mego imienia. Jeżeli już musisz je wypowiadać, wymawiaj je prawidłowo: Arym - o - myra.

- Wybacz, Pani. Myślałem o czymś innym.

- A więc nie myśl. Rób po prostu tak, jak ci mówię.

- Oczywiście.

- Twoja nowa potęga narasta w tobie dzień po dniu. Jedynie kiedy jesteś tutaj twoje śpiące ciało nie zmagają się z jej objawami. Leży sobie spokojnie w miejscu, które wybrałaś, by przekroczyć nasze światy. Jednak gdy się tam obudzisz, będziesz posiadał większą siłę i głębsze piętna niż ktokolwiek kogo znałeś.

- Ale dlaczego? Pamiętam przecież, że kiedyś wszystko było inaczej.

- Dzieje się tak, ponieważ zdecydowałaś się działać nie jako człowiek, a jako bóg. Dano ci więc siłę, jakiej oczekuje się po bogach.

- Oczyść mnie zatem odrobinę. Wydaje mi się, iż staję się nieprawdopodobnie brzydki.

Roześmiała się dźwięcznie.

- Ty? Brzydki? Na wszystkie Imiona, jesteś najpiękniejszym ze stworzeń. A teraz odwróć

się i padnij na kolana. Adoruj mnie. Będę żądała od ciebie uwielbienia, a w zamian uczynię cię moim sługą na wieki.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz, a potem padł na kolana i skłonił głowę.

Po przebudzeniu Malacar wstrzyknął sobie łagodny środek pobudzający. To, co wcześniej zaaplikował sobie na oczach Morwina, było zwykłą wodą destylowaną. Przez cały ten czas pilnował się, by nawet przypadkowo nie spojrzeć w stronę unoszącego się w powietrzu globu.

Po chwili podniósł się, by podać podobny środek nieprzytomnemu wciąż Morwinowi. W ostatniej chwili zawahał się.

*- Dlaczego jest w takim stanie. Shind?*

*- Przekaz myślowy twojego koszmaru okazał się zbyt silny dla jego niezwykłych zdolności percepcyjnych. Sprawiał wrażenie, jakby nigdy przedtem nie widział jeszcze niczego podobnego.*

*- W takim razie dam mu środek uspokajający i zapakuję do łóżka.*

Później, gdy powrócił wreszcie do laboratorium, spojrzał na połyskującą w półmroku kulę. Z wrażenia zaparło mu dech w piersiach.

"To właśnie to! - przemknęło mu przez głowę. - Dokładnie to, co widziałem! Nie podejrzewałem nawet, że jest taki dobry. Udało mu się dokładnie tak, jak zaplanowałem. Ten koszmar jest doskonały. Nawet zbyt doskonały. Nie potrzebuję dzieła sztuki. Chociaż wydaje mi się, że dokonał niewielkich zmian... Ale to nieistotne. Najważniejsze, że spełnia swoje zadanie. Doskonały podarunek dla Wyższego Dowództwa SEL - z pozdrowieniami od Malacara. To właśnie im powiem, to mam zamiar zrobić ich cholernym Ligom. I nie jest ważne, że najprawdopodobniej nigdy mi się nie uda, bowiem starzeję się, a na horyzoncie nie ma żadnego sukcesora. Przez jakiś czas ponownie będą się obawiali DYNAB. A być może w tym czasie pojawi się jakiś nowy Malacar. Będę się o to modlił. Właściwie, szkoda mi poświęcać tę kulę. Szkoda, że Morwin przeszedł na drugą stronę. To nie był zły facet. Te jego kule... Globy... Do diabła!"

Przeszukał całe laboratorium. Nie znajdując tego, czego szukał, skierował się w stronę monitorów i sprawdził wszystkie pomieszczenia twierdzy.

*- Już dobrze, Shind. Gdzie się ukrywasz?*

Żadnej odpowiedzi.

*- Wiem, że założyłeś na mój umysł coś w rodzaju blokady. Chcę, abyś ją natychmiast usunął.*

Nic.

*- Posłuchaj. Wiesz przecież, że sam mogę ją przelamać, szczególnie gdy wiem już, że ona istnieje. Być może zajmie mi to kilka dni, a nawet tygodni. Ale uda mi się. Oszczędź mi więc*

*kłopotu.*

Do jego umysłu dotarł psychiczny ekwiwalent westchnienia.

*- Zrobiłem to wyłącznie dla twego własnego dobra.*

*- Zawsze, kiedy ludzie zaczynają mówić, że zrobili coś dla mego dobra, sięgam po bron.*

*- Chciałbym przedyskutować celowość nie zdejmowania jej, zanim...*

*- Zdejmij ją! To rozkaz! I żadnych dyskusji! Zrób to teraz lub też sam zrobię to później. Ale musi zniknąć.*

*- Jest pan bardzo upartym człowiekiem, komandorze.*

*- A żebyś wiedział, do diabła! Teraz!*

*- Jak pan sobie życzy, sir. Byłoby jednak lepiej, gdyby się pan troszeczkę uspokoił.*

*- Jestem spokojny.*

Po chwili wydało mu się, że przez jego głowę przeleciał ciemny ptak.

Głob... Oczywiście, dr Pels!

*- Teraz, gdy sobie o tym przypomniałeś, widzisz z pewnością, że igranie ze snami i majakami jest bardzo niebezpieczne. To pewnego rodzaju paradoks...*

*- A ty czujesz się na tyle silny, by pokusić się o zablokowanie wszystkich moich wspomnień, dotyczących tej właśnie sprawy. Nie, Shind. Jest coś, co wymaga dalszego śledztwa.*

*- Co masz zamiar zrobić?*

*- Chcę przeczytać ostatnie prace Pelsa. Być może dowiem się z nich, czym się w tej chwili interesuje. Mam także zamiar określić miejsce jego obecnej, fizycznej bytności.*

Ponownie miał wrażenie, iż w jego umyśle rozległo się westchnienie.

Jeszcze tej samej nocy wysłał wiadomość na statek dostawczy, mający dostarczyć jego przesyłkę Wyższemu Dowództwu na Elizabeth. Koszta z pewnością będą astronomiczne, ale mógł sobie na to pozwolić. Osobiście zapakował kulę, dołączając doń krótką notatkę: "Panowie, z najlepszymi życzeniami od Malacara Milesa, Emerytowanego Komandora Floty DYNAB". Potem zasiadł do czytania - w kilku wypadkach do ponownego czytania - dzieł patologa Larmana Pelsa.

Wstając nad spowitym mgłami Manhattanem świt zastał go pogrążonego w lekturze. Spojrzał na swe notatki. Prócz poczynionych pospiesznie uwag dotyczących terminów medycznych, które interesowały go szczególnie, jedynie dwa punkty wydawały się mieć istotne znaczenie: "gorączka deibańska" oraz "szczególne zainteresowanie w sprawie H".

Przez chwilę zastanawiał się, czy na tym nie zakończyć swych poszukiwań. Niezdecydowanym ruchem sięgnął po stymulator.

"Być może Morwin ma jeszcze coś w zanadrzu" - pomyślał.

Później tego samego dnia, przy lunchu, Morwin mówił:

- Muszę przyznać, że było to niezwykle przeżycie, sir. Robiłem już uprzednio rzeczy, które leżały na pograniczu koszmaru, nigdy jednak nie zawierały w sobie takiego ładunku emocjonalnego. Kreacja zupełnie mnie wykończyła. Nie sądziłem, że kiedykolwiek natknę się na coś, co pozbawi mnie przytomności.

- Przykro mi, iż to właśnie ja sprawiłem panu taką niespodziankę. Nie sądziłem jednak, że wywrze to na panu aż tak wielkie wrażenie.

- No cóż... - Morwin uśmiechnął się i podniósł do ust filiżankę kawy. - Cieszę się, że podoba się panu.

- O tak. Jest pan pewny, że nie chce pan moich pieniędzy?

- Nie, dziękuję. Czy mógłbym po lunchu przejść na najwyższe piętro i spojrzeć na wulkan?

- Oczywiście. Pójdę z panem. Gdy skończy pan, zrobimy sobie spacer.

Udali się na górny poziom twierdzy, skąd rozciągał się widok na sporą część Manhattanu. Przebijające przez chmury promienie słońca sprawiały wrażenie złotego konfetti. Załamana linia nieba zdawała się walić niczym spróchniały płot. Na powierzchni wrzącego kotła rozkwitały pomarańczowe płomyki ognia. W powietrzu unosiły się chmury czarnego pyłu i żużlu. Od czasu do czasu przez cały budynek przebiegało wyraźne drżenie. Przybierający na sile wiatr rozrywał momentami kurtynę czarnych chmur i pyłów, a wtedy ich oczom ukazywały się ołowianoszare, wzburzone wody zatoki. Rosnące nieopodal winorośle jedynie u swej podstawy miały kolor zielony - wyższe partie były jednolicie czarne.

- ... Aż trudno uwierzyć, że cały świat wygląda podobnie - mówił właśnie Morwin. - I że wydarzyło się to za naszego życia.

- Proszę zapytać o to tych z CL. To ich dzieło.

- ...I żaden człowiek nie zamieszka już na planecie, na której się urodził.

- Ja mieszkam tu, by przypominać im o ich winie i aby stanowić ostrzeżenie przed ich własnym przeznaczeniem.

- Jest wiele światów podobnych do tego, jakim niegdyś była Ziemia. Zamieszkują je miliony niewinnych niczemu istnień.

- By znaleźć winnych, trzeba czasami uderzyć w niewinnych. To także rodzaj zemsty.

- A jeżeli zemsta zostanie zarzucona, kilka generacji później zaniknie różnica między winnymi i niewinnymi. Nowa generacja zupełnie nie zawiniła temu, co miało tu miejsce, a światy przetrwają i zapomną.

- To zbyt filozoficzny pogląd, by można go było zaakceptować bez zastrzeżeń, szczególnie dla człowieka, który przeżył to, co ja.

- Ja przeżyłem to także, sir.
- Tak, ale... - Ugryzł się w język.

Przez chwilę spoglądali na ponury krajobraz. W końcu Malacar zapytał:

- Czy ten specjalista od chorób, Larman Pels, zatrzymał się ostatnio na Honsi?
- Tak, to prawda. Czyżby tutaj zawitał także?
- Jakiś czas temu. Czego on tam właściwie szukał?
- Pewnych informacji medycznych, statystyk i mężczyzny, którego nigdy nie było.
- Mężczyzny?...
- Tak. Nazwiskiem Hyneck lub podobnie. Nasze banki danych nie posiadają o nim żadnych informacji. Proszę spojrzeć na te płomienie, sir. Niezwykły widok.

"H? - zapytywał się w duchu Malacar. - Czyżby ów Hyneck był tym tajemniczym nosicielem chorób? Nigdy o nim nie słyszałem, ale jeżeli..."

"Gorączkę deibańską odkryto na innych światach niż Deiba stosunkowo niedawno" - przypominał sobie czytany wcześniej fragment raportu. "Za wyjątkiem jednego przypadku jest zawsze i wszędzie śmiertelna. Nawiązuję oczywiście do przypadku H. Czynniki umożliwiające przenoszenie tej choroby nie jest jeszcze znany".

"Czy to możliwe - medytował Malacar - aby człowiek zwany H był nieświadomym niczego roznosicielem tej choroby? W papierach Pelsa musi być gdzieś zanotowane jego prawdziwe nazwisko. Będę musiał się tym zająć."

Epidemii gorączki deibańskiej na innych światach niezmiennie towarzyszyła eksplozja przeszło pół tuzina egzotycznych chorób. Ich obecność także nie została jednoznacznie wyjaśniona. Lecz H przeżył je wszystkie. Czy to możliwe, aby równoczesne pojawienie się tych chorób powodował jakiś nieznaną czynnik, tkwiący w H?

Możliwości militarnych implikacji tego zjawiska przeszły mózg Malacara niczym nagła błyskawica.

Wiedział, iż na obecnym etapie wszyscy są już przygotowani do wojny bakterio - biologicznej - nawet kombinowanej. Lecz to wyglądałoby na przypadkowe zabójstwa, wymykające się racjonalnej klasyfikacji, i co ważniejsze, nie podlegałyby przeciwdziałaniem. Jeżeli byłoby to możliwe, a H rzeczywiście jest kluczem kontrolującym ten proces - lub też sam jest tym procesem - wtedy rozdźwięczą się dzwony śmierci. Przy pomocy tego człowieka mógłby wyrządzić Ligom więcej szkody, niż przypuszczał w najśmielszych marzeniach. Należało jedynie określić, czy ten Hyneck jest rzeczywiście H. A jeżeli tak, to należało go zlokalizować.

Przez godzinę stali i w milczeniu obserwowali płomienie i piekło wrzącej lawy. W końcu Morwin chrząknął nieśmiało.



- Chciałbym odpocząć przez chwilę. Wciąż jeszcze czuję się słaby.
- Oczywiście, oczywiście - odparł Malacar, zarzucając chwilowo drogą swemu sercu wizję.
- Ja zostanę tu jeszcze przez jakiś czas. Przynajmniej nie przerodzi się to w sprzeczkę.

- Mam nadzieję, iż nie okazałem się zbyt natrętnym towarzyszem.

- Ależ skąd. Podniósł mnie pan na duchu o wiele bardziej, niż mógłbym przypuszczać.

Obserwował go, dopóki nie zniknął mu z oczu, a potem parsknął krótkim śmiechem.

"Może wizja, którą zamknąłeś w swej kuli, jest prawdziwa" - pomyślał z rozbawieniem.

Dokładna projekcja tego, co ma dopiero nadejść. Właściwie nigdy nie miał nadziei na sukces, chyba że... Jak to dalej było? Ten wiersz, którego nauczył się, będąc jeszcze na uniwersytecie?...

*Chyba, że upadną sklezione Niebios,*

*A Ziemię rozedrą nowe konwulsje.*

*Wtedy, ku naszej radości, cały Świat*

*Skurczy się w Planisferę.*

"Jeżeli mam rację co do tego człowieka, to zmienię tam wszystko, całe CL, tak jak ty to zrobiłeś w tej chwili - w pla - nisferę."

*Shind!* - wykrzyknął nagle. - *Czy wiesz, co się stało?*

- *Tak, słuchałem wszystkiego.*

- *Poproszę Morwina, by został tu przez jakiś czas. My dwaj już wkrótce wyruszymy w kolejną podróż.*

- *Skoro tak mówisz. Dokąd?*

- *Na Deibę.*

- *Tego się właśnie obawiałem.*

Na tę ostatnią uwagę Malacar roześmiał się. W południe mgła rozstała się, ukazując słońce.

Spirale gwiazd, które obserwował, przywodziły mu na myśl oglądane w dzieciństwie sztuczne ognie. Jego dłoń nieświadomym ruchem opadła na przymocowaną do pasa, opatrzoną monogramem torbę. Zapomniał, że tam była. Słyszając grzechot kamyków, spojrzął w dół i na chwilę zapomniał o gwiazdach.

Jego kamienie. Jakież one były piękne! Jak mógł z taką łatwością o nich zapomnieć? Dotknął ich palcami i uśmiechnął się. Tak, to prawda. Kawałki minerałów nigdy cię nie zdradzą. Każdy jest unikalnym, niewinnym światem samym w sobie. Jego oczy wypełniły się łzami.

- Kocham was - szepnął, oglądając je kolejno i troskliwie umieszczając z powrotem w torbie.

Trocząc ją do pasa, obserwował ruchy własnych dłoni. Palce pozostawiały na materiale wilgotne smugi. Lecz same dłonie były piękne, tak jak mu to powiedziała. I oczywiście miała rację. Podniósł je ku twarzy, czując, jak z jego ciała płynie ku nim strumień niewyobrażalnej mocy. Wiedział, iż w tej chwili był silniejszy niż jakikolwiek człowiek czy naród. Wkrótce będzie silniejszy niż jakikolwiek świat.

Ponownie spojrzął na błyszczący wir, który wciągał go w stronę swego centrum - Summit. Już wkrótce tam będzie.

Gdy otrzymał wiadomość, jego pierwszą reakcją było bardzo głośne: "Cholera! Dlaczego pytają akurat mnie?" Lecz ponieważ znał już odpowiedź, ograniczył swe dalsze reakcje do łagodnego zdumienia.

Po chwili zorientował się, że pogrążony w myślach zawędrował aż na położony na dachu ogród, gdzie paląc papierosa, wpatrywał się w zachód.

- Dyskryminacja rasowa, to wszystko - mruknął.

Podszedł do ukrytej płytki, otworzył ją naciśnięciem palca i niecierpliwie pociągnął w dół niewielką dźwignię.

- Za godzinę przyślijcie mi niewielki posiłek do biblioteki manuskryptów - polecił i wyłączył się, nie czekając na potwierdzenie.

Kontynuował spacer, wdychając z całkowitą obojętnością otaczające go zapachy rozkwitającego życia.

Zaczęło się ściemniać, odwrócił się więc na wschód, gdzie chmura przesłoniła jego słońce. Przez chwilę spoglądał na nią w skupieniu i chmura zaczęła się rozpraszać.

- Zawsze to samo - mruknął, wkraczając do biblioteki. Zdjął marynarkę i powiesił ją obok drzwi.

Powiódł wzrokiem wzdłuż rzędu półek zawierających największą kolekcję manuskryptów religijnych w galaktyce. Każdy oryginał opatrzony był oddzielnym podpisem. W poszukiwaniu interesujących go materiałów przeszedł do następnego pokoju.

- Powinienem był się domyślić, że będzie akurat pod sufitem - westchnął z rezygnacją i sięgnął po drabinę.

Zdjął z półki fotokopię antycznego skryptu Pei'an, zatytułowanego: "Księga Zagrożających Życiu Niebezpieczeństw i Sposoby Ich Unikania", a następnie zasiadł w swym ulubionym fotelu i zapalił papierosa.

Wydawało mu się, że upłynęła zaledwie minuta, gdy usłyszał szcęk i mechaniczne kasznięcie. Do pomieszczenia wsunął się niewielki robot i zbliżywszy się bezszelestnie po grubej

wykładzinie, zatrzymał się tuż obok jego prawego łokcia. Ustawił tacę na wygodnym do jedzenia poziomie i uniósł wieko.

Jadł automatycznie, nie przerywając czytania. Po jakimś czasie spostrzegł, że robot zniknął. Odstawił pustą tacę na bok, nie pamiętając nawet, co zjadł. Całą uwagę zaprzątniętą miał czytaniem.

Kolacja przebiegła w podobny sposób. Zapadła noc i rozbłysły ukryte lampy.

Grubo po północy zakończył czytanie ostatniej strony i zamknął książkę. Wstał, przeciągnął się i ziewnął. Prawa stopa była zupełnie zdrętwiała. Usiadł ponownie i ze zniecierpliwieniem czekał, aż nieprzyjemne mrowienie ustąpi. Potem wspiął się po drabinie i umieścił cenny wolumin z powrotem na półce. Odstawił drabinę do kąta. Już dawno mógł polecić zainstalowanie automatycznych wyciągaczy i pneumatycznych podnośników, wołał jednak, by miejsce to zachowało swój staroświecki charakter.

Przez rozsuwane okna przeszedł na zachodni taras. Usiadł w wygodnym fotelu przed barkiem i włączył zasilanie.

- Bourbon z wodą - polecił. - Może być podwójny.

Nastąpiła dziesięciosekundowa pauza. Palcami spoczywającymi na powierzchni barku wyczuwał delikatne drżenie. Wylot pojemnika otworzył się i na kontuar wjechała wolno wysoka szklanka. Podniósł ją i z przyjemnością pociągnął długi łyk.

- ... I paczkę papierosów - dodał. Ostatniego skończył kilka godzin temu.

Temu życzeniu także szybko stało się zadość. Otworzył ją i zapalił jednego przy pomocy prawdopodobnie ostatniej zapalniczki Zippo, jaka znajdowała się jeszcze poza muzeum. A z pewnością ostatniej, która jeszcze działała. Każda jej część niezliczoną ilość razy wymieniana była robionymi na zamówienie duplikatami. Tak więc nie była właściwie antykiem w dosłownym znaczeniu, ale w swej naturze ostatniego potomka - czymś znacznie większym. Podrzucił niewielki przedmiot na dłoni. Podarunek od brata. Kiedy to właściwie było? Pociągnął ze szklanki. Wciąż jeszcze przechowywał porysowane pudełeczko pełne oryginalnych, zniszczonych częstym użytkowaniem części. Prawdopodobnie jest w dolnej szufladzie tego starego sekretarzyka...

Zaciągnął się dymem z papierosa, czując, jak wypity alkohol rozlewa się miłym ciepłem po ciele. Pomarańczowy księżyc wisiał nisko nad horyzontem, a drugi, biały, sunąc szybko, przecinał czerń nieba. Uśmiechnął się lekko, nasłuchując chóru błotnych żab. Rechotały coś z Vivaldiego. Czyżby z Lata? Tak. Podniósł szklankę do ust.

Uznał, że to robota w sam raz dla niego. Na tym obszarze rzeczywiście był jedynym, który posiadał doświadczenie. To oczywiste, że ksiądz wołał wysłać zapytanie do obcego niż do kogoś ze swych własnych ludzi. Z powodów rasowych zmniejszało to szansę na reprimendę, a jeżeli istotnie

tkwiło w tym coś niebezpiecznego...

"Cyniczne - pomyślał. - A ty nie chcesz być cyniczny. Jedyne praktyczny. Cokolwiek pobudza tę rzecz, jest teraz twoje, a ty wiesz, co wydarzyło się, gdy coś podobnego pojawiło się ostatnim razem. Trzeba to załatwić. A fakt, iż nie ma w tym wszystkim elementu kontroli, wskazuje, że może to być wymierzone we wszystkich".

Zgasił papierosa, dokończył drinka i odstawił pustą szklanę na blat.

- Jeszcze raz to samo - zadysponował. I szybko dorzucił: - Bez papierosów.

Odczekał, aż barek wysunie ze swego wnętrza kolejną szklanę, i zabrał ją ze sobą do gabinetu. Tu ułożył się wygodnie w swym ulubionym, rozkładanym fotelu i skrzyżował nogi. Zmniejszył natężenie światła, ustawił temperaturę w pokoju na sześćdziesiąt dwa stopnie Fahrenheita i nacisnął przycisk, który rozpałił bierwiona w kominku po drugiej stronie pokoju. Widząc, że sypiące iskrami płomienie strzelać zaczynają coraz wyżej, wyłączył światło i pogrążył się w swym ulubionym zajęciu - myśleniu.

Rankiem wezwał swego automatycznego sekretarza i archiwistę.

- Pierwszy punkt porządku dnia - dyktował. - Chcę rozmawiać z dr Matthewsem i mymi trzema najlepszymi programistami natychmiast po śniadaniu, tutaj, w gabinecie. A przy okazji, śniadanie podasz za dwadzieścia minut. I nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

- Czy chce pan rozmawiać z nimi pojedynczo, czy od razu ze wszystkimi? - zapytał płynący z ukrytego głośnika głos.

- Przyślij ich wszystkich. Teraz...

- Co zamawia pan na śniadanie? - przerwał robot.

- Cokolwiek. Teraz...

- Proszę o specyfikację zamówienia. Ostatnim razem, gdy powiedział pan "cokolwiek"...

- Dobrze. Niech będzie jajkonabekonietostydzemikawa. A teraz druga rzecz. Chcę, aby ktoś z mego wyższego personelu skontaktował się z Generalnym Chirurgiem, Dyrektorem Zdrowia, czy jak tam ten tytuł brzmi, w kompleksie SEL. Chcę pełnego dostępu do ich komputera centralnego nie później niż jutro w południe czasu miejscowego. Po trzecie, niech technicy w porcie przygotowują najszybszą jednostkę do skoku podprzestrzennego. Po czwarte, dowiedz się, do kogo należy i dostarcz mi dossier. To wszystko.

Półtorej godziny później, gdy wszyscy wyznaczeni znaleźli się już w jego gabinecie, wskazał dłonią w stronę krzeseł i uśmiechnął się.

- Panowie - zagaił. - Potrzebuję waszej pomocy w uzyskaniu pewnych informacji. Nie jestem jeszcze pewny co do natury pytań, które muszę w związku z nimi zadać. Będą one dotyczyły ludzi, miejsc, wydarzeń, prawdopodobieństw i chorób. Pewne rzeczy, o których życzę

sobie wiedzieć, wydarzyły się piętnaście lub dwadzieścia lat temu, a inne całkiem niedawno. Zebranie odpowiednich informacji, na podstawie których będę mógł zacząć działać, może okazać się trudnym i czasochłonnym zadaniem. A czas to właśnie to, czego nie mam za wiele. Wasza praca polegać będzie na asystowaniu mi przy formułowaniu odpowiednich pytań, a potem wprowadzaniu tych pytań w moim imieniu do banków pamięci, które, jak wierzę, pomogą nam w uzyskaniu tego, czego potrzebuję. To zarys ogólny naszej sytuacji. Teraz zajmiemy się szczegółami.

Później, kiedy wszyscy już wyszli, zdał sobie sprawę, że na razie w tej sprawie nie może już zrobić nic więcej. Powrócił więc myślami do innych problemów.

Jednak jeszcze tego samego popołudnia zszedł do swego arsenału, by przeprowadzić rutynową kontrolę. A przynajmniej to właśnie było jego zamiarem. Lecz wraz z upływem czasu zorientował się, że najwięcej uwagi poświęca małym, niezwykle śmiercionośnym rodzajom broni. Na przykład takim, które z łatwością mogą być przenoszone przez pojedynczego człowieka i posiadają stosunkowo duży zasięg rażenia. To spostrzeżenie nie powstrzymało go przed dalszą inspekcją. Wiedział, że jego świętym obowiązkiem, jako jedynego żyjącego bogobójcy w galaktyce, jest utrzymanie tego arsenału w pełnej gotowości. Tak na wszelki wypadek.

W ten właśnie sposób Francis Sadow spędzał swe ostatnie dni przed ponownym wyjazdem na Deibę.

Pragnąc wypróbować swą nową potęgę na mniejszą skalę, zanim wyruszy do wielkich centrów miejskich na Summit - świat o wiele gęściej zaludniony niż Cleech - Heidel von Hy - mack orbitował dookoła planety i studiował mapy, wybierając cel swego pierwszego ataku.

W końcu, starając się unikać satelitów kontrolnych ruchu przestrzennego, opuścił się na drugi co do wielkości, stosunkowo mało zaludniony kontynent - Soris. Statek, którym przybył, ukrył pod nawisem skalnym. Posługując się niewielkim promiennikiem, który znalazł w plecaku, naciął gałęzi i zamaskował nimi błyszczącą powierzchnię pojazdu.

Podpierając się laską, wyruszył w drogę. Po przebyciu kilkudziesięciu kroków, niespodziewanie dla siebie samego, zaczął śpiewać. Dawniejszymi czasy byłoby to dla niego sporą niespodzianką, ponieważ sam nie rozumiał słów tej przedziwnej pieśni, a melodia do nich powstać mogła jedynie w marzeniach.

Potem dostrzegł niewielką fermę, przytuloną do skalistego zbocza...

Porządkując laboratorium, przysłuchiwał się dźwiękom cichej muzyki. Czyścił, układał i zamykał wszystko, co przez najbliższy czas nie będzie potrzebne. Jego olbrzymia postać poruszała się po całym statku, wydając polecenia i rozkazy.

"Zaczynam wyrabiać w sobie starokawalerskie nawyki - pomyślał, uśmiechając się nieznacznie. - Wszystko na swoim miejscu. A co byłoby, gdybym miał możliwość powrotu, możliwość ponownego bycia między ludźmi? Readaptacji? Przystosowałem się przecież do głębokiego kosmosu... Byłaby to jednak jakaś odmiana. Jedyne nadzieje w H. Nikt inny nie jest mi w tej chwili w stanie pomóc. A jeżeli i ta szansa zawiedzie... Wtedy nastąpią kolejne lata oczekiwania. Być może stulecia. Oczekiwanie na niespodziewany przełom. I jaki on właściwie będzie za te kilka stuleci? Jaki ja wtedy będę? Duch ducha? Obcy dla własnego gatunku? Co powiedzą o mnie moi potomkowie?"

Gdyby posiadał funkcjonujące płuca, parsknąłby niewesołym śmiechem. Zamiast tego przedostał się do sekcji obserwacyjnej B Coli. Przyglądał się spiralnym ruchom gwiazd, które przesuwały się dookoła niego, niczym w kosmicznej centryfudze. Słuchając chorałów gregoriańskich, kierował się ku Cleech - ostatniemu miejscu pobytu człowieka o nazwisku Heidel von Hymack.

### 3.

Spotkała go po raz pierwszy pewnej deszczowej nocy.

Ponieważ nie miała tego wieczoru żadnych klientów, zeszła na dół, do lobby i podeszła do stojącego w kącie automatu z gazetami. Wiedziała, iż drzwi zewnętrzne są otwarte, gdyż do wnętrza dobiegał wyraźnie gwar ulicy i odgłosy szalejącej na zewnątrz zawieruchy. Wybrała interesujące ją czasopisma, wrzuciła do szczeliny kilka monet i mając zamiar wrócić do swego pokoju, odwróciła się.

Wtedy go zobaczyła. Gazety wypadły jej z ręki i plasnęły o podłogę. Zmieszana się niespodziewanie i postąpiła krok do tyłu. To przecież niemożliwe, by mogli znaleźć się tak blisko siebie. Poczuli, jak zaczyna płonąć jej twarz.

Był wysoki. O wiele wyższy niż to sobie wyobrażała. Czarne włosy jedynie na skroniach przetykane były pasemkami siwizny - oczywiście korzystał z odpowiedniej opieki medycznej, proces starzenia przebiegał więc u niego wolniej niż u innych ludzi. Uradowało ją to, bowiem za nic nie chciałyby oglądać go jako zgrzybiałego starca. A te jastrzębie rysy twarzy i płonące oczy! Robił o wiele większe wrażenie niż najlepsze nawet zdjęcia czy hologramy. Ubrany był w czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Miał ze sobą dwie sztuki bagażu - coś, co przypominało walizkę i perforowane pudło z rączką. Na jego włosach i brwiach lśniły krople deszczu, spływające po policzkach i czole. Zapragnęła podbiec bliżej i zaoferować własną bluzkę do otarcia twarzy.

Zamiast tego nachyliła się i zebrała porzucane na podłodze gazety. Prostując się, zasłoniła nimi częściowo twarz i podeszła do stojącego przy kontuarze recepcji krzesła, udając, że ma zamiar czytać.

- Pokój i dziewczynę, sir? - usłyszała głos Horacego.

- Znakomicie - odparł, kładąc bagaż na podłogę.

- Z powodu tej paskudnej pogody - mówił dalej Horacy - mamy dziś całkiem spory wybór.

- Położył na kontuarze gruby album. - Zobaczmy więc, która odpowiadałaby panu najbardziej.

Liczyła w duchu odwracane karty książki, którą znała już na pamięć... Cztery, pięć. Chwila przerwy... Sześć.

Zatrzymał się.

"Och, nie!" - westchnęła z rozpaczą. To będzie Jeanne lub Synthe. Nie one, nie dla niego! Być może Meg lub Kyla. Ale nie krowiooka Jeanne lub Synthe, która ważyła o dwadzieścia funtów więcej niż wskazywała to jej fotografia.

Odważyła się podnieść wzrok i spostrzegła Horacego, który siedział za kontuarem i

podnosił właśnie do oczu gazetę.

Powodowana nagłym impulsem, zerwała się na równe nogi i stanęła tuż obok niego.

- Komandorze Malacar...

Zamierzała powiedzieć to śmiało i pewnie, jednak jej ściśnięte gardło zdobyło się jedynie na niepewny szept

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. Zerknął na pogrążonego w lekturze Horacego i szybkim ruchem położył palec na wargach.

- Witaj. Jak się nazywasz?

- Jackara. - Tym razem jej głos zabrzmiał zdecydowanie lepiej.

- Pracujesz tutaj? Skinęła głową.

- Jesteś już zajęta?

Ponowny ruch głowy, tym razem w przeczeniu.

- Recepcjonista!

Wskazał kciukiem na Jackarę.

- Ją - rzucił krótko.

Horacy z nieszczęśliwą miną przełknął gwałtownie ślinę.

- Sir, lepiej, jeżeli pana uprzedzę... - zaczął.

- Ją - powtórzył Malacar. - Wpisz mnie.

- Jak pan sobie życzy, sir. - Horacy położył na blacie czysty blankiet i pióro. - Ale...

- Nazwisko Rory Jimson. Przybywam z Miadod, na Comphor. Płacę teraz czy później?

- Teraz, sir. Osiemnaście jednostek.

- Ile to będzie w dolarach DYNAB?

- Czternaście i pół.

Malacar wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i zapłacił. Horacy otworzył usta, zamknął i powiedział:

- Jeżeli coś będzie nie w porządku, proszę mnie natychmiast powiadomić.

Malacar skinął krótko głową i nachylił się po bagaże.

- Jeżeli pan chwileczkę zaczeka, wezwę bagażowego.

- Dziękuję, ale nie jest to konieczne.

- Dobrze. Jackara pokaże panu drogę do pokoju. Zakręcił pióro, westchnął i powrócił do lektury.

Malacar ruszył za nią do windy. Studiując jej pełną figurę, usiłował przypomnieć sobie jej twarz.

- *Shind, przygotuj się do transmisji i przekazu - polecił po wejściu do windy.*



- *Jestem gotowy.*

- *Nie przestrasz się, Jackaro i staraj się nie okazywać, że mnie słyszysz. Powiedz mi, skąd o mnie wiesz.*

- *Jesteś telepatą!*

- *Odpowiedz po prostu na pytanie, i pamiętaj, że jednym gestem dłoni mogę zniszczyć połowę tego budynku.*

- Tutaj wysiadamy - powiedziała i powiodła go długim korytarzem, oświetlonym tkwiącymi w listwach przypodłogowych lampami. Pokrywające ścianę wzory przywodziły na myśl pręgowaną skórę tygrysa. Nadawało to kroczącej przed nim dziewczynie niepokojący, zwodniczy wygląd, wydawała się emanować zwierzęcą niemal naturą. W powietrzu wyczuł słabe opary podniecającego narkotyku. Przy wylotach wentylatorów wydawały się one silniejsze.

- Wiele razy widziałam twoje zdjęcia. Dużo o tobie czytałam. Przyznaję, że mam w pokoju wszystkie twoje fotografie, nawet te dwie wydane w CL.

Roześmiał się i polecił, by Shind przerwał połączenie z dziewczyną.

- *Mówi prawdę, Shind? - zapytał po chwili.*

- *Tak. Podziwia pana ze ślepą wręcz ufnością. W tej chwili jest podniecona i zdenerwowana.*

- *A więc żadnej pułapki?*

- *Żadnej.*

Zatrzymała się przed drzwiami i przekreśliła klucz w zamku. Otworzyła je mocnym pchnięciem, lecz zamiast wejść lub odsunąć się na bok, odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu prosto w oczy. Sprawiała wrażenie, iż za chwilę wybuchnie płaczem.

- Cokolwiek tam zobaczysz, nie śmieję się ze mnie - powiedziała cicho. - Proszę.

- Nie będę - przyrzekł.

Odstąpiła na bok.

Wszedł do środka i rozejrzył się dookoła. Jego wzrok spoczął na pejcach, a potem na wiszącej nad łóżkiem fotografii. Uśmiechnął się pod nosem i postawił bagaże na podłodze. Skrzypnęły zamykane drzwi. Niewielki pokój stanowił szczyt ascetyzmu. Szare, pozbawione jakichkolwiek ozdób ściany, jedyne okno zamknięte na głucho.

Zaczynał rozumieć.

- *Tak - powiedział Shind.*

- *Przygotuj się do transmisji i przekazu.*

- *Jestem gotowy.*

- Jackaro, czy w tym pokoju są jakieś urządzenia monitorujące?

- Niezupełnie. Byłoby to nielegalne. Są jednak urządzenia, za pomocą których mogę kogoś wezwać.

- Czy są w tej chwili włączone?

- Nie.

- A więc nikt nie usłyszy, o czym rozmawiamy?

- Nie - powiedziała głośno. Odwróciła się. Stała oparta plecami o drzwi, wpatrując się w niego otwartymi szeroko oczyma, z zaleknionym wyrazem twarzy.

- Nie musisz się mnie obawiać - powiedział łagodnie. - Przecież śpisz ze mną co noc, prawda?

Czując się niezręcznie, gdy nie odpowiedziała, zdjął płaszcz i rozejrzał się dookoła.

- Czy masz jakieś miejsce, gdzie mógłbym to wysuszyć?

Postąpiła do przodu i wyciągnęła rękę.

- Wezmę to. Powieszę pod prysznicem.

Nieomal wyszarpnęła mu go z rąk i szybkim krokiem przeszła do sąsiedniego pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Trzasnął przekręcany zamek. Po chwili usłyszał odgłos gwałtownych torsji.

Ruszył w stronę drzwi, mając zamiar zastukać i zapytać, czy wszystko w porządku.

- *Niech pan tego nie robi* - wstrzymał go Shind. - *Da sobie radę. Dobrze. Chcesz wyjść?*

- *Nie. To by ją jeszcze bardziej zdeprymowało. Jest mi całkiem wygodnie.*

Po jakimś czasie usłyszał szum spuszczonej wody i ponowny trzask zamka. Gdy stanęła w drzwiach, spostrzegł, iż jej rzęsy wciąż jeszcze są wilgotne. Dostrzegł także niezwykle błękit jej oczu.

- Już wkrótce będzie suchy - powiedziała. I dodała: - Komandorze.

- Dziękuję. Ale proszę, nazywaj mnie Malacar, Jackaro. Albo jeszcze lepiej - Rory.

Obszedł łóżko i przyjrzał się fotografii z bliska.

- Niezłe podobieństwo. Skąd pochodzi?

Z pojaśniałą twarzą przysunęła się bliżej.

- To reprodukcja z twojej biografii, napisanej przez człowieka nazwiskiem Gillian. Kazałam ją powiększyć i oprawić. To twoja najlepsza fotografia, jaką mam.

- Nigdy nie czytałem tej książki - przyznał. - Próbuję sobie właśnie przypomnieć, kiedy zrobiono to zdjęcie. Ale nie mogę.

- To było tuż przed słynnym Manewrem Ósmym - powiedziała z ożywieniem. - Gdy przygotowywałeś Flotę na spotkanie z Conlil. Książka mówi, że zrobiono je na godzinę przed twoim odlotem.

Odwrócił się, obdarzając ją promiennym uśmiechem.

- Sądzę, że w tym temacie nawet ja nie mógłbym z tobą konkurować - rzucił wesoło. Nieoczekiwanie zaczerwieniła się. - Papierosa? - zaoferował.

- Nie, dziękuję.

Wyjął jednego z paczki i zapalił.

"Jak, do diabła, mogłem się władować w coś takiego? - pomyślał z rozdrażnieniem. - Beznadziejny przypadek adoracji wyśnionego bohatera, czyli mnie. Jeżeli powiem coś niewłaściwego, to po prostu rozpadnie się na części. Jak najlepiej do niej trafić? Być może pozwalając jej myśleć, że jestem zdenerwowany, a potem prosząc o dochowanie jakiejś mało istotnej tajemnicy..."

- Posłuchaj - zaczął. - Tam na dole zaskoczyłaś mnie. Nikt nie wiedział, że przyjeżdżam na Deibę i nie sadziłem, że ludzie wciąż jeszcze pamiętają moją twarz. Zatrzymałem się tutaj, a nie w hotelu, ponieważ w takich miejscach nikt nie zwraca uwagi na twarze czy nazwiska. Jak już powiedziałem, zaskoczyłaś mnie. Pragnąłem zachować swoją obecność na tej planecie w sekrecie.

- Nie obowiązują cię przecież tutejsze prawa, prawda?

- Nie przybyłem tu, by je łamać. A przynajmniej nie tym razem. Chcę zdobyć jedynie kilka informacji, o ile to możliwe, poufnie. - Przybrawszy poważny wyraz twarzy, spojrzał jej prosto w oczy. - Czy mogę ci zaufać, że zachowasz moją obecność tutaj w sekrecie?

- Oczywiście - odparła. - Co jeszcze mogłabym zrobić? Urodziłam się na DYNAB. Chciałabym pomóc ci we wszystkim, co zamierzasz.

- Czemu nie? - powiedział, sadwiąc się na brzegu łóżka. - Jeżeli DYNAB rzeczywiście tak wiele dla ciebie znaczy, to co tu właściwie robisz?

Parsknęła niewesołym śmiechem i usiadła na krześle stojącym naprzeciwko łóżka.

- A jak mam wrócić? To jedyna praca, jaką mogłam znaleźć w tym mieście. Jak myślisz, ile czasu musiałabym oszczędzać, aby kupić bilet?

- Jesteś tu na umowie czy na pewnego rodzaju kontrakcie?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Nie znam obowiązujących tu przepisów. Tak się zastanawiam, czy nie udałoby mi się wyciągnąć stąd ciebie od razu.

- Zabrać mnie stąd? Z powrotem na DYNAB?

- Oczywiście. Tego właśnie chcesz, prawda?

Odwróciła się od niego i zaczęła cichutko płakać. Nie poruszył się, nie chcąc jej płoszyć.

- Przepraszam - wyszeptała wreszcie. - Nie oczekiwałam... Nie oczekiwałam, że może mi się przytrafić coś podobnego. Malacar wchodzący do mego pokoju i proponujący, że mnie stąd

zabierze. To coś, o czym śniłam po nocach...

- Uważam więc, że twoja odpowiedź brzmi: "tak".

- Dziękuję - powiedziała. - Tak, oczywiście, że tak! Lecz jest jeszcze coś...

Uśmiechnął się.

- Co takiego? Przyjaciel, którego chcesz zabrać? Mogę to załatwić.

Podrzuciła głowę i spojrzała na niego błyszczącymi ze złości oczyma.

- Nie! - rzuciła ostro. - Nic podobnego. Żadnego z tych mężczyzn nie chciałabym już oglądać!

- Przepraszam.

Opuściła wzrok, spoglądając na swe sandały, na pomalowane na srebrno paznokcie. Malacar zdusił papierosa w metalowej popielniczce, stojącej na stoliku obok łóżka.

Gdy odezwała się ponownie, mówiła bardzo powoli i nie patrzyła w jego stronę.

- Chciałabym zrobić coś dla DYNAB. Chciałabym ci pomóc w czymkolwiek, co zamierzasz zrobić w Capeville.

Przez pewien czas milczał. W końcu zapytał:

- Ile masz lat, Jackaro?

- Nie jestem pewna. Około dwudziestu sześciu, tak mi się wydaje. A przynajmniej tak właśnie mówię ludziom. Być może dwadzieścia osiem. A może dwadzieścia pięć. Lecz dlatego jedynie, że jestem jeszcze młoda... - Uniesiona w stanowczym geście dłoń zmusiła ją do zamknięcia.

- Nie próbuję cię przed niczym powstrzymać. Możliwe, iż rzeczywiście skorzystam z twojej pomocy. Ale uwierz mi, że pytałem o twój wiek nie bez powodu. Co wiesz o mwalak - haran khurr, która jest powszechnie nazywana gorączką de - ibańska?

Uniosła wzrok ku sufitowi.

- Wiem, że nie jest zbyt powszechna - powiedziała. - Jej objawami zewnętrznymi są wysoka temperatura i ciemnienie cery. Przypuszcza się, że atakuje centralny system nerwowy. W dalszym etapie porażony zostaje system oddechowy i serce. I jest jeszcze coś z płynami. Ciało właściwie ich nie traci, lecz płyny komórkowe stają się pozakomórkowe. Właśnie. A same komórki są niechłonne. To dlatego właśnie człowiek jest wiecznie spragniony, a przyjmowanie płynów nie pomaga. Ale to ty jesteś przecież lekarzem. Wiesz o tym wszystkim znacznie więcej niż ja.

- Co wiesz o formie tej choroby?

- No cóż, nie ma na nią lekarstwa i jest zawsze śmiertelna, jeżeli o to ci chodzi.

- Jesteś pewna? - zapytał. - Czy nie słyszałaś nigdy o kimś, kto by ją przeżył?

Spojrzała na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

- Nikt? - pytał dalej. - Nikt jej nie przeżył?

- No cóż, powiadają, że był kiedyś ktoś taki. Ale ja byłam wtedy bardzo młoda, a to wydarzyło się prawie zaraz po konflikcie. Nie pamiętani dokładnie.

- A więc powiedz mi to, co pamiętasz. Przecież musiały być jakieś plotki na ten temat.

- Mówiono po prostu o człowieku, który ją przeżył. Nie wspomniano nawet jego imienia.

- Dlaczego nie?

- Gdy uznali go za wyleczonego, stwierdzili, że mógłby wywoływać wśród ludzi panikę.

Przemilczano więc jego imię.

- H - mruknął. - Później mówili o nim wyłącznie H.

- To możliwe. Tak jakoś. Nie wiem. Nie pamiętam.

- Gdzie go leczyli? W jakim szpitalu?

- Tutaj, w mieście. Lecz tego szpitala już nie ma.

- Skąd pochodził?

- Z Mound. Przez jakiś czas wszyscy nazywali go nawet "człowiekiem z Mound".

- Czy urodził się tutaj?

- Nie wiem.

- Co to takiego to Mound?

- Rodzaj płaskowyżu. Opuszczasz półwysep i idziesz trzydzieści mil w głąb lądu, kierując się na północny zachód. Są tam ruiny miasta - jeszcze z czasów Pei'an. Deiba była kiedyś częścią starego Imperium Pei'an. Teraz miasto już właściwie nie istnieje, a odwiedzają go jedynie archeolodzy, geolodzy i garstka turystów. Wydaje mi się, że znaleźli go tam, gdy demontowano pozostałą po wojnie część systemu wczesnego ostrzegania. W każdym razie były tam jakieś wojskowe instalacje, a kiedy weszli, aby coś z nimi zrobić, znaleźli tego człowieka. Przywieźli go tutaj w izolowanej łodzi i wyzdrowiał.

- Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

- Mam broń - powiedziała. - I potrafię się nią posługiwać.

- To wspaniale.

- Jeżeli to, co zamierzasz zrobić, jest w jakiś sposób niebezpieczne...

- Być może - przerwał. - Mówisz o tym Mound tak, jakbyś doskonale znała ten teren. Czy mogłabyś dać mi jakąś mapę lub spróbować ją narysować?

- Nie ma dobrych map - powiedziała. - A ja byłam tam wiele razy. Często podróżuję na kooryabie i często robię wycieczki w głąb kontynentu. Mound jest bardzo dobrym miejscem do ćwiczeń w strzelaniu. Nikt ci tam nie przeszkadza.

- Jest kompletnie opuszczone?

- Właśnie.

- Dobrze. Będziesz więc mogła mi je pokazać.

- Jak sobie życzysz. Nie ma tam jednak wiele do oglądania. Myślałam...

Sięgnął po kolejnego papierosa.

- *Czy jest lojalna, Shind?*

- Tak.

- Ja naprawdę jestem tym zainteresowany - powiedział. - I wiem, co myślałaś. Myślałaś, że przyjechałem po to, by dokonać aktu sabotażu lub wywołać tu rewolucję. Uwierz mi, że to, czego szukam, jest daleko ważniejsze. Akt przemocy może co najwyżej zirytować CL, a w końcu i tak przejdą nad tym do porządku dziennego. Lecz jeżeli znajdę na Mound informacje, które są mi potrzebne, będę miał w rękę klucz do najstraszliwszej broni w całej galaktyce.

- Co to za informacja?

- Pełne imię i nazwisko człowieka znanego jako H.

- W jaki sposób może ci to pomóc?

- To zatrzymam na razie dla siebie. I lepiej będzie, jeśli poszukiwania rozpocznę właśnie tam. Jeżeli ten człowiek rzeczywiście obozował na Mound, być może pozostawił jakieś ślady. Jakie - tego nie wiem. Lecz jestem pewien, iż ktokolwiek przywiódł go z powrotem, pozostawił tam jego ekwipunek lub go zniszczył - o ile go odnalazł. A jeżeli wciąż jeszcze tam jest, chcę go mieć.

- Pomogę ci - powiedziała cicho. - Chcę ci pomóc. Ale nie będę wolna przed... - urwała, widząc, jak wstaje i pochyła się nad nią. Po chwili poczuta na swoich ramionach jego dłonie. Zadrżała.

- Nie zrozumiałaś mnie - mówił powoli jak do małego dziecka. - To twój ostatni dzień w tym miejscu. Od tej chwili nie należysz już do nikogo. Rano chciałbym, abyś zajęła się kupnem lub wypożyczeniem dwóch albo trzech tych kooryabów, a także ekwipunku, jakiego będziemy potrzebować w trakcie tej wycieczki. Pozostaniemy w Mound około tygodnia. Nie chcę udawać się tam statkiem, ponieważ kontrolerom w porcie mogłoby się to wydać podejrzane. Wyruszamy jutro i nie będziesz się już musiała martwić, czy jesteś "wolna", czy "zajęta". Po prostu rezygnujesz na własną prośbę. To chyba legalne?

- Tak - odparła. Siedziała wyprostowana, dłonie trzymając zaciśnięte kurczowo na poręczach krzesła.

"Nie chciałem tego - pomyślał. - Ale ona rzeczywiście może mi pomóc. A zresztą jest dziewczyną z DYNAB, którą te cholerne CL doprowadziły do obłądu".

- A więc załatwione - powiedział. Usiadł na łóżku i zapalił kolejnego papierosa.

Sprawiała wrażenie rozluźnionej.

- Chyba poproszę cię teraz o papierosa, Malacar.

- Rory - poprawił.

- Rory.

Wstał, wyciągnął w jej stronę paczkę, błysnął zapalniczką i usiadł.

- Nigdy nie słyszałam, byś był telepatą - powiedziała po chwili.

- Bo nie jestem. To taka sztuczka. Jutro ci pokażę, na czym ona polega.

"Ale jeszcze nie dzisiaj - pomyślał. - Bogowie! Skoro tyle czasu zajęło mi, byś choć trochę doszła do siebie, to z pewnością nie przedstawię cię teraz włochatemu Darveńczykowi o oczach jak spodki. Narobiłabyś tylko wrzasku, ściągając tym nieproszonych gości".

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym otworzył okiennice?

- Zaraz się tym zajmę.

Chciał zaprotestować, ale dziewczyna zerwała się już z krzesła i zmierzała w stronę okna. Nacisnęła umieszczoną pod parapetem kontrolkę i okiennice z cichym szumem rozsunęły się na boki.

- Chcesz, abym otworzyła okno?

- Tak, troszeczkę.

Okno zareagowało na naciśnięcie kolejnej kontrolki i już po chwili oddychał chłodnym, wilgotnym powietrzem.

- Ciągle pada - zauważył. Wyciągnął dłoń, strzepując popiół na zewnątrz.

-Tak.

Spoglądając poprzez omywaną deszczem szybę, widział leżące poniżej miasto. Światła były przyćmione i drżące. Wiejąca znad oceanu bryza niosła ze sobą ożywczy zapach soli.

- Dlaczego trzymasz je zamknięte? - zapytał.

- Nienawidzę tego miasta - padła chłodna, pozbawiona emocji odpowiedź. - Nie lubię na nie patrzeć, nawet w nocy.

Nad wzgórzami przetoczył się grzmot. Malacar oparł łokcie o parapet i wychylił się na zewnątrz. Po chwili wahania uczyniła to samo. Po raz pierwszy znalazła się tak blisko niego. Jednak wiedział, że gdyby ją teraz dotknął, magia chwili minęłaby bezpowrotnie.

- Często tu pada? - zapytał.

- Tak. Szczególnie o tej porze roku.

- Lubisz pływać albo żeglować?

- Czasami pływam, aby nie wyjść z wprawy. Wiem także, jak obsługiwać niewielką zagłówkę. Ale niespecjalnie lubię morze.

- Dlaczego?

- Mój ojciec utopił się. Było to wtedy, gdy umarła matka i dołączono mnie do innych dzieci. Pewnej nocy próbował op - ływać Point Murphy. Ja jednak sądzę, że po prostu próbował uciec z Centrum Relokacji. Powiedzieli mi, że utonął. A mogło być i tak, że jakiś przeklęty strażnik go zastrzelił.

- Przykro mi.

- Byłam wtedy dzieckiem. Nie wiedziałam jeszcze wszystkiego. Dopiero później zaczęłam ich nienawidzić.

Przez chwilę wpatrywali się w ciemność.

- Jak właściwie będzie, kiedy już zwyciężysz? - zapytała niespodziewanie.

Cisnął papierosa w dół i obserwował, jak spada, przypominając rozżarzoną komętę.

- Gdy zwyciężę? - Podparł się na łokciu i spojrzał jej prosto w oczy. - Mam zamiar walczyć aż do śmierci, lecz nigdy nie uda mi się złamać CL. Celem moich działań jest ocalenie DYNAB, ale nie zniszczenie CL. Zamierzam nie dopuścić, by trzydzieści cztery niewielkie światy stały się zależne od kaprysów czternastu Lig. Nie mogę mieć nadziei, że je pokonam, a być może uda mi się nauczyć je szacunku dla DYNAB, przynajmniej do chwili, w której będziemy na tyle silni, by osiągnąć status Lig. Gdyby udało nam się skolonizować jeszcze kilkanaście światów, gdyby Ligi, zamiast nas bojkotować i przeszkadzać we wszystkim, dały nam wolną rękę, wtedy mielibyśmy szansę. Chcę przyłączenia do CL, nie niszczenia, ale na naszych własnych warunkach. Oczywiście, nienawidzę ich za to, co nam zrobili. Ale stanowią najlepszą cywilizację, jaką mamy. Chcę, aby znalazło się w niej miejsce i dla nas, ale na zasadzie równości.

- A to, czego szukasz na Mound? Tego H?

Wargi wykrzywił mu pozbawiony ciepła uśmiech.

- Jeżeli rzeczywiście uda mi się uzyskać kontrolę nad sekretem tego H, stanę się największym czarnym charakterem w historii ludzkości. Ale, na wszystkich bogów, sprawię, że CL na własnej skórze przekona się, co to jest piekło! Potem przez długi czas pozostawię DYNAB w spokoju.

Cisnęła papierosa w ciemność, zapalił więc dwa następne. Stali przy oknie, wsłuchując się w odgłosy nadciągającej burzy. W oddali niebo rozdierane było białymi zygzakami błyskawic. Co jakiś czas piorun uderzał bliżej, a wtedy wszystkie okna w Capeville wydawały się ożywać, rozbłyskując na moment złudnym, wewnętrznym światłem.

"Od wieków nie prowadziłem rozmowy w ten sposób - pomyślał. - Ale też nie zawsze mam przy sobie Shinda, który podpowiada mi, komu mogę zaufać. Ileż w niej jeszcze dziecka! I bez wątpienia jest bardzo piękna. Ale te pejczy i to dziwne zachowanie recepcjonisty... Ona nienawidzi



tutaj wszystkich. Nawet nie przypuszczałem, że rząd zezwala tutaj na tego typu uciechy. Ale być może stają się zbyt staromodny... Oczywiście, że tak. Źle, że spotkało to właśnie ją. Może któregoś dnia spotka kogoś, już na DYNAB, kto będzie ją traktował tak, jak na to zasługuje... Do diabła! Starzeję się. Ale powietrze tutaj jest wyjątkowo czyste. I pięknie pachnie".

Nad budynkiem pojawił się nisko lecący pojazd, świecący w ciemności jak gigantyczny świetlik. Malacar obserwował, jak zmierza powoli w stronę pola, na którym wylądował.

"To z pewnością skoczek przestrzenny - uznał. - Akurat odpowiednich rozmiarów. Ale kto ląduje w taką noc, zamiast przeczekać burzę na suchej, bezpiecznej orbicie? Wyłączając mnie, oczywiście".

Lecący coraz niżej statek jął zataczać powolne, szerokie kręgi, zupełnie jakby poszukiwał odpowiedniego do lądowania miejsca.

- Jackaro, czy mogłabyś zgasić światło? - zapytał i uśmiechnął się w duchu, czując, jak dziewczyna sztywnieje. - A jeżeli masz jakąś lornetkę lub teleskop - ciągnął szybko dalej - to podaj mi je, proszę. Interesuje mnie ten statek.

Odsunęła się od niego i usłyszał, jak otwiera szafkę. Po dziesięciu uderzeniach serca pokój pogrążył się w ciemnościach.

- Proszę - powiedziała, ponownie stając tuż obok niego. Podniósł lornetkę do oczu i wyregulował ostrość".

- Co się stało? - zapytała. - O co chodzi? Nie odpowiedział.

Niebo w oddali rozdarła kolejna błyskawica.

- To skoczek przestrzenny - stwierdził. - Jak wiele przybywa ich do Capeville?

- Całkiem sporo. Głównie niezależnych kupców.

- Ten jest na to zbyt mały. A jak wiele prywatnych?

- Przeważnie turyści - odparła. - Kilka każdego miesiąca. Opuścił lornetkę i wręczył ją dziewczynie.

- Być może stają się już nadmiernie podejrzliwy - powiedział. - Ale wciąż obawiam się, że w końcu wpadną na to, jak mnie wytropić i...

- Lepiej zapalę światło. - Odeszła w ciemność. Gdy zrobiło się jasno, jeszcze przez chwilę stał przy oknie, wpatrując się w niewyraźne kontury miasta.

Słyszając za plecami zduszone pochlipywanie, odwrócił się powoli.

Leżała skulona po swojej stronie łóżka. Twarz zasłaniała jej kaskada czarnych, lśniących włosów. Rozpięła bluzkę, eksponując noszoną pod spodem czarną bieliznę.

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, a potem podszedł bliżej i usiadł tuż obok niej na łóżku. Łagodnym ruchem odgarnął jej włosy z twarzy. Nie przestawała płakać.

- Przepraszam - wychlipała, nie podnosząc wzroku. - Chciałam, ale teraz nie mogę. Nie z tobą. Jeśli chcesz, to poproszę inną dziewczynę, aby z tobą została. Na przykład Lorraine lub Kyle. Są tutaj bardzo popularne.

Dziewczyna zaczęła się podnosić. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka.

- Którąkolwiek przyprowadzisz, to jedyne, co będę jej mógł zaproponować, to całonocny sen - powiedział. - W tej chwili nie byłbym w stanie zdobyć się na nic innego.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Ani mi to w głowie. Jestem przeraźliwie śpiący. Jeżeli będę chrapał, to po prostu okryj mnie szczelnie kocem.

Skinęła z uśmiechem głową i pobiegła do łazienki. W chwilę później zgasła światło i wsunęła się do łóżka. Spostrzegł, że zapomniała zamknąć okno. Lubił świeże powietrze, nie zwrócił więc jej na to uwagi. Leżał nieruchomo, oddychając głęboko i wsłuchując się w zacinający z zewnątrz deszcz.

- Malacar - usłyszał jej szept. - Śpisz?

- Nie.

- Co z moimi rzeczami?

- Jakimi rzeczami?

- Mam kilka sukienek i książek... No wiesz, po prostu rzeczy.

- Rano możemy je zapakować i wysłać do portu. Zabierzemy je, gdy będziemy opuszczać Deibę. Pomogę ci.

- Dziękuję.

Przekręciła się na bok i znieruchomiała. Ciszę przerwał stłumiony jęk syreny mgłowej. Leżąc na plecach, rozmyślał o tym skoczku, którego obserwował przez lornetkę. Nawet jeżeli Senrice śledziła go w jakiś sposób aż od systemu słonecznego, to i tak nic nie mogli mu tu zrobić. Inna sprawa, że nie chciał, aby w jakikolwiek sposób łączyli go z Deibą lub H. Ale jak udało im się go wytropić? Poprzez Morwina? Wspominał coś, że ma przyjaciela w Service. Czyżby umieścił na pokładzie Perseusza jakieś urządzenie detekcyjne? Shind upierał się, że jest lojalny...

"Popadam już chyba w paranoję - przemknęło mu przez głowę. - Najlepiej o tym zapomnieć".

Otworzył oczy i zapatrzył się w sufit. Leżąca obok dziewczyna poruszyła się leciutko. Spojrzał w bok i pomimo panującego w pokoju mroku dostrzegł zarys wiszących na ścianie pejczy. Jego fotografia nad łóżkiem spoglądała na wszystko, co się tu działo. Portret fałszywego świętego w burdelu. Myśl ta rozbawiła go i zabolowała jednocześnie. Usłyszał ponowny jęk syreny mgłowej.

Nocne powietrze stało się już dużo chłodniejsze. Upiorne lśnienie błyskawicy. Stłumiony huk. Ciężki mosiężny kandelabru na suficie...

Musiał się chyba zdrzemnąć, bowiem następną rzeczą, której był w pełni świadomy, było leciutkie potrząśnięcie za ramię.

- Malacar?

- Tak?

- Zimno mi. Mogę przysunąć się bliżej?

- Pewnie.

Po chwili poczuł ciepło jej ciała, gdy położyła mu głowę na piersi. Otoczył ją ramieniem i ponownie zapadł w sen.

Śniadanie zjedli w niewielkiej restauracyjce, leżącej o kilka domów dalej. Malacar zauważył, że siedząca przy jednym z dalszych stolików grupa młodych kobiet posyła mu zaciekawione spojrzenia.

- Dlaczego te kobiety tak na mnie patrzą? - zapytał półgłosem.

- Pracują tam, gdzie ja - odpowiedziała. - Są zaskoczone faktem, że spędziłeś ze mną całą noc.

- Nie zdarza się to często?

- Nie.

W drodze powrotnej nabyli kartony i Malacar pomógł jej w pakowaniu. Przez cały ten czas, zarówno podczas pakowania, jak i w trakcie śniadania, dziewczyna była dziwnie cicha.

- Boisz się? - zapytał.

- Tak - przyznała.

- To minie.

- Wiem. - Zawahała się przez moment. - Sądziłam, że gdy nadejdzie ten dzień, poczuję coś specjalnego. Ale nie miała to być obawa.

- Zostawiasz coś, co znasz, dla czegoś nieznanego. To zrozumiałe, że się tego obawiasz.

- Nie chcę być słaba.

- Strach nie jest oznaką słabości. - Poklepał ją delikatnie po ramieniu. - Skończ lepiej pakowanie. Ja zajmę się wysyłką do portu.

Odsunęła się.

- Dzięki - mruknęła i powróciła do pakowania.

Po wezwaniu samochodu dostawczego połączył się z biurem kontroli lotów. Dbał jednak, by ekran jego monitora pozostał wyłączony.

- Czy moglibyście mnie poinformować - pytał - czy lądujący zeszłej nocy podczas burzy

skoczek przestrzenny był jednostką Service?

- Nie - brzmiała odpowiedź. - To jednostka prywatna.

"Może to oznaczać wszystko i nic - pomyślał. - Jeżeli Service żąda dyskrecji, otrzymuje ją. Ale zawsze można spróbować".

- Czy moglibyście podać jakieś bliższe szczegóły?

- Oczywiście. To model T, port macierzysty Limon, Bogotelles. Właścicielem jest pan Enrico Caruso.

- Dziękuję - powiedział i przerwał połączenie.

"To w dalszym ciągu nic mi nie daje - pomyślał. - Chyba popadam w paranoję. Nie ma sensu sprawdzać tego Caruso. Jeżeli to jego prawdziwe nazwisko, tym lepiej. A jeżeli nie, to ustalanie jego prawdziwej tożsamości może potrwać zbyt długo. Nie ma powodu, by się tym naprawdę przejmować. Chyba, że to nasłany zabójca. Ale nawet wtedy..."

- Jestem gotowa - powiedziała dziewczyna.

- Dobrze. Masz tu trochę pieniędzy. Przelicz je i powiedz, czy wystarczy. Zaczekam tu na samochód z portu, a ty idź i zrób niezbędne zakupy.

- To o wiele więcej, niż będzie mi potrzebne - powiedziała, spoglądając na trzymany w dłoni zwitek banknotów. - Malacar...

- Słucham?

- Kiedy powinnam im powiedzieć, że odchodzę?

- Nawet teraz. A jeżeli nie chcesz rozmawiać z nimi osobiście, zostaw po prostu pisemną notatkę.

Rozjaśniła się.

- Napiszę notatkę.

Jeszcze tego samego popołudnia znaleźli się na wzgórzach. Jackara jechała przodem, wiodąc za sobą obciążone jukami zwierzęta. W pewnej chwili zatrzymała się i odwróciła, spoglądając na leżące poniżej miasto. Malacar zatrzymał się także, lecz całą uwagę skupił na dziewczynie, a nie na Capeville.

Jackara nie odzywała się. Sprawiała wrażenie, jakby była nieobecna. Zmrużyła oczy i zacisnęła wargi do tego stopnia, że stały się niemal niewidoczne. Obserwował, jak wiatr igra z końcami jej związanych w koński ogon włosów. Stała tak przez około pół minuty. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że w powietrzu wzbiera fala czystej nienawiści, sunie w dół zbocza i z niszczycielską siłą spada na miasto. Wkrótce jednak wrażenie to minęło, a dziewczyna odwróciła się i zacięła wierzchowca.

"Widziałem twój sen, Jackaro - pomyślał. - Szkoda, że nie ma pod ręką Morwina..."

Jechali całe popołudnie i w końcu spostrzegli przeciwny brzeg półwyspu, za którym woda miała jaśniejszy kolor i w zasięgu wzroku nie było żadnego miasta. Stało tam zaledwie kilka chat, a pomiędzy odległą plażą a wzgórzami rozciągał się pas zieleni pełnej świergotu i trzepotu upierzonych czarno ptaków. Niebo było do połowy zachmurzone, słońce jednak znajdowało się na tej drugiej połowie i dzień był w dalszym ciągu jasny. Po ubiegłonocnym deszczu szlak wciąż jeszcze pozostawał błotnisty; kopyta ich wierzchowców mąciły mijane po drodze szerokie kałuże. Widząc wyraźne, trójkątne odciski kopyt, pomyślał, że bestie, których dosiadają, mogą być bardzo niebezpieczne w walce. Dużo poniżej ocean załamywał się grzywiastymi falami, a korony drzew poruszały się wyraźnie.

Pomyślał, że jak na razie pogoda im sprzyja. Chociaż, sądząc po tych chmurach, przez całą noc może padać deszcz. A jeżeli zacznie dmuchać, impregnowany brezent z pewnością byłby lepszy niż te dziwaczne zasłonki, które kupiła...

Zatrzymali się tuż przed zmierzchem i zjedli skromny posiłek. Capeville dawno już pozostało z tyłu. Shind wyskoczył z pudła, w którym podróżował, i usiadł razem z nimi. Na jego widok Jackara uśmiechnęła się. Wydawało się nawet, że Darweńczyk wzbudza jej sympatię. Malacar przyjął to z zadowoleniem. Nienawidziła ludzi tak mocno, że w tej chwili łatwiej jej się było zaprzyjaźnić z obcym.

Jedli pod ciemniejącym szybko niebem. Pokrywa chmur zgęstniała i zaczęli odczuwać pierwsze nieprzyjemne podmuchy zimnego wiatru.

- Gdzie rozłożymy obóz, Jackaro? - zapytał. - I kiedy?

Pośliniła palec i uniosła go w górę.

- Sześć mil dalej jest miejsce osłonięte z obydwu stron. Tam możemy się rozbić.

Nim dotarli na wyznaczone miejsce, zaczęło padać.

Leżał nieruchomo, wciąż mokry, nasłuchując nerwowych ruchów kooryabów. Smagany zimnym wiatrem i od czasu do czasu deszczem, spoglądał w górę, na pogrążone w mroku ściany skalne i obmyślał przyszłość, wybierając światy, które miały umrzeć. Bez końca rozważał różnorakie warianty planu, aż ostatecznie wybrał ten, dla którego przyszłość rokowała największe nadzieje. Był gotów. Jeszcze dwa dni i dotrą do Mound. Leżąca w jego objęciach dziewczyna zamruczała coś cichutko.

- *Dobranoc, Shind.*

- *Dobranoc, komandorze.*

- *Czy śni jakiś koszmar?*

- *Nie. Jej sen jest bardzo piękny.*

- *A więc nie będę jej budził. Śpij dobrze.*

- *Pan takie.*

Leżał jeszcze przez chwilę, nasłuchując odgłosów nocy. Gdy w końcu nadszedł sen, był podobny do śmierci.

Opuścili półwysep następnego ranka i skręciwszy na północny zachód, skierowali się w głąb łądu. Droga pięła się stopniowo pod górę aż do płaskowyżu, który przekroczyli po południu. Przed nimi rozciągał się kolejny łańcuch wzgórz. Jackara powiedziała, że tam właśnie leży Mound. I że powinni znaleźć się tam jeszcze przed zachodem słońca.

Nie omyliła się. Gdy wjechali na szczyt, wskazała na coś dłonią. Skinął głową. W odległości kilku mil wznosiła się gigantyczna, o płaskich szczytach, ściana skalna. Oddzielał ich od niej szeroki kanion, który musieli pokonać. Niosące ich wierzchowce niezwykle ostrożnie przemykały obok zalegających częściowo na drodze złomów skalnych.

Po drugiej stronie kanionu znaleźli się tuż po zapadnięciu zmroku i wjechali na łatwy trakt, biorący swój początek u zachodniego podnóża Mound. Malacar oswoił się już z wierzchowcem i stwierdził, że nawet pomimo gęstniejących szybko ciemności, kierowanie nim jest właściwie łatwe.

Na ruiny natknęli się dopiero rankiem i dopiero tu zdał sobie w pełni sprawę, jak ogromne stoi przed nim zadanie. Zgodnie z poznanymi już wcześniej przez niego założeniami architektury Pei'an, także i tutaj oddalone od siebie budowle rozrzucone były w pozornym nieładzie. Stały rozmieszczone na obszarze o długości trzech mil i szerokości półtorej. Pozostały z nich głównie fundamenty, choć tu i ówdzie widoczny był fragment pokruszonej ściany. Ziemię zaścielały odłamki gruzu, pokryte trawą i splątanymi pnączami winorośli. Na całej przestrzeni nie rosło ani jedno drzewo. Tuż poza obszarem tego, co kiedyś musiało być miastem, wznosiła się niewielka, kwadratowa budowla, zniszczona przez deszcze i wiatry.

- Czy to instalacja wojskowa? - zapytał, wskazując w stronę tajemniczego budynku.

- Tak. Byłam już w środku. Dach jest częściowo zerwany, a wewnątrz jest mnóstwo insektów i nieprzyjemnie pachnie. Zbadali go i wynieśli wszystko, co było do zabrania.

Skinął powoli głową.

- Na początek przejdziemy się troszeczkę, a ty powiesz mi, co jest właściwie czym.

Towarzyszył im Shind, niewielki cień pośród zmurszałych kamieni.

Przechadzali się przez kilka godzin, podczas których powiedziała mu wszystko, co wiedziała o tym miejscu. Potem zbadał kilka najbardziej obiecujących ruin, mając nadzieję, że jedna z nich mogła przyciągnąć H. Jednak w porze obiadu był równie daleki od sukcesu, jak o wschodzie słońca.

Po obiedzie wspiał się na najwyższy punkt (resztkę ściany) i siedząc na nim okrakiem, narysował mapę całego obszaru. Potem naniósł na nią sieć krzyżujących się linii. Po południu

oznaczyl wszystkie miejsca przecięcia wbitymi w ziemię patykami.

- Będziemy przeszukiwać cały ten teren, kwadrat po kwadracie? - zapytała dziewczyna.

- Właśnie.

- Skąd zaczniemy?

- Wybierz któryś - powiedział, wyciągając w jej stronę mapę.

Posłała mu przeciągłe spojrzenie, lecz upewniwszy się, że nie żartuje, skinęła głową.

- Dobrze. A więc tutaj, ten pośrodku.

Jeszcze tego samego dnia przeszukali dwa kwadraty stopa po stopie, wpełzając do piwnic, odwalając gruz i udeptując lub wyrywając z korzeniami całe połacie trawy. Pracowali aż do zmroku, a potem wrócili do obozowiska i rozniecili ogień.

Później, gdy oboje leżeli i wpatrywali się w gwiazdy, przerwała długotrwałą ciszę mówiąc:

- Jak na jedno popołudnie mieliśmy całkiem niezły początek.

Nie odpowiedział. Nagle poczuł, jak ujmuje jego rękę w obie dłonie i ściska, aż do bólu.

- *Co jej się stało, Shind?*

- *Próbuje pana pocieszyć. Czuje, że nie udało się panu znaleźć tego, czego pan szukał i jest pan z tego powodu niezadowolony.*

- *No cóż, chyba ma rację. Ale tak między nami, to wcale nie oczekiwałem, że natknę się na coś istotnego pierwszego dnia.*

- *Może powinien pan jej to powiedzieć. Jej umysł jest dziwny. Jest nieszczęśliwa, ponieważ myśli, że pan także jest nieszczęśliwy.*

- *Och, do diabła! - Komandorze...*

- *Słucham?*

- *Żałuję, że nie opowiedziałem panu o tym śnie.*

- *Wiem.*

- *Jeszcze nie jest za późno.*

- *Idź spać, Shind.*

- *Tak jest, sir.*

- *Jackaro?*

- *Słucham?*

Wolną dłonią objął ja za głowę, przyciągnął bliżej i pocałował w czoło.

- Jesteś znakomitym przewodnikiem i rzeczywiście zrobiliśmy dziś dobry początek.

Potem odwrócił się i zasnął.

O świcie podjęli prace na nowo i do południa przeszukali trzy kolejne kwadraty. W czwartym kwadracie natknęli się nareszcie na tak długo poszukiwane ślady - stare, miejscowego

wyrobu przybory do gotowania i zabrudzony brezent. Lecz chociaż przeszukali cały ten teren centymetr po centymetrze, nie znaleźli już nic innego.

- To mogło być jego obozowisko - powiedziała dziewczyna.

- Lub kogoś zupełnie innego. Nie ma tu nic cennego.

- Lecz jeżeli to rzeczywiście jego miejsce, może to oznaczać, że pracował gdzieś w pobliżu.

- Być" może. Kończmy ten kwadrat i zabierajmy się za następny.

Do zachodu słońca przeszukali osiem pełnych kwadratów. Niestety, nie znaleźli niczego więcej.

- *Shind?*

- *Tak, Jackaro?*

- *Czy on śpi?*

- *Tak. Ale gdyby nawet nie spał, nie usłyszałby nas, jeżeli na to nie pozwolę. Czego sobie życzysz?*

- *Czy jest rozgoryczony?*

- *Niespecjalnie. Zawsze jest taki spokojny, gdy pracuje. Jego umysł jest wtedy... zajęty. Nie ma to nic wspólnego z tobą.*

- *Znasz go od bardzo dawna, prawda?*

- *Od przeszło dwudziestu ziemskich lat. Podczas wojny byłem jego osobistym tłumaczem.*

- *I w dalszym ciągu razem z nim walczysz dla DYNAB. Ze wszystkich jego podwładnych tylko ty jeden pozostałeś, by kontynuować walkę.*

- *Czasami jestem mu pomocny.*

- *Dobrze słyszeć o takiej lojalności dla sprawy.*

- *Nie można przez długi czas dzielić myśli, tak jak my, i nie popaść przy tym w szaleństwo lub miłość. Moje uczucia do Malacara należą do najbardziej osobistych. DYNAB jest zjawiskiem ubocznym. Służę jej, ponieważ ona wciąż coś dla niego znaczy.*

- *Kochasz go? Czyżbyś był samicą?*

- *Istotnie, w obrębie mego własnego gatunku jestem samicą. Ale to także nie ma większego znaczenia. Zajęłoby miesiące, aby nauczyć człowieka myśleć na sposób Darwenski... czy wyrażać uczucia. A zresztą, nie byłoby to rozsądne. Nazywaj to miłością.*

- *Nie rozumiem cię, Shind.*

Odniosła wrażenie, że wzrusza ramionami.

- *Powiedziałaś, że potrafisz obchodzić się z bronią.*

- *Tak.*



- *A więc gdy jesteś blisko niego, trzymaj ją w pogotowiu i nie zawahaj się użyć jej natychmiast, gdy zagrozi mu niebezpieczeństwo.*

- *Niebezpieczeństwo?*

- *Mam wiele mieszanych przeczuc, dotyczących tej ekspedycji. Wyczuwam zagrożenie, chociaż nie wiem, kiedy nastąpi ani jaką formę przybierze.*

- *Będę gotowa.*

- *Będę więc spał spokojnie. Dobranoc, Jackaro.*

- *Dobranoc, Shind.*

Ułożyła broń w pozycji, z której łatwo mogła otworzyć ogień i zasnęła, obejmując dłonią kolbę.

Trzeciego dnia prac w zalegającą dookoła ciszę wdarł się nikły poszum silników. Podnieśli głowy i spostrzegli niewielki statek, sunący wolno z południa na północy zachód. Przez chwilę wpatrywali się w niego w milczeniu. Tajemnicza jednostka wydawała się rosnąć w oczach.

- *To skoczek przestrzenny. Wygląda na to, że przeleci tuż nad nami.*

- *Chyba masz rację.*

- *Shind. Czy możesz...*

- *Nie. W tej chwili jest zbyt daleko, bym mógł cokolwiek odczytać.*

- *A jeżeli będzie nad nami...?*

- *Postaram się.*

W przeciągu kilku minut skoczek znalazł się nad płaskowyżem. Znajdował się nie wyżej niż kilkaset stóp nad ziemią i zataczał powolne koła nad ruinami. W pewnej chwili pilot musiał ich zobaczyć, bowiem niewielki stateczek przyspieszył i pomknął prosto na północ, nabierając wysokości. Wkrótce zmalał do rozmiarów niewielkiego punkcika na niebie i zniknął.

- *Wewnątrz znajdował się tylko jeden mężczyzna - powiedział Shind, zwracając się do obojga. - Ciekawiły go ruiny. To wszystko, co udało mi się odczytać.*

- *Może jakiś turysta.*

- *Dlaczego więc odleciał, gdy nas zobaczył?*

- *Nie mam pojęcia.*

Malacar powrócił do obozu, wyjął z kabury pistolet laserowy i przymocował go pod lewym ramieniem. Jackara, widząc to, sprawdziła własną broń.

Razem powrócili do kwadratu, w którym pracowali.

- *Mam pomysł - powiedziała nagle dziewczyna.*

- *A mianowicie?*

- *Pei'ańczycy są strantryjczy karni, a strantryjskie świątynie niemal zawsze budowane są*

pod ziemią. Jednak do tej pory nie natknęliśmy się na ani jedną z takich budowli. Jeżeli, jak sądzisz, twój H był archeologiem amatorem...

Skinął gwałtownie głową i spojrzał na mapę.

- Będę musiał jeszcze raz wspiąć się na tę ścianę - oświadczył. - Podziemna komora wielkości świątyni przez wszystkie te lata mogła zostać częściowo zasypana. Tym razem zwrócę uwagę na zapadliska.

Ponownie wspiął się na zrujnowaną ścianę i po chwili uważnej obserwacji naniósł na mapę kilka najbardziej obiecujących punktów.

Gdy zszedł na dół, zbliżył się w kierunku oczekującej niecierpliwie dziewczyny.

- Dostrzegłem sześć ciemnych miejsc - powiedział, rozkładając przed nią mapę. - Prawdopodobnie natkniemy się na więcej dziur, ale tylko te mogłem dostrzec. Zaczniemy więc od nich. Wybierz jedną i zaczynamy.

Zrobiła, jak polecił i ruszyli w wybranym przez nią kierunku.

Dopiero czwarte zagłębienie, które badali, okazało się kryć w sobie strantryjską świątynię.

Leżąc płasko na brzuchu, zapalił latarkę. Pierwsze, co zobaczył, to resztki okazałej komnaty. Przed nim, poniżej i trochę z lewej strony znajdowało się coś, co niegdyś musiało być ołtarzem głównym. Dalszą część sali tarasowały olbrzymie zwały gruzu. Skierował światło latarki bardziej w prawo i spostrzegł sklepione wysoko przejście oraz część przedsionka. Znajdujące się tam schody wiodły w górę, aż do...

Określił szacunkowo miejsce, wy dostał się na zewnątrz i wszedł do wnętrza zrujnowanego budynku. Naciągnął rękawice, nachylił się i zaczął odrzucać na bok zalegające podłogę kawałki gruzu.

- To chyba tutaj - powiedział. - Nie powinniśmy mieć" większych kłopotów z oczyszczeniem tego miejsca. Kamienie są całkiem luźne.

- A nie moglibyśmy się opuścić przez tę dziurę?

- Zawaliła się część stropu i przejście przez nią jest niemożliwe. Znajdziemy bezpieczniejszą drogę.

Bez słowa skinęła głową, po czym sięgnęła po rękawiczki i zabrała się do pracy.

Przed zapadnięciem zmroku oczyścili teren dookoła i odsłonili, jak ocenił, dwie trzecie schodów.

- Usiądź na szczycie schodów i przyświecaj mi latarką - polecił i pracował jeszcze dwie godziny bez przerwy.

- Musisz już być zmęczony - powiedziała w pewnym momencie.

- Troszeczkę. Ale pozostało zaledwie parę stóp. - Minął ją, niosąc w obu rękach kamień

wielkości melona.

- *Na tym płaskowyzu jest ktoś jeszcze oprócz nas* - oświadczył nieoczekiwanie Shind.

- *Gdzie?* - zapytał Malacar, ciskając kamień na leżący w pobliżu stos.

- *Nie jestem pewny. Wydaje mi się, że na północny wschód od nas. Jak na razie wyczuwam jedynie czyjąś obecność. Nic specyficznego.*

- *A może to jakieś zwierzę?* - zapytała Jackara.

- *To inteligencja wyższego rzędu.*

- *Spróbuj coś odczytać.*

- *Próbuję, ale odległość jest zbyt duża.*

- *No cóż, w takim razie uważaj i poinformuj nas natychmiast, jak tylko się zbliży.*

- *Zgaś latarkę* - powiedział Malacar, odwracając się w stronę dziewczyny.

Po zapadnięciu ciemności wyjął i odbezpieczył broń.

- *Poczekaj tutaj przez chwilę* - mruknął, siadając obok niej.

- *Jest sam* - ponownie odezwał się Shind.

- *Czy to ten sam mężczyzna, którego widzieliśmy w skoczku dziś po południu?* - zapytała Jackara.

- *Nie potrafię tego jednoznacznie powiedzieć.*

- *Skoczek mógł powrócić na niskim pułapie* - ciągnęła dziewczyna szeptem. - *I wylądować w jednym ze znajdujących się w pobliżu kanionów.*

- *Czy idzie w naszym kierunku?* - zapytał Malacar.

- *Nie. Wydaje się tkwić w miejscu. Czekali.*

Po przeszło pół godziny Shind oświadczył:

- *Wciąż pozostaje w tym samym miejscu. Być może rozbił tam obóz.*

- *Co robimy, Malacar?*

- *Właśnie się zastanawiam, czy powinienem iść się rozejrzeć, czy raczej zostać przez resztę nocy na miejscu.*

- *On nie wie, gdzie jesteśmy. Jeżeli to rzeczywiście pilot tego skoczka, to nie jesteśmy już w tym miejscu, w którym widział nas po południu. Po co masz się pchać w niepotrzebne kłopoty?*

- *Jestem po prostu ciekawy.*

- *Jeżeli się zbliży, Shind może nam powiedzieć. A gdy zejdem z tą latarką trochę niżej, jej światło nie będzie widoczne ponad poziomem gruntu. Za godzinę lub półtorej moglibyśmy przebić się do środka. Jeżeli znajdziemy tam to, czego szukasz, rano moglibyśmy się już stąd wynieść. A on niech sobie obozuje tak długo, jak chce.*

- *Masz rację, oczywiście. Pod względem taktycznym. Wstał i wyciągnął ku niej dłoń.*

- Uważaj na te schody.

- *Shind, ostrzeż nas natychmiast, gdy się poruszy. Czy możesz powiedzieć, jak daleko stąd się znajduje?*

- *Sądzę, że około dwu mil. Gdybym zbliżył się do niego o kilkaset jardów, być może byłbym w stanie uzyskać silniejszy kontakt.*

- Ruszaj więc.

Malacar znajdował się dziesięć stóp poniżej poziomu gruntu. Jackara stanęła troszeczkę wyżej, po jego lewej stronie. Włożył broń do kabury i ponowił szturm na rumowisko. Po dalszych dziesięciu minutach natrafił na górną część sklepienia.

- *Posuwam się do przodu komandorze. Wrażenia są coraz silniejsze. To umysł mężczyzny. Wydaje się przygotowywać do spania.*

- *Dobrze, obserwuj dalej.*

Poszerzył przejście, odrzucając kamienie na boki. Jackara, oparta plecami o ścianę, przyświecała mu latarką. Jej prawa dłoń spoczywała na kolbie pistoletu.

- A więc jesteśmy - mruknął Malacar. Gdy odgiął na bok metalowe podpory, cofnął się i mocnym kopnięciem zrzucił na dół ostatnią już kupę gruzu. Kamienie z głuchym łoskotem uderzyły o podłogę, w powietrze uniosły się tumany kurzu. Jackara zaczęła gwałtownie kaszleć.

- Przepraszam - powiedział pospiesznie. - Ale chciałem usunąć to stąd jak najszybciej. Jeszcze chwila i będziemy mogli wejść.

Skinęła głową, wprawiając tym światło latarki w drzenie. Malacar zaczął zrzucać mniejsze kamienie w ziejący przed nim czarny otwór.

- *Komandorze!*

- *Słucham?*

- *Na próbę dokonałem kontaktu z jego umysłem. Odszedł.*

- *Co to znaczy "odszedł"?*

- *Nie mogę już nic odczytać, nawet faktu jego obecności. Wykrył mnie już przy pierwszej próbie z mojej strony i zamknął swój umysł w psychicznej skorupie. Nie potrafię się przez nią przebić. Jest telepatą - i do tego jednym z najlepszych, jakich napotkałem. Co mam robić?*

- *Wracaj. Wchodzimy do środka. Do jakiej rasy należy ta istota?*

- *Wydaje mi się, że do twojej.*

- *Ludzie nie są telepatami.*

- *Niektórzy mają potencjalne zdolności. A to, z czym się zetknąłem, sprawia wrażenie umysłu człowieka.*

Malacar powrócił do przerwanej pracy, odgiął na boki kolejne wsporniki.

- Nasz gość jest telepatą - powiedział. - Zablokował Shinda. Już zresztą wraca. Wystarczy. Wydaje mi się, że możemy tędy przejść.

- Naprawdę sądzisz, że powinniśmy? Ten ktoś może nas tam odnaleźć.

- Shind mówi, że to człowiek. Jeżeli może nas wytropić telepatycznie, nie ukryjemy się przed nim nigdzie. Równie dobrze możemy kontynuować.

Opadł na czworaki i zanurzył się w ciemną czeluść. Pełznąć do przodu, rozgarniał gruz na boki. Znalazłszy się w przedsionku, wstał i otrzepał się.

- Możesz wchodzić - rzucił półgłosem. Oświetlił jej drogę i odczekał, aż znajdzie się obok niego, potem ujął ją za rękę i pomógł stanąć na nogi.

- Tędy.

Przeszli do pięciokątnego pomieszczenia. Wystraszone światłem latarki niewielkie stworzenia pierzchły w mrok. Na podłodze leżały poprzewracane, zakurzone i w większości porozbijane ławki. Odwrócił się w stronę ołtarza - zielonego kamienia, pokrytego siatką załamujących się linii. Uniesiona w górę latarka wyłuskała z mroku rzędy płytek, na których przedstawiono Pei'ańskie bóstwa. Powiódł światłem latarki wzdłuż ścian. Wydawało się, że wiszą tam całe setki tych bóstw. Kilka płytek wypadło z przytrzymujących je opraw i roztrzaskało się na kamiennej podłodze.

- Nieźle zachowane - zauważył, podchodząc bliżej. - Czy wiesz, jak stare jest to miejsce?

- Nikt nie wie tego na pewno - odparła. - Te ruiny były już tutaj po odkryciu Deiby, jakieś dziewięćset ziemskich lat temu.

- *Jestem tutaj* - dobiegł ich telepatyczny przekaz Shinda. Po chwili w przejściu, które minęli, pojawiła się niewielka, ciemna sylwetka.

- *Dobrze. Co z naszym gościem?*

- *Nic. Przybyłem, aby spróbować nas przed nim ochronić.*

- *Doskonale.*

Posuwając się pośród szczątków potrzaskanych ław, rozpoczął przeszukiwanie podłogi. Zajęło mu to półtorej godziny, podczas których nie odnalazł niczego. Podszedł do ołtarza i zaczął szukać wśród zalegających dookoła szczątków zawalonego sufitu.

- Chyba coś znalazłam - usłyszał nagle jej głos. Stała pod jedną ze ścian, świecąc na coś latarką.

Ruszył w jej kierunku.

- Co to jest?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Podszedł bliżej i skierował światło latarki w dół. U ich stóp leżał podniszczony notes.

Podniósł go i ostrożnie zdmuchnął pokrywający go grubą warstwą kurz. Był to tani notes, oprawiony w twardą okładkę, na której wybito nazwę wytwórcy. Zdjął rękawiczki, wsunął je za pas i otworzył go. Kartki były częściowo spleśniałe, linie rozmazane lub zupełnie już niewidoczne. Szybko przekartkował notes do końca.

- Same rysunki - mruknął. - I to najwyraźniej tego miejsca.

- Oznacza to, że ktoś jednak był tutaj. - W głosie dziewczyny brzmiało wyraźne podniecenie. - Dlaczego ktoś miałby wyrzucać taki notes, skoro sporządził w nim tak wiele rysunków? Może to tutaj właśnie odnaleziono H. Nagle cofnęła się gwałtownie.

- A czy nie możemy się zarazić, dotykając go?

- Nie po tylu latach.

Ponownie skierował promień latarki na podłogę.

- Jeżeli zostawił to, mógł także... - Urwał, wpatrując się w oświetlony właśnie przedmiot. Częściowo wykonany był z metalu. Z boków zwisały pasma przegniłego materiału.

- Rodzaj skrzynki - powiedział, dotykając jej lekko. Nagle na wieku dostrzegł pokryte kurzem inskrypcje. Podniósł ją ostrożnie, dmuchnął i poczuł, jak wraz z nagłą falą gorąca przez mózg przepływają mu znajome wizje chaosu i śmierci. Patrzył na wygrawerowane na wieku litery: H v H.

- A więc znalazłem - wyszeptał. - Wiem już, kto to jest

- *Czuję go!* - wykrzyknął Shind. - *Twoje znalezisko zafascynowało go i właśnie się ujawnił!*

Malacar odskoczył do tyłu, upuszczając skrzynię na podłogę. Zgasił latarkę i nagłym ruchem wyszarpnął z wiszącej pod pachą kabury pistolet.

- Nie strzelaj! - usłyszał dobiegający z góry głos. - Nie jestem uzbrojony!

Jackara zgasila latarkę i ćwiczoną setki razy ruchem odbezpieczyła broń.

W otworze sufitu, na tle gwiazd pojawiła się wyraźna sylwetka mężczyzny.

- Stanowisz wyśmienity cel - zauważył cierpko Malacar.

- Specjalnie tak stanąłem, by pokazać, że nie mam żadnych wrogich zamiarów. Chcę jedynie porozmawiać.

- Kim jesteś?

- A co to za różnica? Od dawna wiem to wszystko, o czym ty dowiedziałeś się dopiero teraz. Pełne nazwisko człowieka, który pozostawił tu tę skrzynkę, brzmi: Heidel von Hymack.

Podczas gdy mężczyzna mówił, uwagę Malacara przykuła nagle jedna ze szklanych płytek. Wydawała się jarzyć słabym, zielonym światłem. Przedstawiała nagiego mężczyznę, trzymającego w jednej dłoni chmurę burzową, a w drugiej łuk. Jego twarz była częściowo zasłonięta przez podniesione ramię. Dookoła bioder biegł pas ze srebrzystych błyskawic, które w niezwykle sposób

kontrastowały z żółtym niebem, stanowiącym równocześnie tło tego wizerunku.

- Znasz więc jego nazwisko - powiedział w zamyśleniu. - I co zamierzasz teraz zrobić?

- Odnaleźć tego człowieka.

- Po co?

- Reprezentuje sobą ogromne niebezpieczeństwo dla olbrzymiej liczby ludzi.

- Wiem. Dlatego właśnie jest mi potrzebny.

- Ciebie także znam, Malacarze. Jesteś człowiekiem, którego niegdyś niezmiernie podziwiałem, wciąż podziwiam. Tym razem robisz jednak błąd. Nie uda ci się użyć tego człowieka w sposób, jaki planujesz. Gdy spróbujesz, wymknie ci się spod kontroli. A wtedy w niebezpieczeństwie znajdą się nie tylko Ligi, ale także DYNAB.

- Kim ty, do diabła, jesteś?

- Enrico Caruso - odpowiedział mężczyzna.

- *Kłamie* - oświadczył Shind. - *Nazywa się Francis Sandow.*

- A więc to ty jesteś Francis Sandow - powiedział Malacar głośno. - Teraz rozumiem, dlaczego starasz się mnie powstrzymać. Jesteś jednym z najbogatszych ludzi w galaktyce. Gdyby udało mi się uderzyć mocno w Ligi, zaszkodziłoby to twoim interesom, prawda?

- W pewnym sensie to prawda - odparł Sandow. - Ale nie dlatego jestem teraz tutaj. Wszystkie sprawy załatwiam poprzez swoich reprezentantów. Ta jest jednak zupełnie wyjątkowa. Jesteś doktorem medycyny i z pewnością wiesz, że istnieje wiele zjawisk, których nie można wyjaśnić jedynie stanem fizycznym pacjenta.

- A więc?

- Przebywasz tu już dość długo. Czy znalazłeś coś, co wskazywałoby, że ostatnimi czasy oprócz ciebie przebywał tu ktoś jeszcze?

- Nie, nic takiego nie znalazłem.

- Znakomicie. A więc teraz opiszę ci coś, czego z miejsca, w którym stoję, nie mógłbym zobaczyć. Znajdujesz się niedaleko swojego odkrycia, blisko ściany. Powiedz swej kobiecie, by cię osłaniała, a sam zapal latarkę i skieruj światło na ścianę. Powyżej miejsca, w którym znalazłeś skrzynkę, zobaczysz szklaną płytę. Przedstawia ona głowę i ramiona błękitnoskórej kobiety. Ma ona dwie twarze, z których każda spogląda w przeciwnym kierunku. Ta po lewej stronie jest bardzo piękna, a pod nią znajdują się kwiaty - błękitne kwiaty. Twarz po prawej stronie ma wygląd niezwykle złowieszczy, gorejące oczy i wyszczerzone zęby. Obok widnieje kłębowisko błękitnych węży, a powyżej obu tych twarzy znajduje się kolistą, błękitną aureolę.

Malacar podniósł latarkę i zapalił ją.

- Masz rację - powiedział po chwili milczenia. - Skąd o tym wiedziałeś?

- Wizerunek ten przedstawia boginię Mar'i - ram, królową chorób i cudownych uzdrowień. Bez wątplenia pod jej właśnie obrazem leżał von Hymack, balansując na pograniczu życia i śmierci. Wtedy właśnie, w niepojęty dla mnie sposób, otrzymał zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo tej istoty.

- Chwileczkę. Czy ty próbujesz mi wmówić, że ta bogini jest prawdziwa?

- W pewnym sensie tak. To po prostu zespolona energia, która w dość zagadkowy sposób przejawia właściwości przypisywane temu strantryjskiemu bóstwu. Nazywaj ją zresztą, jak chcesz. Najważniejsze, iż w tej właśnie chwili energia ta jest w posiadaniu poszukiwanego przez nas mężczyzny. Dostarczono mi wiele przekonujących dowodów, które jednoznacznie stwierdzają, że to prawda. Teraz pozostaje mi go jedynie odnaleźć.

- A co zrobisz, gdy go już odnajdziesz?

- Wyleczę go, a jeżeli mi się to nie uda, zabiję.

- Nie! - wykrzyknął Malacar. - Potrzebuję go żywego.

- Nie bądź głupcem - warknął Sandow. Niespodziewanie Malacar skierował światło latarki w górę.

Sandow osłonił przedramieniem oczy i odskoczył do tyłu. Malacar wystrzelił. Nie trafił, ale wydało mu się, że słyszy odgłos upadającego ciała.

- Dostałem go! - wrzasnął i rzucił się na podłogę, pociągając dziewczynę za sobą.

Podczołgał się pod osłonę kopca gruzu i wyciągnął przed siebie pistolet.

- *On tyje! Jest przytomny i ma broń!*

Nagle promień lasera przeciął na dwoje kamień leżący tuż obok jego lewego ramienia. Malacar rozpląszczył się na podłodze.

- Dokończmy rozmowę, człowieku.

- Nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia.

- Wysłuchaj mnie, a jestem pewny, że zmienisz zdanie!

- Nie strzelaj - szepnął pod adresem leżącej obok dziewczyny. - Wysłucham go.

Oparł lufę o kamień i wykrzyknął.

- Dobrze, Sandow. Czego chcesz?

- Dobrze wiesz, czego chcę. Chcę von Hymacka. Nie będę się rozwodził nad moralnym aspektem tego, co zaplanowałaś, ponieważ wiem, że nic nie jest w stanie zmienić twojej decyzji. Chciałbym ci jednak zaproponować układ... Nie celuj do mnie, człowieku! Żadnych sztuczek. Żyjesz na martwym, śmierdzącym i radioaktywnym śmietniku - na Ziemi, która jest przecież kolebką całego naszego rodzaju. Nie chciałbyś zobaczyć jej czystej i zielonej? Wszystkie erupcje wulkaniczne opanowane, radioaktywność zneutralizowana, płodna gleba, drzewa, ryby w



oceanach, oryginalna konfiguracja kontynentów? Nie chciałbyś? Potrafię to zrobić, wiesz przecież.

- To kosztowałoby fortunę.

- Prawda? Na tym właśnie polega ten układ. Ja odtwarzam Ziemię taką, jak sprzed wojny, a ty zapomnisz o von Hymacku.

- Kłamiesz!

- *On nie kłamie* - włączył się Shind.

- Kolejny, nadający się do zamieszkania świat dla DY - NAB - mówił dalej Sandow. - Co, jak zawsze twierdziłeś, tak wiele dla ciebie znaczy.

Przez cały ten czas Malacar usiłował kontrolować własny umysł, by działać zupełnie automatycznie, jak na polu bitwy. Ostrożnie, cal po calu przesuwiał się w prawo, usiłując zlokalizować głos. W końcu, dotykając niemal ściany, mógł dostrzec niewyraźny zarys głowy i lewego ramienia. Podniósł pistolet i delikatnie nacisnął spust.

Nagle jego ramię aż po łokieć sparaliżowane zostało silnym uderzeniem. Spostrzegł, że jego strzał idzie w bok, kreśląc na ścianie ognistą linię.

Podniósł dłoń do oczu, osłaniając je przed spadającymi z góry odłamkami, prawie natychmiast opuścił ją z powrotem, ujął kolbę i kontynuował ogień.

Resztki sufitu, nadgryzione zębem czasu, runęły w obłoku kurzu, grzebiąc znajdującego się tam Sandowa.

Przez długą chwilę leżeli nieruchomo, wsłuchując się w przyspieszone oddechy.

- *Shind?*

- *Nic nie wyczuwam. Zabijeś go.*

Malacar z wysiłkiem podniósł się na nogi.

- Możemy już iść, Jackaro - powiedział.

Później, już po złożeniu obozowiska, spoglądając na niego przy świetle latarki, Jackara dostrzegła na jego policzku niewielką ranę.

- Krwawisz - powiedziała, dotykając jego policzka opuszkami palców.

Szarpnął głowę do tyłu.

- Wiem. Zraniłem się, gdy spadł na mnie ten cholerny obraz z zielonym facetem.

Przez chwilę udawał, że poprawia poprzęgi u siodła.

- Czy on rzeczywiście mógł przywrócić życie na Ziemi, Malacar?

- Prawdopodobnie. Lecz to i tak nie rozwiązałoby niczego.

- Powiedziałeś przecież, że aby osiągnąć status Ligi, potrzebujesz więcej światów.

- Aby to uzyskać, musiałbym zrezygnować z mojej broni.

- Skąd właściwie wiedział o obrazie tej bogini?

- Wszystkie świątynie strantryjskie budowane są w podobny sposób. Wiedział, gdzie staliśmy. A każdy, kto choć raz był we wnętrzu takiej świątyni, z łatwością powie ci, co wisi na ścianach.

- A więc nie było w tym nic nadzwyczajnego?

- Oczywiście. Śmieszna historyjka. Jego zainteresowanie dla całej tej sprawy było czysto ekonomiczne.

- Dlaczego więc zjawił się tutaj osobiście?

- Nie wiem. Wszystko gotowe. Możemy ruszać.

- Nie chcesz tego opatrzyć?

- Czego?

- Tej ranki.

- Później.

Wsiadli na wierzchowce i poprzez noc i deszcz ruszyli w stronę Capeville.

#### 4.

Dr Pels studiował nagromadzone raporty.

Wszystko wskazywało na to, że przybył za późno, a w dodatku coś poszło bardzo źle. Mwalakharan khurr występowała tam, to prawda, razem z tuzinem innych chorób. Lecz gdzie podział się H? Nie ma żadnych raportów, że opuścił Cleech. Jednak z portu kosmicznego skradziono jednego skoczka, a sam port był punktem początkowym całej infekcji. Czyżby próbował uciec - izolując się - gdy zorientował się, co się dzieje? A może po prostu udaje się gdzie indziej?

Dookoła wirowały dźwięki z "La Mer" Debussy'ego.

"Co robić? - zastanawiał się gorączkowo. - Czekałem tak długo, a teraz czas oczekiwania się skończył i pora przystąpić do działania. Gdybym zlokalizował go miesiąc temu, nic podobnego nie wydarzyłoby się. Muszę go odnaleźć tak szybko, jak to możliwe i porozmawiać z nim, nakłonić, by ze mną pozostał. Lecz czy zgodzi się poddać procesowi, który uczyni go podobnym do mnie? Czy poświęci życie, które ma, po to, by stać się duchem jak ja? Zmieni obecną egzystencję na pozbawione emocji i snu trwanie w próżni? Jeżeli jest świadomy tego, co robi, to jestem pewny, że się zgodzi. To albo samobójstwo... To jedyne drogi wyjścia dla pozostającego przy zdrowych zmysłach człowieka... Ale jeżeli nie jest już przy zdrowych zmysłach? Jeżeli przekroczył już granicę szaleństwa, jako efekt uboczny stanu, w którym trwa? Co wtedy? To także mogłoby wyjaśnić jego niespodziewane zniknięcie.

A co będzie, jeżeli jego przypadek okaże się równie skomplikowany, jak mój? Wtedy być może najlepszą odpowiedzią będzie zamrożenie. Jednak wątpliwe jest, by się na to zgodził bez pewności, iż kiedykolwiek zostanie przywrócony do życia. Jak mam go potraktować, gdy go wreszcie odnajdę? Czas, by przystąpić do działania, a ja wciąż jeszcze nie wiem, co robić. Nie pozostaje nic innego, jak czekać".

Po jakimś czasie przesłał wiadomość do Koordynatora Służby Zdrowia, oferując swą pomoc w opanowaniu epidemii, które do tej pory wyludniły już dwa kontynenty. Potem połączył się z Centralą Informatyczną. Ponieważ mógł pozostawać na nasłuchu całą dobę, miał nadzieję, że o kolejnym miejscu wybuchu epidemii dowie się na czas.

Podczas słuchania wiadomości towarzyszyło mu wyobrażenie morza, którego nigdy nie widział na oczy.

- Poszło wspaniale - oświadczył jej Heidel. - Wszystko zakończyło się w przeciągu kilku

minut. Sprawy wydają się w dziwny dla mnie sposób nabierać tempa.

- Dzieje się tak, ponieważ byłeś tam obecny. Powoli stajesz się punktem ogniskowym. Już wkrótce będziesz niby oko cyklonu. A pewnego dnia w bliskiej przyszłości nie będzie nikogo, kto byłby w stanie ci się oprzeć. Nastanie chwila, w której wyciągniesz jedynie palec i skoncentrujesz wolę, a wszyscy umrą.

- Pani... wiem, iż jesteś prawdziwa, że nie jesteś zrodzonym z gorączki majakiem. Wiem to, ponieważ po moim przebudzeniu zawsze dotrzymujesz obietnic, które czynisz w tym właśnie miejscu...

- Ty także. Dlatego właśnie cię wynagradzam.

- Nie jesteś już taka, jak niegdyś...

- Nie. Jestem silniejsza.

- Niezupełnie to miałem na myśli. To, co powiedziałaś, jest oczywiście prawdą, ale zmieniło się coś jeszcze. Czuję to. Czasami wydaje mi się, że nie potrafię już trzeźwo myśleć.

- Już ci o tym mówiłam. Stajesz się podobny do boga.

- Jednak jakaś część mojego ja tam, w środku, wydaje się krzyczeć.

- To minie także. To faza przejściowa.

- ... A ty nie jesteś snem. Jesteś rzeczywista. Kim jesteś naprawdę? I gdzie się właściwie teraz znajduję?

- Jestem boginią, której przyrzekłeś wierność i posłuszeństwo, a znajdujemy się w moim prywatnym raju.

- A gdzie on właściwie jest?

- Moje królestwo jest w tobie.

- Nie odpowiadasz mi szczerze, Pani.

- Zawsze odpowiadałam ci szczerze.

- To było na Deibie, prawda?

- Tak. Tam właśnie dokonaliśmy formalnego kontaktu.

- Jakoś nie mogę przypomnieć sobie tej chwili.

- Byłeś chory. Uratowaliśmy cię.

- "My"?

- Ja. Uratowałam cię po to, abyśmy nawzajem mogli czerpać z tego korzyści.

- Dlaczego zwlekałaś z tym tak długo?

- Pora nie była jeszcze odpowiednia - stała się taka dopiero teraz.

Odwrócił się i szybko skłonił głowę. Widział przed sobą jedynie błękitny lód i błękitny płomień.

- Co się stało? - mruknął zdumiony.

- Odnalazłeś tu więcej, niż przypuszczasz, Drą von Hymack. Nieistotne wspomnienia z twojej przeszłości nie są już częścią naszych dalszych poczynań. Odrzuć je. Nie jesteś już tym człowiekiem, jakim byłeś na Deibie, a nawet na Cleech. Czcij mnie, a ja cię uświęcę. Dam ci łaskę i błogosławieństwa.

- Wielbię cię i adoruję.

- Po przebudzeniu wyruszysz w drogę i będziesz szedł, dopóki nie dotrzesz do miasta. Będąc tam, nie wypowiesz ani jednego słowa. Wyciągniesz palec w stronę pierwszej napotkanej osoby...

- ... Wyciągnę palec w stronę pierwszej napotkanej osoby.

- Poczujesz moc otwierającą się w tobie niby kwiat, rosnącą niczym wąż...

- ... Poczuję moc.

- Potem opuścisz to miejsce i poszukasz innego. - ... Poszukam innego.

- Piękny mój, jesteś tu, przede mną i kocham cię, Drą von Hymack.

Dotyk jej chłodnych warg na jego powiekach był niczym monety dla Charona. Po jakimś czasie wydało mu się, że słyszy jej śpiew. Ściekająca z opuszków jej palców krew splamiła mu dłoń. Śpiew był częścią wieczności.

Podał jej środek uspokajający i zapakował do koi. Albo to, albo całkowite wyłączenie ekranów, które z niejasnych powodów wywoływały u niej zawroty głowy. Wiedział, że ostatecznie poradziłby sobie i bez ekranów, ale dziewczyna od chwili wejścia na pokład bezustannie działała mu na nerwy.

"I to nawet nie dlatego, że ta piękna dziewczyna widzi w tobie swego idola i obawia się, byś jej nie dotknął - rozmyślał. - Nawet nie jej bezustanne rozmowy o Przyczynie czy żądania, by bez końca wspominać to, co dawno już powinno zostać zapomniane. A więc dlaczego, do diabła? Może dlatego, że przez dwa tygodnie będę zamknięty w ciasnej przestrzeni z inną istotą ludzką? Nie, to też nie to. A może to nagły ciężar czasu? To Jackara zwróciła moją uwagę na upływ lat, na kontrast pomiędzy tym, jaki byłem kiedyś, a jaki jestem teraz. Czy rzeczywiście nienawidziłem niegdyś z taką siłą, że spaliłbym miasto, by zniszczyć szczury? Od kiedy właściwie zacząłem się zmieniać, zastępując czystą zemstę tymi idiotycznymi planami co do statusu Ligi? Musiało to następować stopniowo, niepostrzeżenie, z czego sprawę zdałem sobie dopiero teraz. Pragnąłem chłosty, a sam nie jestem już pewien, czy to właściwa droga. Zastanawia mnie ten Sandow. Czy rzeczywiście pomógłby DYNAB? Czy zrobiłby to, gdybym go poprosił? To, co mówił, brzmiało dość rozsądnie. Jedynie ta historyjka o strantryjskiej bogini... Nie może być prawdziwa, nawet jeżeli sam Sandow uważał inaczej... Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału. To przez nią wszystko wydaje się

takie pogmatwane. Nieprawda. To ja byłem do tej pory ślepy. Jednak... Spróbuję zasnąć, gdy się przebudzi. Jeżeli ludzie Sandowa połączą mnie z tym wszystkim, może być niezła zabawa. Oni nie przejmują się granicami i politycznymi wpływami. No cóż, przede mną kolejny dzień. I jakie zamieszanie powstanie, gdy wreszcie spuszczę von Hymacka ze smyczy! Z pewnością ktoś będzie próbował mnie za to winić. Szkoda, że wysłałem tę kulę. Powinienem był ją zatrzymać. Czyżbym się tym odsłonił? Obciążył wiecznym memento mori? Trudno powiedzieć. Jak wielu tych sukinsynów z Wyższego Dowództwa Lig już przeżyłem? Oni nie podlegali takim zabiegom medycznym, jak my... Ziemia... Powinienem wysadzić dziewczynę na Bifrost. To także DYNAB. Zobaczyłaby tam wulkany, nauczyłaby się wykrywać przypuszczalne siedliska epidemii... Ale dlaczego tak się spieszę? Czy to z tym właśnie chcę uporać się tak szybko, jak to tylko możliwe? Sam już nie wiem... Boże, nie skazuj mnie na wyrzuty sumienia. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie jestem gotowy. Zaszedłem już tak daleko... Ależ ona piękna, z tymi opadającymi na ramiona włosami i przestraszonym wyrazem twarzy..."

- Jeżeli rozpatrujemy podobne zniszczenia w skali całej planety - mówił, gestykulując gwałtownie - to ruiny tego miasta, w którym prowadziliśmy poszukiwania, stanowią jedynie niewinny relikwitu przeszłości.

Jackara spoglądała na to, co pozostało z Manhattanu.

- Widziałam co prawda fotografie - odezwała się w końcu stłumionym głosem. - Ale...

Skinął głową.

- Po południu zabiorę cię nad Mississippi. Pokażę ci, jak wyglądała niegdyś Kalifornia.

Włączył po kolei pozostałe ekrany, które za pośrednictwem satelitów ukazywały obrazy innych zniszczonych miejsc.

- Byli bardzo sumienni - powiedział.

"Co on, do diabła, wyprawia? - pomyślał Morwin, udając, że całą uwagę zaprzętniętą ma kraterami. - Gdziekolwiek wynalazł tę dziewczynę, zamierza sprawić, by stała się taka sama, jak on. I ta wczorajsza rozmowa przy kolacji... Wystarczy rok, a będzie z nią gorzej niż z nim. A zresztą, może już jest? Czy na tym właśnie polega władza komandora floty? Oddziaływanie na umysły ludzi, by myśleli w ten sam sposób, co on? W końcu to nie mój interes, ale ona jest taka młoda... A może to ja potrzebuję takiego prania mózgu? Może to oni mają rację? Kto wie, od czasu wojny pozostaję na uboczu, podczas gdy ludzie tacy jak on wciąż walczą. A jeżeli ta sprawa nie jest jeszcze przegrana? Zakładając, że komandorowi w jakiś sposób uda się zwyciężyć... To nierealne... Chociaż... Co się ze mną dzieje, do diabła? Czyżbym już zbyt długo zabawiał się marzeniami innych? Dziewczyna z pewnością ledwie pamięta konflikt, a jest razem z nim. Co on

zamierza z nią zrobić?"

- To rzeczywiście potworne - powiedział, przenosząc wzrok z pleców dziewczyny na ekran. Po chwili zapytał: - Komandorze, dlaczego tak nagle zainteresował się pan epidemiami?

Malacar przez pół minuty spoglądał na niego w milczeniu. Potem powiedział:

- To takie moje nowe hobby.

Morwin bez słowa sięgnął po fajkę i zapalił.

"... Typowe - pomyślał z rozdrażnieniem. - Co oni planują? Gdy stworzyłem dla niego tę przeklętą kulę, przypomniało mi to o rzeczach, które zarzuciłem lata temu. Co się stanie z dziewczyną? Czy ciśnie ją pomiędzy wilki jak pozostałych, zostawiając jedynie ślepą wiarę we własną nieomylność? Powinna stąd uciekać. Ma przed sobą zbyt wiele życia, by marnować je w taki właśnie sposób. Muszę jednak przyznać, że nie mogę nie podziwiać takiego poświęcenia. Jak niebezpieczna będzie jego nowa taktyka? Być może... Ktoś powinien uważać na tę dziewczynę".

Wypuścił kłęb dymu i pogłaskał swą długą, rudą brodę.

- Ja także zainteresowany jestem tym tematem - rzekł w końcu.

Rankiem pierwszą żywą istotą, którą spotkał, był młody mężczyzna, idący wąską, opustoszałą o tej porze ulicą. Gdy był dostatecznie blisko, Heidel wyszedł zza zasłony gęstych krzewów i stanął tuż przed nim.

- Dobry Boże! - wykrzyknął zaskoczony chłopak, a Heidel wyciągnął w jego stronę palec.

Poczuł moc. Poczuł, jak wzbiera w nim i potężnieje, by w końcu niczym iskra przeskoczyć na stojącego przed nim mężczyznę.

Chłopak zachwiał się na nogach i przyłożył dłoń do pobladłego nagle czoła.

- Kim jesteś? - zapytał słabo. Zamiast odpowiedzi postąpił krok bliżej.

Zataczając się chłopiec ominął go szerokim łukiem i po chwili zniknął za zakrętem.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Nie ma potrzeby iść dalej. Królowa miała rację.

Kontynuując swą pielgrzymkę, ruszył w stronę leżących na południu wzgórz, za którymi wciąż jeszcze tętniło życie. Jego krokom towarzyszyła rozpięta na niebie tęcza.

Po upływie tygodnia wciąż nie był pewien, czy Malacar zaproponuje mu udział w kolejnej wyprawie. Jakaś decyzja będzie jednak musiała zostać podjęta. To oczywiste, sądząc po czynionych przez Malacara przygotowaniach. Sprawiał wrażenie, że wyruszy w drogę za dzień lub dwa. Często zastanawiał się, jaka właściwie informacja była motorem tego niespodziewanego działania. Ale nie odważył się zapytać o to wprost - wciąż jeszcze nie był wprowadzony w tajemnice swego byłego dowódcy.

Jackara nie miała tego typu zahamowań. Z niejasnych powodów wzbudzało to nawet jego zazdrość.

W ubiegłym tygodniu powziął swe własne, milczące postanowienie. Teraz wszystko zależało od Malacara. Pragnął towarzyszyć mu w imię powracającego gniewu i lekkiego poczucia winy. Analizując te uczucia, coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, iż pojawiły się one owej nocy, kiedy to ujrzał i utrwalił marzenie Malacara. Zresztą, samo źródło nie było ważne. Chciał, by ufano mu w takim samym stopniu, jak Jackarze. Być może poleje się nawet krew jak niegdyś. Ale to nic. Czuł, jak powraca powoli stara nienawiść.

Ale dokąd on się wybiera? I w jakim właściwie celu? Morwin regularnie słuchał serwisów informacyjnych, nie dawały one jednak najmniejszej bodaj wskazówki, gdzie Malacar ma zamiar przeprowadzić swą kolejną operację typu "uderzenie i odskok". Oczywiście, mogła to być informacja uzyskana z nie całkiem legalnego źródła - na przykład od jednego z sympatyków w CL. Lecz skądkolwiek pochodziła, Morwin na widok zaaferowanego komandora odczuwać zaczął wzrastającą szybko irytację.

Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją, przypominając sobie, w jaki sposób wystrychnął go wczoraj na dudka.

Razem z Jackarą znajdował się na tarasie obserwacyjnym, wyjaśniając jej, w jaki sposób zarabia właściwie na życie. Malacar zjawił się tam zupełnie nieoczekiwanie.

Na zewnątrz unosił się olbrzymi, przypominający srebrny świecznik statek Service. Tkwił w miejscu, w którym najbardziej szalony nawet pilot nie odważyłby się lądować - na samym obrzeżu gorejącego wulkanu. Malacar na jego widok wytrzeszczył oczy, kilkoma susami przemierzył taras i dopadł konsoli sterowania bronią. Morwin nie widział samego startu raket, wyczuł jednak drżenie, gdy opuszczały wyrzutnię. Gdy odwrócił wzrok od komandora i wyrzwał na zewnątrz, statek niczym dymek z papierosa rozwiewał się właśnie w powietrzu. Rozłożył bezradnie ręce. Jackarą roześmiała się głośno.

- Tam nic nie ma! - wrzasnął Malacar.

- Tak, sir. To moja wina. Przepraszam - usprawiedliwiał się Morwin. - Pokazywałem właśnie Jackarze, w jaki sposób tworzę moje kule marzeń. Statek, do którego pan strzelał, był jedynie wywołanym przeze mnie wyobrażeniem.

Malacar warknął coś pod nosem i odwrócił się w stronę dziewczyny:

- Jackaro, chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział, po czym oboje wyszli. Przy kolacji Malacar żartował już ze swej pomyłki. Morwin jednak wcale nie był pewny, czy śmiech ten jest rzeczywiście szczery...

- *Panie Morwin...?*



- *Słucham, Shind?*

- *Komandor zamierza panu zaproponować, by towarzyszył nam pan w podróży, w którą udajemy się jutro po południu.*

- *Dokąd?*

- *Stanęliśmy przed wyborem jednego z dwu światów - Cle - ech albo Summit. Z pewnych powodów wybrał Summit.*

- *Co będziemy tam robić?*

- *Będzie to swoista operacja werbunkowa. Powie panu o niej tyle, ile uzna, że powinien pan wiedzieć.*

- *Jeżeli mam wyruszyć razem z wami, powinienem wiedzieć o niej wszystko.*

- *Proszę. To nie jest zaproszenie. Mam nadzieję, że nie dowie się, iż komunikowałem się z panem w tej sprawie.*

- *A więc o co w tym wszystkim chodzi?*

- *Zasięgał mojej opinii, czy będzie pan pomocny na tej wyprawie.*

- *I czy można mi ufać, jak przypuszczam.*

- *Właśnie. Odpowiedziałem twierdząco. Jestem świadomy pańskich wskrzeszonych uczuć.*

- *Dzięki za dobre słowo.*

- *Jednak nie tylko uczucia skłoniły mnie do pańskiej rekomendacji.*

- *Cóż zatem?*

- *Czuję, iż tym razem będzie mu potrzebna wszelka możliwa pomoc, jaką zdoła uzyskać. Staram się mu ją zapewnić.*

- *Jakieś kłopoty?*

- *Proszę to nazwać przecuciem, jeżeli pan chce.*

- *Dobrze, zapomnę o tej rozmowie. Kto jeszcze jedzie?*

- *Jackara. Ja.*

- *A więc jeżeli pojedę, będę gotowy pomóc. O ile zajdzie taka potrzeba.*

- *Właśnie. Zatem dobrego dnia.*

- *Nawzajem.*

Rozejrzał się, nie dostrzegł jednak nikogo. Gdzie podział się ten stwór? Rozmowy z Shindem w taki właśnie sposób zawsze napawały go lekkim niepokojem. Nagle przyszło mu do głowy, iż przez cały ten czas Shind znajdować się mógł w zupełnie innej części twierdzy, a nawet u boku samego Malacara.

Splótł ręce za plecami i pograżył się w rozmyślaniach.

"Shind ma rację. Tym razem nie będzie to typowa operacja Malacara. Jak do tej pory nie

padło ani jedno słowo o zamierzonych zniszczeniach. Lecz Shind wydaje się wyczuwać o wiele poważniejsze niebezpieczeństwo. Jeżeli nie mogę być zblazowanym próżniakiem czy dobrym artysta, mogę okazać się całkiem przyzwoitym asystentem ostatniego wojownika galaktyki. Czyż nie byłoby zabawne, gdyby w tej chwili nad twierdzą pojawiła się prawdziwa jednostka Service, a Malacar pomyślałby, że to kolejna iluzja? Z pewnością nie dotknąłby nawet swej konsoli... A czyja miałbym dość siły, by to zrobić? Czy po tych wszystkich latach zdobyłbym się, by ich zniszczyć? Sam już nie wiem... To dziwne, ale nawet komandor w pierwszej chwili wydawał się być zdezorientowany. Przypuszczam, że w innych okolicznościach pozwoliliby im wylądować, a nawet wysłuchałby ich. To, co planuje, musi być rzeczywiście niezwykle... Prawdopodobnie wystrzeliłbym, a potem jednak żałowałbym do końca życia... Ciekawe, jaką rolę ma w tym wszystkim odegrać Jackara. Czy śpi z komandorem? Czy zna wszystkie szczegóły tego, co ma się dopiero rozegrać? Trudno powiedzieć. A może to jego krewna? Na przykład córka. To wcale nie jest takie niemożliwe. Bardzo rzadko opowiada o swym życiu osobistym i nigdy jeszcze nie słyszałem, by choć słowem wspominał o krewnych. Dziwna dziewczyna - na przemian cyniczna i wrażliwa, a w dodatku nigdy nie wiadomo, w jakim jest właśnie nastroju. I bardzo ładna. Dobrze byłoby wiedzieć, kim jest. Zapytam ją o to... później".

Jeszcze tego samego wieczoru, po zakończonej kolacji Malacar pieczołowicie skrzyżował na swym talerzu sztucce i zapytał:

- Czy chce pan towarzyszyć nam w podróży na Summit?

Morwin skinął głową.

- Dlaczego akurat Summit? - zapytał po chwili milczenia.

- Tam jest mężczyzna, którego szukam - odparł Malacar. - Człowiek, który mógłby nam pomóc. A przynajmniej sądzę, że się tam znajduje. Ale mogę być w błędzie. On może być gdziekolwiek. Jeżeli jest tak w istocie, będę szukał go dalej. Jedyne, czego w tej chwili pragnę, to zlokalizować go i przekonać, by do nas dołączył.

- A cóż jest w nim takiego wyjątkowego?

- Choroby - odparł krótko Malacar.

- Nie rozumiem.

- Choroby, człowieku, po prostu choroby! Ten człowiek to po prostu chodząca infekcja, żywy roznosiciel śmiertelnych chorób!

- A w jaki sposób zamierza pan... Malacar parsknął krótkim śmiechem.

Morwin przez kilka sekund siedział bez ruchu. W końcu powoli sięgnął po stojącą przed nim szklankę schłodzonego sorbetu.

- Wydaje mi się, że tym razem rozumiem - powiedział cicho.

- Tak, ma pan rację. Żywa broń. Zamierzam go nakłonić, by po prostu przespacerował się pośród naszych nieprzyjaciół. I jak się panu podoba ten pomysł?

- To... trudno przewidzieć. Muszę to wszystko przemyśleć.

- Ale pojedzie pan z nami?

- Tak, pojedę.

- Towarzyszyć nam będzie Jackara, a także Shind.

- Bardzo dobrze, sir.

- Czy ma pan jakieś pytania?

- Raczej nie. Nie w tej chwili. Chociaż jestem pewny, że później przyjdzie mi do głowy jedno czy dwa. No cóż... Jak się właściwie nazywa ten człowiek?

- Heidel von Hymack.

- Nigdy o nim nie słyszałem, sir - odparł Morwin, kręcąc bezradnie głową.

- Owszem, słyszał pan. Jedynie nazywał go pan Hyneck - to ten sam człowiek, którego szukał Pels.

- Och, tak.

- Czy słyszał pan kiedykolwiek o człowieku, którego nazywają H?

- Chyba tak, chociaż nie pamiętam już, w jakich okolicznościach. Z pewnością nie chodziło wtedy o roznoszenie chorób. Raczej o rzadką grupę krwi czy coś takiego.

- Właśnie. Później dam panu kilka artykułów medycznych. Proszę się z nimi zapoznać.

- Dziękuję. - Spojrzał na Jackarę i szybko podniósł do ust oszronioną szklanę.

"Bogowie, to przypomina spoglądanie w sam środek piekła - przemknęło jej przez głowę. - Jestem tu już przez cały tydzień, a dopiero po raz pierwszy widzę to w nocy".

Bez tchu wpatrywała się w ognisty kocioł, który wraz z zapadaniem ciemności wydawał się stawać coraz bliższy.

"Ciekawe, jak daleko trzeba by iść, żeby natknąć się na te ognie? - rozmyślała. - Nie mogę o to zapytać. Ukazałoby to całą moją ignorancję. Na Deibie nie ma wulkanów. Być może planeta jest już zbyt stara. Sam kurz i deszcze. Widziałam co prawda fotografie czynnych wulkanów, ale nigdy nie sądziłam, że mogą być aż takie wielkie..."

Uśmiechnęła się, wyczuwając stopami leciutkie drżenie podłogi. Dobrze żyć tuż obok takiej potęgi, dzielić peryferie chaosu.

"Czy pozwoli mi zostać, gdy wszystko będzie już skończone? To możliwe. Jeżeli okażę się użyteczna na Summit. Muszę się tego nauczyć. Muszę sprawić, by mi zaufała."

Rozejrzała się dookoła.

"Musisz wiedzieć, że jestem właśnie tutaj - pomyślała. - Wie o wszystkim, co dzieje się w jego twierdzy. Nigdy jeszcze nie byłam tu zupełnie sama, nie sądzę jednak, by miał coś przeciwko temu. Chyba nie. Powiedział przecież, bym czuła się jak u siebie w domu. Nie powiedziałby tego, gdyby nie chciał..."

- Witaj. Co tu robisz o tak późnej porze?

- John! Ja... nie mogłam po prostu zasnąć.

- Ja także nie. Postanowiłem więc wybrać się na mały spacer. Niezwykły widok, prawda?

- Tak. Po raz pierwszy widzę coś takiego w nocy.

Udając, że jego uwagę zaprzętają szalejące na zewnątrz płomienie, przysunął się bliżej.

- Wszystko gotowe do podróży?

- Tak - odparła. - Malacar powiedział, że wyprawa potrwa około ośmiu dni.

- To brzmi rozsądnie. Jesteś może jego krewną?

- Co masz na myśli?

- Czy ty i Malacar należycie do jednej rodziny?

- Nie. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

- Rozumiem. Ja także chciałbym być twoim przyjacielem. Wydawała się go nie słuchać.

Odwrócił się i spojrzał w dół. Bijące w niebo słupy dymu jęły formować olbrzymie serce, w którym pojawiło się jej imię, a potem jego. Nagle środek serca przeszła ognista strzała.

- Bądź moją walentynką.

Roześmiała się. Odwróciwszy się, schwycił ją w ramiona i pocałował.

Przez chwilę poddała się mu, ale potem z niezwykłą siłą uwolniła się z jego objęć.

- Nie rób tego! - wykrzyknęła. Jej twarz wykrzywiona była złością

Cofnęła się o krok.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem... Posłuchaj. Nie złość się na mnie. Po prostu, stojąc tu, wyglądałaś tak pięknie... Mam nadzieję, że moja broda nie drapie za bardzo. Ja... Och, do diabła! Przepraszam.

Odwrócił się i spojrzał na rozwiewające się powoli serce.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała. - To wszystko.

Gdy spojrzał na nią ponownie, odniósł wrażenie, że przesunęła się bliżej.

- Dziękuję za prezent - uśmiechnęła się.

Powoli, z wahaniem podniósł dłoń i dotknął jej policzka. Przesunął w dół, wzdłuż szyi, a potem objął dziewczynę za kark i pociągnął ku sobie. Zesztywniała, ale nie odtrąciła go.

- Jeżeli nie masz teraz mężczyzny - powiedział. - A byłabyś zainteresowana... Jeżeli ty i Malacar jesteście tylko przyjaciółmi... Chciałbym, abyś wzięła mnie pod uwagę. To wszystko, co

chciałem ci powiedzieć.

- Nie mogę - odparła. - Za późno. Ale dziękuję.

- Co znaczy "za późno"? Jesteśmy tu i teraz i tylko to mnie obchodzi.

- Nie rozumiesz...

- ...I nawet nie chcę. Jeżeli ty i Malacar nie jesteście razem, wtedy ty i ja... Wiesz. Chociaż przez chwilę. A jeżeli zadecydujesz, że nie masz ochoty... No cóż, trudno. Myślałem już o tym. Powiedz coś.

- Nie, jeszcze nie. Nie teraz.

To ostatnie słowo nie uszło jego uwadze.

- Dobrze. Spodziewałem się czegoś takiego. Ale pomyśl o tym. Proszę.

- Pomyślę.

- Mam nadzieję, że w końcu uznasz mnie za swego przyjaciela.

Cofając się, skinęła z uśmiechem głową.

- Chyba będzie lepiej, jak już pójdę - powiedziała.

Gdy został sam, długo jeszcze spoglądał na płomienie bijące w czarne niebo.

- To już jest coś w każdym razie - mruknął.

Heidel spadł na miasto niczym bezlitosny anioł śmierci. Wymierzał w stronę ludzi palec, a ci padali bez zmysłów.

- Wystarczy - powiedział pod adresem czegoś, co w nim tkwiło. - Podziela los tych, którzy przeminęli.

Opuściwszy miasto, natknął się na młodego chłopca, który klęcząc obtłukiwał młotkiem kawałek skały.

Stanął za jego plecami i przez chwilę przyglądał mu się bez słowa.

- Co robisz? - zapytał wreszcie. Chłopiec odwrócił się i odparł:

- Zbieram kamienie, proszę pana. Słyszac to, roześmiał się.

- Kuj w tym złotym miejscu, trochę wyżej. Powinny tkwić tam błękitne kryształy.

Chłopiec skinął głową i z entuzjazmem zabrał się do pracy.

- Proszę pana! - wykrzyknął po kilku minutach. - Tu rzeczywiście są niebieskie kryształy.

Heidel poczuł, jak twarz wykrzywia mu grymas.

- Pójdę już - powiedział. Odwrócił się i ruszył biegiem w stronę błękitnej mgły.

Uderzając zajadle w skałę, chłopiec nawet nie zauważył jego odejścia.

## 5.

Dostosowując swa prędkość do prędkości obrotowej Summit, Pels udzielał odpowiedzi na płynący z radia nieskończony potok pytań.

- ... Tak, pojedynczy osobnik - powtarzał. - Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę podać więcej szczegółów. Niemniej jednak jestem przekonany, iż to właśnie on stanowi centrum wszelkich infekcji. Musicie zrobić coś więcej niż zwykle objęcie kwarantanną zarażonych obszarów. Musicie zlokalizować tego człowieka i za wszelką cenę unieruchomić. Prawdopodobnie porusza się, wyprzedzając ogniska zarazy. Z tego, co mi do tej pory powiedzieliście, wynika, że kieruje się na południowy zachód. Sugeruję utrzymanie tego właśnie kierunku poszukiwań. I dostarczcie mi więcej danych! Jeżeli to możliwe, chciałbym otrzymać bezpośredni kontakt z grupami poszukiwawczymi.

- Oczywiście, doktorze Pels, będę musiał uzyskać autoryzację tego wszystkiego, ale sądzę, że nie potrwa to długo. A tymczasem zajmę się przekazywaniem panu wszystkich raportów, jakie tylko uda nam się uzyskać.

- Bardzo dobrze. Czekam - odparł i przerwał połączenie. - W rzeczy samej - mruknął do siebie - przyzwyczajony jestem do czekania. Ale tym razem... Wiadomości nadeszły szybko i udało mi się dotrzeć na czas. Wiem, że on tu jest. Już wkrótce będę znał więcej szczegółów. Wiem o tym. Nic podobnego nie wydarzyło się jeszcze na tej planecie. Wydaje się, iż staje się coraz groźniejszy. Lecz tym razem odnajdę go. To już tylko kwestia czasu...

- ... Trzy, cztery, pięć.

- Poczekaj! - powiedział, ale dziewczyna zdążyła już podrzucić szóstą monetę.

Przez moment wisiała nieruchomo w powietrzu, aż nagle zadrżała, obróciła się i dołączyła do krążących powoli nad głową Jackary pozostałych pięciu.

- Poczekaj, dopóki całość nie będzie stabilna... Teraz! Dodaj ostrożnie kolejną monetę.

Dziewczyna podrzuciła pieniążek. Wyskoczył na kilka stóp w górę, znieruchomiał, po czym ruchem przypominającym odbijający się od powierzchni wody, ciśnięty płasko kamyk, dołączył do formacji.

- Następny!

Śmiejąc się, podrzuciła kolejną monetę, która tym razem natychmiast wprowadzona została do układu.

- Następną!

Jeszcze jedna dołączyła do pozostałych.

- Następną!

- Chyba pobijesz swój rekord - zauważyła, spełniając polecenie.

Krażące po obwodzie monety zaczęły przyspieszać.

- Teraz. Podrzucić jeszcze jedną.

- Udało się! To największa liczba! - rzuciła podekscytowana.

Metaliczny krąg znalazł się tuż nad jej głową.

- *Wciąż nie wiem, co pojawia się w twoim umyśle, kiedy tworzysz takie rzeczy* - powiedział Shind - *choć rozpoznaję sam proces. Bardzo ładny...*

Malacar roześmiał się głośno.

Migotliwy krąg pękł. Monety posypały się na ramiona dziewczyny i na podłogę. Jackara krzyknęła i wtuliła się plecami w oparcie kanapy. Morwin uśmiechnął się niepewnie i pokiwał głową.

- Współpraca z władzami portu Summit okazała się bardzo owocna - obwieścił Malacar, wyłaniając się zza przepierzenia oddzielającego aparaturę od reszty pomieszczenia. - Bardzo.

Morwin uśmiechnął się w stronę Jackary.

- To rzeczywiście był rekord. - A potem, odwracając się w kierunku Malacara, zapytał: - W jak wielkim stopniu okazała się pomocna?

- Prosiłem o określenie sytuacji na planecie w związku z pogłoskami o niespodziewanych epidemiach, które dotknęły kilka głównych miast. Zapytałem, czy lądowanie byłoby bezpieczne, czy też powinienem zabrać moją grupę w jakieś inne miejsce.

- Grupę? - zapytała Jackara.

- Tak. Zdecydowałem, że tym razem wystąpię jako przewodnik grupy turystycznej. Na wypadek kłopotów będzie to całkiem niezła historyjka. Tak więc niezwykle szczegółowo opisali mi wszystkie niebezpieczne miejsca. W trakcie rozmowy udało mi się uzyskać kilka istotnych dat. Dzięki temu orientuję się dość dobrze, gdzie możemy odnaleźć naszego człowieka.

- Niezłe - zauważył Morwin. Nachylił się i zaczął zbierać rozsypane monety. - Co więc robimy?

- Wchodzimy w podprzestrzeń - powiedziałem im, że odwołujemy wycieczkę - i wynurzamy się w innym punkcie. Ich satelity ostrzegawcze wyglądają na całkiem proste. Wyminiemy je bez większego trudu.

- A potem lądujemy na obszarze zamkniętym i rozpoczynamy poszukiwania?

- Właśnie.

- Niezłe pomysły. A co będzie, gdy już go odnajdziemy, a on oświadczy, że wcale nie

chce z nami lecieć? Że nie chce działać jako broń? Co wtedy? Porwiemy go?

Przez chwilę Malacar wpatrywał się w niego zwięzonymi niebezpiecznie oczyma, po czym uśmiechnął się.

- Pójdzie z nami - powiedział. Morwin umknął spojrzeniem w bok.

- Po prostu zastanawiałem się... Malacar ruszył w stronę dziobu statku.

- Zmienię kurs - powiedział. - Chcę wejść w podprzestrzeń tak szybko, jak to tylko możliwe.

Morwin wstał i bez słowa skinął głową.

- Sądzę, że najwyższy czas na kolejny zastrzyk - zauważył Malacar, wychylając się zza grodzi. - Zajmiesz się tym, Shind, dobrze?

- Tak.

Morwin podrzucił monety w górę. Zawirowały niczym lśniące tornado, po czym opadły na jego otwartą płasko dłoń.

- Masz tu jeszcze jedną - powiedziała Jackara, wyciągając rękę.

Moneta wyrwała jej się z palców i z cichym brzękiem dołączyła do pozostałych.

- Czy coś się stało? - zapytała zaniepokojona.

- Nie. A zresztą nie wiem - odparł, wkładając monety do kieszeni spodni.

- *Owszem, stało się - wtrącił Shind. - Jego odpowiedź sprawiła, że po raz kolejny zastanawiasz się nad swoją pozycją w tym przedsięwzięciu. I nad wszystkim, co się z tym łączy.*

- *Oczywiście.*

- *Widzisz więc sam, że się zmienił. Chce używać ludzi w sposób, jaki nigdy wcześniej nie przyszedłby mu do głowy.*

- *Chyba masz rację.*

- *Na przykład Jackara. Dlaczego leci razem z nami?*

- *Zastanawiałem się nad tym.*

- *On sam próbuje podejść do tego racjonalnie, ale przyczyna może być tylko jedna: wielbi go i sądzi, iż wszystko, co Malacar zamierza, jest słuszne i właściwe. On sam nigdy się do tego nie przyzna, ale w tej chwili potrzebuje takiej formy poparcia.*

- *Czyżby utracił wiarę w samego siebie?*

- *Starzeje się. Czas biegnie dla niego coraz szybciej, a jego zamiary nie wydają się być bliższe realizacji.*

- *A moja obecność na tej wyprawie?*

- *Odmiana tego samego. Nie chodzi tu tylko o to, że siłą swego umysłu możesz spowodować usterkę broni czy sabotaż na statku. Okazywany przez ciebie szacunek przywraca mu*



zaufanie do samego siebie. A ponieważ nie ufa ci całkowicie, sama twoja obecność sprawia, że ponownie odczuwa dawną radość z wydawania rozkazów.

- Podejmuje duże ryzyko, nie ufając mi...

- Niezupełnie. Wie, te potrafi cię kontrolować. - A to w jaki sposób?

- Kontrolując Jackarę. Wie, jakie żywisz do niej uczucia.

- Nie sądziłem, że są aż tak widoczne. A nie przypuszczam także, że mógł je po prostu wyczuć.

- Masz rację, nie mógł. Sam mu o tym powiedziałem.

- Dlaczego, na miłość boską? Moje uczucia to niczyja...

- Było to konieczne. Uwierz mi, że nie zrobiłbym tego bez istotnego powodu. Chciałem być pewny, że zabierze cię ze sobą.

- Tak się o niego martwisz?

- To nie jest takie proste.

- Czy mam przygotować szczepionki, Shind?

- Tak, zajmij się tym, Jackaro.

Morwin obserwował ją, jak podnosi się i przechodzi na drugi koniec kabiny. Westchnął i usiadł na kanapie.

- O co w tym wszystkim chodzi, Shind?

- Zgodziliśmy się już, że w Malacarze zaszła poważna zmiana. Oczywiście, podobne zmiany, choć w mniejszym stopniu, zaszły w nas samych. Komandor zawsze był w pewnym sensie gwałtowny - kiedyś było to jego zaletą - i to właśnie utrudniało mi podjęcie decyzji. Aż do teraz. Bowiem albo on stał się bardziej porywczy, albo ja bardziej konserwatywny. Ostatnio jednak coś się wydarzyło, coś, co stało się podstawą przeczucia o zagrażającym wszystkim niebezpieczeństwie. Było to na Deibie, gdzie szukaliśmy wskazówek dotyczących H i odkryliśmy, iż nazywa się Heidel von Hymack. Tam właśnie natknęliśmy się na innego osobnika, który poszukiwał tych samych informacji. Udało mu się uzyskać nawet wcześniej niż nam i próbował odwieść Malacara od wykorzystania ich w sposób, jaki planował. Jego oferta w zamian za współpracę była wręcz fantastyczna - zaproponował przywrócenie na całej Ziemi warunków, jakie panowały na niej przed wojną.

- Niedorzeczne.

- Wcale nie. Tym człowiekiem był Francis Sandow. Byłem w jego umyśle, gdy to mówił, a mówił całkiem poważnie. Jednocześnie był bardzo zaniepokojony.

- Sandow? Ten adaptator planet?

- Ten sam. Od dłuższego czasu pozostawał w zażyłych stosunkach z Pei'ańczykami,

najstarszą znaną nam rasą. W jego umyśle odnalazłem pewność, że człowiek, którego szukamy, w niezwykle sposób uzyskał nienaturalną i bardzo niebezpieczną moc, przypisywaną jednemu z pei'ańskich bóstw. Jest to bogini posiadająca zarówno siłę uzdrawiania, jak i przynoszenia chorób...

- I ty w to wierzysz?

- To, czyja wierzę, że ta rzecz jest naprawdę boginią, nie jest w tej chwili ważne. Wierzę jednak, że jest w tym wszystkim coś bardzo niezwykłego. Sandow był przekonany, że polega to na niebezpiecznej koncentracji energii, a jego przekonanie opierało się na znacznej i osobistej znajomości tego fenomenu. Znałem kilku Pefańczyków. Wszyscy byli niezwykle, bardzo utalentowanymi osobnikami. A po spotkaniu z Sandowem wiem, że jest wszystkim, tylko nie głupcem, i wiem także, że się bał. To bardzo znaczące. Wierzę, że jego obawy nie są pozbawione podstaw. Malacar nie uznał jednak za stosowne uwierzyć jego słowom. Zamiast tego próbował go zabić. By ratować życie Sandowa, skłamałem, że mu się to udało. Był jedynie nieprzytomny.

- Co stało się później?

- Wróciliśmy do domu. Malacar rozpoczął poszukiwania von Hymacka.

- Czy Jackara była razem z wami, gdy spotkaliście Sandowa?

- Tak.

- Czy uwierzyła, że Malacar go zabił? - Tak.

- Rozumiem... Teraz więc organizacja Sandowa może nas ścigać?

- Nie wydaje mi się. Nie wysyłał żadnych agentów. Na Deibę przybył samotnie. Twierdził, iż tym człowiekiem musi zająć się osobiście. Nie, w tej chwili nie martwię się zemstą Sandowa. Mówię ci o tym wszystkim z zupełnie innego powodu.

- Mianowicie?

- Malacarowi zagraża coś, co nastąpi w niedalekiej przyszłości. Nie przesadzam w moich obawach o niego. Chcę, abys po odnalezieniu von Hymacka zabił go.

- Całkiem duża prośba.

- Ale konieczna. Musisz to zrobić.

- A jeżeli odmówię?

- Wtedy z winy komandora umrą tysiące ludzi. Zupełnie niepotrzebnie. A być może nawet miliony.

- Nie przypuszczam, że posunąłby się do tego.

- Znasz mnie przecież - i to od lat. Wiesz, iż nigdy nie zaczynam działać bez dostatecznie ważkich ku temu powodów. Znasz także moją lojalność w stosunku do komandora i wiesz, że wystąpienie przeciwko niemu przychodzi mi z największą trudnością. Czy mógłbym pozostawić

*rzeczy takimi, jakimi są, gdybym nie wierzył w słusność tego, co czynię? Znasz odpowiedź. Czytam ją w twych myślach.*

*Morwin zagryzł wargi. Widząc Jackarę, która zbliżała się, trzymając strzykawkę, podwinął rękaw i wyciągnął w jej kierunku ramię.*

*- Będę to musiał przemyśleć.*

*- Myśl, ile tylko chcesz. Już znam twoją odpowiedź.*

Członkowie ekipy poszukiwawczej opatulili mężczyznę kocami i podali wodę. Czekaając na przybycie wezwanego wcześniej środka transportu, wsłuchiwali się w jego opowieść, niespokojną i chaotyczną wskutek wysokiej gorączki.

- ...Szaleństwo - mówił, spoglądając w niebo ponad ich głowami. - Szaleństwo i prawda. Sam nie wiem. Chociaż, wiem. Był chudy... chudy, brudny i pokryty jakimiś ranami. Gdy nadszedł, byłem właśnie w punkcie dostawczym. Poprzednio nigdy go nie widziałem... Nie. Włosy jak brudna aureola. To ten wasz obcy. "Nadchodzi" - ktoś powiedział. Nie wiem, skąd... Dajcie mi jeszcze trochę wody, dobrze? Dzięki. Nie wiem... Dokąd szedł?... Tego nie powiedział. Jedynie mówił. To właśnie robił. Tak dokładnie nie pamiętam, co wtedy powiedział. Ale było to dziwne... To był ten wasz obcy. Nie powiedział swego imienia. I nie sądzę, by jakiegoś potrzebował. Wszedł na skrzynię i zaczął mówić". Śmieszne... Nikt nie próbował go powstrzymać, powiedzieć mu, by sobie poszedł... On... Nie pamiętam dokładnie, o czym mówił. To było szalone... Ale słuchaliśmy. Tutaj nie dzieje się wiele nowego, a on był inny. Odmawiał coś w rodzaju modlitwy, ale niezupełnie. Raczej przeklinał. Nie wiem... Chociaż, zaczekajcie... Jeszcze wody? Dziękuję. Śmieszne... Szalony mówca. Życie i śmierć... Właśnie! Właśnie tak... Wszystko zmierza ku śmierci. Nie mogliśmy przestać go słuchać. Nie wiem, dlaczego. Wiedzieliśmy, że jest szalony. Wszyscy tak mówili, kiedy rozmawialiśmy o nim, gdy już odszedł. Jednak gdy się modlił, nikt nie przerywał mu nawet słowem. To było, jak... Gdy to mówił, brzmiało to prawdziwie. I miał słusność. Spójrzcie na mnie! Miał rację czy nie? Był szalony... Nie. Nie wiem, w którym kierunku udał się później... Chcecie go posłuchać? Stary Sam - on prowadzi to miejsce - nagrał część tego, co ten człowiek powiedział. Potem słuchaliśmy tego jeszcze raz. Chociaż brzmiało to inaczej, gdy jego już nie było. Czasami nawet śmialiśmy się. Szalony, to wszystko. Zapytajcie Sama. Jeżeli nie wyrzucił tej taśmy, to sami możecie tego posłuchać... To wtedy właśnie zacząłem się słabo czuć... Boże! On miał rację! A może on był... w jakiś sposób...

Przekazali to do dowódcy i po przybyciu pojazdu terenowego wyruszyli powoli dalej, przeczesując okolicę, zatrzymując się, by pomóc i dokonać kolejnych nagrań, pogrzebać zmarłych. Utrzymywali kontakt z pozostałymi grupami i wspomagając tych nielicznych, którzy przeżyli,

szukali, szukali...

W południe na niebie jęły gromadzić się burzowe chmury. Przeklinali nadchodzący sztorm, wiedząc, iż wkrótce zarówno ich buty, jak i detektory ciepła staną się zupełnie niezdatne do użytku. A jeden, który znał historię, przeklinał nawet Francisa Sandowa, który zaprojektował i zbudował ten świat.

Rozłożyły się jak dywany chmury pokryły strzępiastą, szaro - burą powłoką część nieba. Powyżej czoła burzy kłębiły się i ciemniały, rozmywając kontury, odbierając rzeczom i ludziom ich naturalne kolory i cienie. Nie padało, choć tu i ówdzie unosiła się biała mgła, a w trawach lśniła srebrzysta rosa. Dźwięki zdawały się być przytłumione, zupełnie jakby cały świat opatulony został warstwą waty. Ptaki, kierując się ku wzgórzom, leciały nisko nad ziemią. Wiatr ucichł i zamarł wreszcie zupełnie. Zwierzęta przystawały, drżąc niespokojnie, unosiły łby i ruszały dalej, jakby w poszukiwaniu ukrytej arki. Ponad wzgórzami, które ludzie już przeszukali, błysnęło, nad ziemią przetoczył się grzmot. Okna zamknięto i zaryglowano. Chmura napierała na chmurę. Spektrum barw zanikło, pozostała jedynie szarość jak na starych kronikach filmowych lub w jaskini, gdzie nieregularne cienie zmieniają się bez ustanku, drżące i mokre.

Dr Pels, opierając brodę na złączonych dłoniach, po raz kolejny słuchał nagranych na taśmie chrapliwego głosu:

"Ja... Czy ktoś powiedział, że ma prawo do życia? Nie ma na to żadnych kosmicznych gwarancji. Daleko do tego! Jediną obietnicą, którą wszechświat składa i której dotrzymuje, jest śmierć... Kto powiedział, że życie musi zatriumfować? Wszystkie dowody wskazują na coś wręcz przeciwnego! Wszystko, co wzięło swój początek z pierwotnego szlamu, było napastowane i ostatecznie zniszczone! Każde ogniwo w ogromnym łańcuchu istnienia przyciąga nemezis, która je przerywa! Życie żywi się samo sobą, jest miażdżone przez to, co nieożywione! Dlaczego? A dlaczego nie? Ja...

...To was trzeba winić. Za istnienie. Spójrzcie w głąb siebie, a zobaczycie prawdę... Przyjrzyjcie się skałom na pustyni! Nie przymierają głodem, nie mają myśli ani pragnień. Żadne żywe stworzenie nie może się równać z doskonałą strukturą kryształu. Ja...

...Nie mówcie mi o świętości życia czy o jego zdolnościach adaptacyjnych. Bowiem każda adaptacja jest nową, ciemną odpowiedzią, której echa gruchoczą swego nosiciela. Błogosławiony jest jedynie bezruch i spokój. Brak słuchu wywołuje mistyczne dźwięki. Ja...

...Bogowie zbłądzili, wyrzucając swe nieudane dzieła na śmietnik. Ale to was należy winić za istnienie. Ta część wszechświata jest zbrukana. Z boskiego śmietnika wylęgła się choroba,

zwana życiem... To wasza świętość! Gwarancja bytu pomiędzy jedną ciemnością a drugą. A wszystko, co żyje, jest chorobą dla pozostałych rzeczy. Jesteśmy pokarmem dla samych siebie i przeminiemy! Wkrótce... Ja...

Bracia! Podziwiajcie kamienie! One nie cierpią! Cieszcie się nieskażoną wodą, powietrzem i skałą! Podziwiajcie kryształy. Wkrótce staniemy się jak one, perfekcyjne, nieruchome...

Nie proście o przebaczenie, lecz uwierzcie w nieuchronność tego, co ma nadejść, byście mogli dostąpić łaski powrotu błogosławionego pokoju! Ja...

Módlcie się, płaczcie, radujcie... To wszystko. Ja odchodzę... Odchodzę".

Przewinał taśmę na początek i zamyślił się. Czuł niesprecyzowane bliżej uczucie niepokoju, które mogło zostać spowodowane muzyką Wagnera, którą wyciszył do minimum. Może jeszcze raz...

- Jak to ma nam pomóc?... - zaczął, a potem niespodziewanie uśmiechnął się.

Nie pomogło. Sprawilo jednak, że poczuł się lepiej.

Moment wytchnienia.

Heidel von Hymack posuwał się krętym szlakiem, który piał się w górę szerokiego masywu skalnego. Znalazłszy się w najwyższym punkcie, zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Miejsce, z którego nadszedł, skrywała mgła. Zamrugał oczyma i pogłaskał się po brodzie. Dziwne uczucie nierealności, które nie opuszczało go już od dłuższego czasu, w tej chwili wzmogło się znacznie. Coś było nie tak. Oparł się plecami o śliską skałę i zacisnął dłonie na lasce. Tak, było to trudne do sprecyzowania, ale coś w otaczającym go świecie zmieniło się. I było to zdecydowanie coś więcej niż wyczuwalne w powietrzu napięcie przed burzą. Zupełnie, jakby był szukany przez kogoś, kto nie jest jeszcze dostatecznie gotowy do takiego spotkania.

"Czyżby próbowała mi coś powiedzieć? Może powinienem się przenieść i dowiedzieć, co się stało? Ale to pochłonełoby sporo czasu, a ja czuję, że muszę posuwać się do przodu. Wydostać się stąd, nim rozpęta się burza. I dlaczego bez przerwy oglądam się do tyłu? Przecież..."

Przesunął palcami po zmierzwionych włosach. Na moment pokrywa chmur rozstąpiła się i światło słońca roziskrzyło otaczającą go mgłę tysiącami tańczących kolorów. Przez chwilę wpatrywał się w nie ze zmarszczonym czołem, a potem odwrócił się.

- Niech cię diabli porwą! - warknął. - Kimkolwiek jesteś... Z wściekłością uderzył laską o skałę i ruszył w dół.

Przysiadł na kamieniu i sięgając umysłem dalej i dalej, polował. W końcu wstał i ruszył przed siebie, pokonując równiny i skaliste, otulone mgłą wzgórza. Czasami widywał przelatujące w

górze ptaki, wyłaniające się i ponownie znikające za mlecznobiałą kurtyną.

Pokonując kamieniste zbocze, natknął się na wąski występ skalny. Usiadł, sięgnął po cygaro i po odgryzieniu jednego końca zapalił. Powiew wiatru podniósł na chwilę mgłę i odsłonił leżącą poniżej równinę, nagą i ponurą. Na występ, na którym właśnie siedział, wspięła się nagle smukła jaszczurka. Skóra jej grzbietu opalizowała barwami, przywodząc na myśl mydlaną bańkę. Spoglądając mu prosto w twarz żółtymi oczyma, wysuwała i chowała rozwidlony język. Przynęła się bliżej, więc pogłaskał ją.

- I co o tym myślisz? - powiedział po kilku minutach. - Na całym tym obszarze nie natknąłem się jeszcze na ani jedno gorącokrwiste stworzenie czy umysł.

Palił, a tymczasem mgła ponownie objęła w swe władanie dolinę. W końcu westchnął, wstał i rozpoczął schodzenie w dół. Jaszczurka przynęła się na brzeg występu i śledziła go, dopóki nie zniknął.

Gdy przeszedł kolejną milę, zyskał towarzystwo pary podobnych do łasic drapieźników. Szły tuż obok niego, sycząc cicho i poszczekując. Ignorowały przelatujące nad głowami ptaki i nawet kolejnego stwora, który wypełził ze swej jamy i podążał za nimi, dopóki jego niezgrabny sposób chodzenia nie pozostawił go daleko w tyle.

Minawszy spory otoczek, zatrzymał się, by zapolować umysłem; zwierzęta znieruchomiały także. W pobliżu przepływał lodowaty, ciemny strumień, na powierzchni którego unosiły się kwiaty o połyskujących diamentowo liściach. Wpatrywał się w wodę niewidzącymi oczyma, żuł cygaro i szukał.

- Nie - powiedział po chwili. A zwracając się do swych towarzyszy, dodał: - Dlaczego nie wracacie do domu? Cofnęły się, nie spuszczając z niego ciemnych ślepi. Długo jeszcze stały nieruchomo, obserwując, jak odchodził.

Przekroczył strumień i kontynuował wędrówkę bez mapy i kompasu, kierując się na zachód, lecz po wykryciu grupy poszukiwaczy skręcił na wschód.

Nagle odrzucił cygaro i zaczął przeklinać. Przyspieszył kroku.

W oddali przetoczył się grzmot. Potem jeszcze jeden. Po chwili stopiły się w jeden łoskot, wstrząsający niebem i ziemią. Ze wschodu zerwał się wiatr, by wspomóc nadciągającą burzę.

Skręcił na południowy zachód, idąc przez jakiś czas równoległe z burzą, a potem pozostawiając ją w tyle. Po południu dostrzegł błysk czegoś, co zmusiło go do ponownego nadłożenia drogi.

- Ciekawy jestem, kto to taki? - rzucił pod adresem swego cienia. - Wydaje się znajomy, lecz wciąż jest zbyt daleko... Muszę być bardzo ostrożny.

Nadciągająca nowa fala mgły wchłonęła go i stłumiła echo jego kroków.

Opatulony w grube poncho, Morwin wkroczył na pięćdziesięciostopowy obszar względnej widoczności. Chociaż zabezpieczony przed wilgocią panującą na zewnątrz, był skąpany we własnym pocie. Także dłoń, którą zaciskał co chwila na kolbie rewolweru, była śliska i wilgotna. Przez moment rozmyślał o Malacarze i dziewczynie, którzy od jaskini, w której ukryli Perseusza, posuwali się łatwiejszym szlakiem. Nagle przypomniał sobie osuwisko skalne, które spowodowali, by zamaskować wylot jaskini. Gdy będą chcieli ją opuścić, może to nastąpić sporo trudności.

- *Znalazłeś coś, Shind?* - zapytał.

- *Jeżeli kogoś zlokalizuję, będziesz pierwszym, który się o tym dowie.*

- *Co z Jackarą i Malacarem?*

- *Opuuszczają właśnie obszar, na którym szaleje burza. Kontroluję rozmowy prowadzone pomiędzy grupami poszukiwawczymi, a także pomiędzy nimi a Pelsem. Wygląda na to, że do tej pory tubylcy nie znaleźli nic, za wyjątkiem złej pogody. Bez przerwy na nią narzekają.*

- *Czy któraś z tych grup jest dostatecznie blisko, byś mógł coś odczytać?*

- *Nie. Otrzymuję te informacje bezpośrednio z umysłu Ma - lacara. Sądzę, że poszukiwacze znajdują się jakieś cztery mile na północ od nas, a na południe jeszcze dalej.*

- *Ten Pels, o którym wspomniałeś... Czy to jest ten sam dr Pels?*

- *Tak mi się wydaje. W tej chwili znajduje się na orbicie dokładnie nad nami.*

- *Co on tu robi?*

- *Wszystko wskazuje na to, że kieruje poszukiwaniami.*

- *A więc także chce dostać tego H.*

- *To bardzo prawdopodobne.*

- *Nie podoba mi się to, Shind. Zbyt dużo ludzi. A teraz ten Pels. Jeżeli zdecyduję się zrobić to, co sugerujesz, być może wpadniemy w większe kłopoty, niż oczekiwaliśmy.*

- *Także o tym myślałem. Być może najbezpieczniejszym sposobem byłoby poczekanie, aż pierwsi natkną się na niego ludzie Pelsa. Gdyby go pojmali, wtedy nasz problem byłby rozwiązany.*

- *A w jaki sposób zamierzasz to osiągnąć?*

- *Możemy go dezorientować i ściągnąć na niego ich uwagę. Jeżeli się nie uda, zabijemy go i stwierdzimy, że to w samoobronie. Oni wydają się sądzić, iż jest w tej chwili niepoczytalny, a więc tłumaczenie takie będzie wiarygodne.*

- *A jeżeli Malacar odnajdzie go pierwszy?*

- *Wtedy będziemy musieli pomyśleć o czymś innym. Może jakiś wypadek.*

- *Nie podoba mi się to.*

- *Wiem, ale czy masz lepszy pomysł?*

- Nie.

Po godzinie marszu dotarli wreszcie na wyżej położone miejsce, bardziej płaskie, wciąż jednak najeżone głazami i złomami skalnymi. Burza została z tyłu. Nad ich głowami od czasu do czasu przemykały ciemne kształty, emitując wysokie, szarpiące nerwy piski.

Morwin zdjął poncho, zrolował je i zawiesił u pasa. Następnie wyjął chusteczkę i zaczął ocierać twarz.

- *Ktoś jest przed nami* - odezwał się nagle Shind.

- *Nasz człowiek?*

- *To bardzo prawdopodobne.*

Sprawdził, czy pistolet wysuwa się łatwo z kabury.

- *"Prawdopodobne" ? Jesteś przecież telepatą. Odczytaj jego umysł.*

- *To nie takie proste. Ludzie zazwyczaj nie rozmyślają o swych nazwiskach, a ja nigdy nie widziałem tego człowieka.*

- *Odniosłem wrażenie, że potrafisz sięgnąć w umysł głębiej, a nie tylko odczytać najprostsze myśli.*

- *I masz rację. Ale wiesz także, że w tej sprawie zaangażowanych jest zbyt wiele czynników. Jest wciąż dość daleko, a jego umysł jest niezwykle skomplikowany.*

- *Czy coś go trapi?*

- *Czuje, że jest ścigany.*

- *Jeżeli to von Hymack. to ma rację. Chociaż zastanawiam się, jak się o tym dowiedział.*

- *To jasne. Jego umysł jest w anormalnym stanie. Powiedziałbym, że gnębi go paranoja oraz obsesja związana z chorobami i śmiercią.*

- *Brzmi to zupełnie niezrozumiale.*

- *Nie dla mnie. Myślę, że częściowo go rozumiem. Wydaje się być świadomy tego, co robi i prawdopodobnie nawet czerpie z tego przyjemność. Ma poczucie boskości swej misji. Jest jednak trochę zdezorientowany. Tak, to nasz człowiek.*

- *Czy posiada gotowe do działania mechanizmy obronne?*

- *To możliwe...*

- *Jak daleko jest od nas?*

- *Okolo pół mili.*

Morwin skinął głową i przyspieszył kroku.

- *Właśnie skontaktowałem się z komandorem. Wydawało mu się, że jego instrumenty coś wykryły, lecz było to jedynie zwierzę. Skłamałem, mówiąc mu o naszej sytuacji.*

- *Dobrze. Co robi teraz H?*



- *Śpiewa. Jego umysł pełen jest czegoś, co ma związek z Pefan.*

- *Dziwne.*

- *On jest dziwny. Przysiągłbym, że przez chwilę był świadomy mojej obecności w jego umyśle.*

- *Chciałbym mieć to już za sobą.*

- *Wiem.*

Niemal biegnąc, ruszyli do przodu.

Francis Sandow westchnął. Martlind pozostawał poza zasięgiem wzroku, chociaż wciąż wyczuwał go umysłem - kierował się prosto w stronę Malacara i Jackary. Wiedział, że detektor Malacara wykryje zwierzę, co pozwoli mu wycofać się z tej niebezpiecznej sytuacji. Spotkanie z komandorem było ostatnią rzeczą, jakiej sobie w tej chwili życzył. Na moment wtargnął w umysł Malacara i przekonał się, iż podstęp się udał.

"Powiniennem być ostrożniejszy - przemknęło mu przez głowę. - Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tego typu błędów. Na własnych światach staję się zbyt pewny siebie. A ta gra wymaga subtelności, a nie jedynie siły. Muszę wydostać się poza zasięg jego detektora... Teraz!"

Oddalając się szybko od miejsca przypadkowego spotkania, ponownie spenetrował umysł Malacara i Jackary...

"Jaki ten człowiek stał się zgorzkniały - pomyślał. - Dziewczyna jest także pełna nienawiści, lecz jej uczucia są wciąż uczuciami dziecka. Czy zechcą przeprowadzić to do końca, gdy już zorientują się, jakie będą tego rezultaty? Gdyby komandor przewędrował większy dystans na piechotę, z pewnością zobaczyłby, jak daleką drogę przebył von Hymack. Ciekawe, czy po ujrzeniu martwych i umierających w dalszym ciągu myślałby tak, jak teraz? Chociaż od czasu naszego krótkiego spotkania na Deibie zmienił się - a przecież już wtedy nie rozumował rozsądnie".

Nagle poczuł, że umysł Malacara sonduje ktoś jeszcze. Wiedząc, że nie może się już wycofać niezauważony, wtrącił własny umysł w stan inercji. Nie mógł nawet zakłąć, nie mógł ujawnić żadnej emocji, żadnego śladu uczucia. Musi sprawiać wrażenie, że nie istnieje. Żadnej reakcji, żadnej odpowiedzi, cokolwiek się wydarzy. Nawet, gdy...

Dziwaczne wrażenie. Dwaj telepaci sięgają do tego samego obiektu w tym samym czasie. I obaj ukrywają się przed sobą...

Sandow przysłuchiwał się wymianie myśli pomiędzy Malacarem a Shindem. W jednej chwili pojął, do czego dążyli i co już osiągnęli. Nie zareagował jednak. Wycofał się dopiero wtedy,

gdy przekaz zakończył się.

Wyjął z kieszeni cygaro i zapalił.

"Co za cholerna sytuacja - pomyślał. - Tubylcy po lewej, co prawda jeszcze daleko, ale zbliżają się. Malacar po prawej. Shind może odkryć mnie w każdej chwili, jeżeli nie zachowam ostrożności. A gdzieś tam z przodu jest najprawdopodobniej obiekt naszych poszukiwań...

Trzymając się poza zasięgiem detektora Malacara, okrążył go szerokim łukiem i skierował się na zachód.

"Pozwolić im odnaleźć go, a potem im go odebrać? - zastanawiał się gorączkowo. - Ale oni mogą nie... A może?... Nie..."

I nagle pytania te stały się już niepotrzebne.

Morwin napotkał przedmiot swych poszukiwań zupełnie nieoczekiwanie. Wchodził właśnie na wąski grzbiet skalny, gdy ujrzał szczupłego, ciemnego mężczyznę, który stojąc z dłońmi zaciśniętymi na lasce, spoglądał za siebie. Spotkanie to wprawiło Morwina w dziwne zakłopotanie. Wracał właśnie do równowagi, gdy dobiegł go podniecony, telepatyczny przekaz Shinda:

*- To nasz człowiek! Jestem tego pewny! Ale coś jest nie w porządku! On jest świadomy naszej obecności! On...*

Morwin złapał się za głowę i opadł na kolana. Po raz pierwszy w życiu jego umysł rozdarł telepatyczny, pełen grozy okrzyk.

*- Shind! Shind! Co się dzieje?*

*- Ja... Ja... Ona mnie przejmuje! Tutaj...*

Umysł Morwina zawirował. Kalejdoskop wrażeń i żywych kolorów mieszających się ze sobą nieustannie zacierał w nim zdolność do obiektywnego rozróżniania co rzeczywiste, a co jest jedynie tworem jego wyobraźni. Nagle wszystko zastąpione zostało drżącym błękitem, pośrodku którego tańczyły miliardy kobiet. Tańczyły dziko, zapamiętałe i w pewnej chwili zdał sobie sprawę - bez żadnego racjonalnego powodu - że owa mnogość jest jedynie pewnego rodzaju symboliczną iluzją. Potem kobiety zaczęły się zapadać w siebie, stapiać, jednoczyć, stając się coraz bardziej majestatyczne, pociągające, potężne. Wtedy właśnie poczuł, że staje się obiektem badań dla zmieniających się bez ustanku kobiet. Ostatecznie powstały dwie: pierwsza - wysoka i piękna, podobna do współczującej Madonny i druga, podobna i jednocześnie niepodobna do pierwszej, pełna nieokreślonej grozy. Nagle dwie postacie stopiły się w jedną twarz o rysach, które zachowały wszystkie cechy drugiej kobiety. Otaczały ją błękitne błyskawice. Wpatrywała się w niego nieruchomymi, być może pozbawionymi powiek oczyma, które w jednej chwili obdarły go z ciała i umysłu, napełniając prymitywnym, irracjonalnym przerażeniem.

- Shind! - wykrzyknął. Równocześnie wyszarpnął z kabury broń i wypalił.

Zalała go fala czegoś, co przypominało jakąś nieokreśloną wesołość.

Potem na krótką chwilę w jego umyśle ponownie zagościł Shind.

- *Ona mnie używa!* - wydawał się krzyczeć. *Ja... Pomóż mi!*

Pistolet wypadł z bezwładnych palców Morwina i stuknął o skałę. Mężczyzna odniósł wrażenie, że znalazł się pośrodku snu, kosmicznego koszmaru. Jego umysł zadziałał zupełnie instynktownie, jak przy tworzeniu kolejnej kuli marzeń. Gnany atawistycznym strachem, który szalał w zakamarkach jego jaźni niczym błękitny płomień, nagle odnalazł w sobie siłę, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał. Nie zwlekając, skierował ją w stronę naigrawającej się z niego istoty.

Z twarzy kobiety zniknęły wszelkie ślady rozbawienia. Cała jej postać skurczyła się, stając się rozmytą, zamazaną. Na mgnienie oka dostrzegł mężczyznę leżącego bezwładnie na skale.

Głowę wypełniało mu bolesne zawrodoenie. Gdy minęło, odniósł wrażenie, że kobieta zniknęła. Stracił przytomność.

- Zatrzymaj się!

Zaskoczony Malacar odwrócił się.

- Co się stało?

- Nic - odparła dziewczyna. - Ale tutaj kończymy już poszukiwania. Pora wracać na statek. Odlatujemy stąd.

- O czym ty mówisz? Co się stało?

Jackara uśmiechnęła się.

- Nic - powtórzyła. - Teraz już nic.

Gdy jednak przyjrzał się bliżej dziewczynie, zauważył, że coś się zmieniło. Pierwszą rzeczą, która go uderzyła, była dziwaczna zmiana w postawie Jackary. Nigdy przedtem nie była w pełni odprężona i spokojna. Jej głos także się zmienił. Stał się bardziej miękki, a jednocześnie brzmiała w nim władcza nuta.

Nie wiedząc, co powiedzieć, zapytał po prostu:

- Co się z tobą dzieje? Nic nie rozumiem.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Ale widzisz, nie ma już sensu szukać dalej. To, czego poszukujesz, znajduje się tuż przed tobą. Von Hymack jest już dla ciebie bezużyteczny, ponieważ znalazłam dla siebie lepsze miejsce. Lubię Jackarę - jej ciało, jej pasję - i pozostanę w niej. Razem dokonamy wszystkiego, czego pragniesz. A nawet więcej. Dużo więcej. Będziesz miał swoje plagi i swoją śmierć. Pozwól nam powrócić na statek i zabierz nas w jakieś zaludnione miejsce. Nim tam

dotrzemy, będę już gotowa. Staniesz się świadkiem spektaklu, który zaspokoi nawet tak wygórowane pragnienia, jak twoje. A będzie to dopiero początek...

- Jackara! Nie mam czasu na żarty! Ja...

- Nie żartuję - przerwała miękko. Podeszła bliżej i uniosła dłonie ku jego twarzy.

Przebiegła palcami po policzkach, by w końcu dotknąć jego skroni. Znieruchomiał, sparaliżowany wizją zniszczenia, która wypełniła jego umysł. Martwi i umierający byli wszędzie. Na niezliczonych ciałach widział symptomy chorób, których istnienia nigdy nawet nie podejrzewał. Dostrzegał całe planety dotknięte zarazą i śmiertelnymi epidemiami. Zobaczył ciemne i jałowe światy, pozbawione życia, puste ulice i domy, rozkładające się na polach trupy.

Zrobiło mu się nagle niedobrze.

- Mój Boże! - szepnął. - Kim ty jesteś?

- Widziałeś to wszystko i jeszcze nie rozumiesz?

Cofnął się.

- Jest tutaj coś nienaturalnego - powiedział. - Ta błękitna bogini, o której mówił Sandow...

- Masz niezwykle szczęście. Ja zresztą także. Twe środki, które doprowadzą do zrealizowania naszych wspólnych celów, są o wiele potężniejsze niż u mego poprzedniego akolity...

- W jaki sposób udało ci się zawładnąć ciałem Jackary?

- Twój sługa, Shind, połączony był z nią akurat telepatyczną więzią. Tak więc przejęłam ją.

Przyjemnie jest ponownie posiadać tę właśnie płec.

- Shind! Shind! - wykrzyknął zrozpaczony. - Gdzie jesteś? Co się stało?

- Twoi słudzy nie czują się najlepiej - powiedziała z uśmiechem. - Ale nie musimy już korzystać z ich usług. Muszą tu pozostać. Szczególnie ten mężczyzna - Morwin. Chodźmy już! Wracajmy na statek.

Nagle słabo, bardzo słabo, dobiegł go telepatyczny przekaz Shinda:

*- ... Racja... Sandow miał rację... Byłem w kontakcie z umysłem, którego nie potrafię pojąć... Zniszcz... ją...*

Wstrząśnięty, sięgnął po broń...

- Szkoda - powiedziała. - A mogło być tak przyjemnie. Ale mogę przeprowadzić to teraz sama - i obawiam się, że nawet będę musiała.

... i wiedział już, że zrobił to zbyt późno, bowiem w dłoni tej dziwnej istoty błysnął wymierzony w jego kierunku pistolet Jackary.

Strzępy świadomości unosiły się niczym czarna zasłona. Unosiły się i opadały. Po chwili

Morwin otworzył oczy i spojrzał na leżący przed nim pistolet.

Nim zdał sobie sprawę, kim właściwie jest, sięgnął po broń. Dotknięcie chłodnej kolby niosło ze sobą ukojenie i spokój.

Zamrugnął oczyma i uniósł głowę.

- *Shind? Gdzie jesteś?*

Odpowiedziała mu cisza.

Odwrócił się i w odległości kilku kroków od siebie dostrzegł skurczoną postać leżącego twarzą ku ziemi mężczyzny. Ubranie poplamione było krwią.

Podniósł się i ruszył w jego kierunku.

Mężczyzna oddychał. Jego prawe ramię, wykręcone w groteskowej pozycji, drżało.

Morwin stał przez chwilę nieruchomo, potem obszedł go z drugiej strony, spojrzał mu w twarz i przyklęknął. Oczy mężczyzny były otwarte, ale wydawały się nic nie widzieć.

- Słyszysz mnie? - zapytał Morwin.

Mężczyzna westchnął głęboko i opuścił powieki. Gdy uniósł je ponownie, jego oczy miały dużo przytomniejszy wyraz. Spojrzał prosto na Morwina. Jego twarz poznaczona była strupami i świeżymi ranami.

- Słyszę cię - powiedział słabo. Morwin mocniej zacisnął dłoń na kolbie.

- Czy ty jesteś Heidel von Hymack? - zapytał. - Człowiek, którego nazywają H?

- Tak, nazywam się Heidel von Hymack.

- Ale czy to ty jesteś H?

Mężczyzna nie odpowiedział natychmiast. Zamiast tego rozkaszał się gwałtownie. Morwin spojrzał na jego ramię. Wyglądało na to, że otrzymał postrzał.

- Ja... ja byłem chory - oświadczył w końcu mężczyzna. Ponownie zakaszał. - ...Ale czuję się już lepiej.

- Chcesz wody?

- Tak!

Morwin schował broń do kabury, odpiął wiszącą u pasa manierkę, uniósł głowę mężczyzny i przytknął pojemnik do jego ust.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że chce ci się pić? - zapytał, widząc, że nieznajomy opróżnił manierkę niemal do połowy.

- Pomyślałem, że może nie zechciałbyś marnować na mnie wody.

Morwin odłożył manierkę na bok.

- A więc? To ty jesteś H? - zapytał.

- A jakie znaczenie ma jakiś inicjał? Byłem roznosicielem chorób.

- I przez cały czas byłeś tego w pełni świadomy? - Tak.
- Tak bardzo nienawidzisz ludzi? Czy po prostu o nich nie dbasz.
- Ani to, ani to - odparł mężczyzna. - Zastrzel mnie, jeżeli chcesz.
- Dlaczego pozwoliłeś, by tak się stało?
- Teraz nie ma to już znaczenia. Ona odeszła. Wszystko skończone.

Usiadł i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Zachowujesz się tak, jakbyś chciał, bym cię zabił.
- A więc na co czekasz?

Morwin zagryzł wargi.

- Wiesz przecież, że to ja cię postrzeliłem... - zaczął. Heidel von Hymack zmarszczył brwi i spojrzał na swe zalane krwią ramię.

- Nawet nie zauważyłem, że to postrzał - powiedział powoli. - Tak, teraz rozumiem. I czuję...

- Co się właściwie z tobą stało?

- Utraciłem... coś. Coś w moim umyśle. To odeszło i czuję się teraz tak, jak nie czułem się już lat. Ulga... Byłem oszołomiony. Miałem takie dziwne wrażenie...

- Jakie? Jak się objawiło?

- Nie jestem pewny. W jednej chwili ta rzecz była we mnie, a potem poczułem obecność jeszcze kogoś... A potem wszystko się rozpadło... Gdy się ocknąłem, ujrzałem ciebie.

- Jaka rzecz?

- Nie zrozumiałbyś. Ja także nie pojmuję tego w pełni.

- Czy chodzi tu o błękitną kobietę? Boginię?

Heidel von Hymack uciekł spojrzeniem w bok.

- Tak - szepnął i złapał się za urażone ramię.

- Pozwól mi je opatrzyć.

Heidel nie protestował, gdy Morwin owijał mu ramię bandażem. Potem poprosił o wodę.

- Dlaczego do mnie strzelałeś? - zapytał w końcu.

- Zrobiłem to zupełnie odruchowo. Ta... rzecz, którą utraciłeś, śmiertelnie mnie przeraziła.

- Widziałeś ją?

- Tak. Przy pomocy telepatii.

- Gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia.

- Nie mógłbyś się jakoś dowiedzieć? Możesz mnie tu zostawić. Nie odejdę daleko. A zresztą to i tak nieważne.

- Chyba powinienem - powiedział w zamyśleniu Morwin.

- *Shind! Niech cię diabli! Gdzie ty się podziewasz? Potrzebujesz pomocy?*

- *Zostań - brzmiała słaba odpowiedź. - Zostali tam, gdzie jesteś. Ze mną wszystko będzie w porządku. Potrzebuję jedynie chwili odpoczynku... małej chwili...*

- *Shind! Co się stało?*

Cisza.

- *Shind, cholera! Odpowiedz mi!*

*Malacar - nadpłynęła odpowiedź - nie żyje. Teraz czekaj... Czekaj.*

Morwin spoglądał na własne, splecione kurczowo dłonie.

- Nie zamierzasz jej odnaleźć? - zapytał go Heidel. Nie odpowiedział.

- *Jackara! Shind! Co z Jackarą?*

Cisza.

- *Shind! Co z Jackarą?*

- *Żyje. Poczekaj chwilę.*

- Czy stało się coś złego? - zapytał zaniepokojony Heidel.

- Nie wiem.

- Twój przyjaciel...?

- ... Żyje. Jesteśmy w kontakcie. To nie stanowi w tej chwili problemu.

- A więc co?

- *Nie wiem. Jeszcze nie. Czekam.*

- *Próbuję się dowiedzieć, John. Ale muszę być ostrożny. Ta bogini... rzecz jest w pobliżu.*

- *Gdzie?*

- *Z Jackarą.*

- *Jak to się stało?*

- *Sądzę, że zawładnęła dziewczyną, gdy byliśmy połączeni więzią telepatyczną. Nie wiem jednak, w jaki sposób.*

- *Jak zginął komandor?*

- *Ona go zastrzeliła.*

- *A co z Jackarą?*

- *Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć. Pozostaw mnie przez chwilę w spokoju. Opowiem ci o wszystkim, co uda mi się wykryć.*

- *Co mogę zrobić?*

- *Nic. Czekaj.*

Cisza.

- Czy już wiesz? - zapytał po chwili Heidel.

- Nic nie wiem. Za wyjątkiem tego, iż ja straciłem coś także.

- Co się stało?

- Mój przyjaciel próbuje się tego dowiedzieć. Przynajmniej wiemy, dokąd udała się ta twoja bogini. Jak się czujesz?

- Sam nie wiem. Dziwnie. Była ze mną przez bardzo długi okres. Przez lata. Przez pewien czas uzdrawiała poprzez mnie tych, którzy dotknięci byli szczególnymi chorobami. Wydawało się, że będąc razem, przenosimy zarówno choroby, jak i środki zaradcze. Ja sam zawsze chroniony byłem przed wszelkimi chorobami. A potem w Italbar, gdzie przebywałem zbyt długo, zostałem niemal ukamienowany. Zupełnie, jakbym przybył tam umrzeć. Wtedy wszystko się zmieniło. Zrozumiałem, że ma podwójną naturę. Zwalcza choroby, używając dwóch wcieleń. Gdy stosuje pierwsze, które już znałem, wtedy poszukuje życia i poprzez wybawianie od chorób, oczyszcza je. Natomiast gdy wykorzystuje drugie, uważa samo życie za chorobę i poszukuje środków, by usuwać tę dolegliwość. Jak na ironię, czyni to za pomocą tego, co w swym pierwszym wcieleniu uważa za śmiertelną chorobę. W obu tych przypadkach służyłem jej jako apostoł. Jak wyglądała, gdy ją zobaczyłeś?

- Błękitna, zła i potężna. A także niezwykle piękna. Wydawała się naigrawać ze mnie, straszyć mnie...

- Gdzie jest teraz?

- Opełała dziewczynę, która znajdowała się całkiem niedaleko od nas. Właśnie zabiła człowieka.

- Och!

- Byłeś obiektem zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań.

- Tak, w pewnym stopniu byłem tego świadomy.

Niedaleko niebo rozdarła nagle błyskawica. Gdy echo grzmotu zamarło, Morwin powiedział:

- Być może miała rację.

- W czym?

- Że życie jest chorobą.

- Nie wiem. To nieważne. To znaczy, jest tylko jeden sposób spoglądania na rzeczy, nieważne, jaką dysponuje się mocą.

- Czy w taki właśnie sposób spoglądasz na rzeczy?

- Chyba tak. Ja... czciłem ją. Wierzyłem jej. I chyba dalej wierzę.

- Jak ramię?



- Boli jak diabli.
- Musiała zrobić jednak trochę dobrego.
- Chyba tak.

Błysnęło. Tym razem towarzyszący wyładowaniu grzmot był o wiele silniejszy. Na twarzach poczuli pierwsze krople deszczu.

- Wejźmy pod ten skalny nawis - zaproponował Morwin. - Inaczej zmokniemy.

Pomógł von Hymackowi podnieść się, otoczył jego plecy ramieniem i doprowadził rannego do pochylonych skałek.

- *Jest ich dwoje* - oznajmił nieoczekiwanie Shind. - *Zbliżają się ku sobie.*
- *Dwoje czego? O czym ty gadasz?*

Shind wydawał się nie słyszeć.

- *Są świadomi swej obecności - ciągnął dalej. - Muszę być bardzo ostrożny. Zraniła mnie... Dziwne, że przy pierwszym naszym spotkaniu od razu nie rozpoznałem tej jego cechy... Tak, teraz jest to dużo wyraźniejsze. W Sandowie jest także jakieś mgliste Coś.*

- *Sandow? On jest tutaj? Razem z Jackarą?*

- *Rozmawiają. Ona wciąż trzyma broń, ale on stoi zbyt daleko. Z tej odległości nie mogę powiedzieć, czy ona zdaje sobie sprawę z obecności w nim tej rzeczy. Zawołał ją po imieniu, co zwróciło na niego jej uwagę. Odpowiedziała. On mówi dalej. Nie wydaje się, że zechce strzelać, ponieważ jej ciekawość wzrasta. Rozmawiają w nieznanym mi języku, ale mogę uchwycić urywki ich myśli. On wydaje się ją znać, ale z jakiegoś innego miejsca... Zbliży się do niej. Pozdrowia w sposób, który wydaje się sprawiać jej przyjemność. Teraz mówi, że pogwałciła zasady, których nie rozumiem. Jest tym rozbawiona.*

Morwin usadowił von Hymacka na ziemi, opierając jego plecy o skałę. Sam usiadł tuż obok i zapatrzył się w szarość. Rozpadało się na dobre.

- *Mówi jej, że musi odejść - nie rozumiem jednak, dokąd ani jak... Śmieje się. To bolesny śmiech... Czeka, dopóki nie przestanie się śmiać i zaczyna mówić ponownie. Jakieś wyuczone frazesy, nic spontanicznego. Są zawile i rytmiczne, pełne paradoksów. Nie rozumiem ich. Ona słucha.*

- Heidel, ona w tej chwili jest z człowiekiem, który prawdopodobnie stara się ją powstrzymać. Nie wiem, co z tego wyniknie, ale właśnie na to czekamy. Jednak cokolwiek się stanie, nie mam pojęcia, co stanie się z tobą. Mój komandor, mój najlepszy przyjaciel nie żyje. Miał pewne plany, które już nigdy nie zostaną zrealizowane. Nigdy nie wzbudzały one mojego zachwyty. Niemniej jednak był on wielkim człowiekiem i być może mógłbym mu jeszcze pomóc, nawet po jego śmierci. A ciebie powinienem zabić, ponieważ byłeś śmiertelnie niebezpieczny.

Jednak cokolwiek...

- Prawdopodobnie zasługuję na wszystko, co mnie spotka.

- Lecz teraz widzę, że byłeś po prostu manipulowany. I to zarówno przez przypadki, jak i przez pasożytniczy, autonomiczny kompleks o paranormalnych możliwościach.

- Gładko powiedziane.

- Specjaliści od paranormalnych zdolności nachodzili mnie przez większą część mego życia. Jestem empatującym telekinetystą - cokolwiek to, u diabła, znaczy. Potrafię za pomocą siły umysłu przesuwac obiekty i potrafię sprawić, by niektóre obiekty wywoływały u ludzi specyficzne uczucia. Odłożmy terminologię na bok. Nie potępiam cię. Byłeś po prostu używany, a ja także byłem jednym z tych, którzy mieli w tym swój udział. Powiedz mi, czego teraz chcesz.

- Czego? Sam nie wiem... Umrzeć? Nie. Raczej odejść. Gdzieś daleko, w jakieś odizolowane miejsce. W tej chwili tego właśnie pragnę najbardziej. Nie byłem sobą przez tak długi czas, że ponownie chciałbym przyzwyczaić się do tego uczucia. Tak, chciałbym odejść...

- ... *Właśnie skończył. Ona nie jest już rozbawiona. Mówi coś ze złością... Grozi mu... Lecz ta rzecz w jej umyśle jest teraz bardzo blisko powierzchni. Jest to rzecz podobna do tej, którą wyczuwałem po raz pierwszy, gdy znajdowała się jeszcze w von Hymacku. Teraz on mówi o tej rzeczy, wymienia jakieś imię. Chyba Shimbo. Ona unosi pistolet...*

Otoczająca ich szarość rozdarta została nagłym błyskiem. Zagrzmiało. Morwin zerwał się na równe nogi.

- *Shind! Co się stało?*

- Co?... - zaczął von Hymack, rozglądając się dookoła z niepokojem.

Morwin osunął się z wolna na ziemię. Zagrzmiało ponownie, tym razem dudniący dźwięk wydawał się trwać i trwać.

- *Pomiędzy nich uderzył piorun - włączył się Shind. - Rzuciła broń, a on kopnął ją na bok. W tej chwili on nie jest już tylko sobą. Umysły ich obojga są jedynie opakowaniami. Są w pewien sposób pokrewni sobie i zachodzi pomiędzy nimi wymiana dziwnej energii. Wydaje mi się, że jeszcze raz nalega, aby odeszła. Ona broni się twierdząc, że to dla niej krzywdzące. Czuję jednak, że się boi. On replikuje. Ona coś robi... Teraz on jest zły. Ponownie mówi jej, by odeszła. Ona zaczyna się klócić. Przerywa jej pytając, czy zechciałaby zamienić rozmowę na pojedynek.*

Grzmot niespodziewanie ucichł. Wiatr zamarł, a deszcz przestał padać. Zawieś/ona w powietrzu mgła stała się nieruchoma.

- *Nic nie wyczuwam* - powiedział Shind. - *Zupełnie, jakby zamienili się w parę posągów.*

- *Shind, gdzie teraz jesteś? Fizycznie?*

- *Jestem całkiem niedaleko od nich. Idę w ich - stronę od chwili, kiedy otrząsnąłem się z*

szoku. Miałem nadzieję, iż będzie tam coś, co mógłbym zrobić. W tej chwili jest to już tylko kwestia ciekawości. Znajduję się w odległości zaledwie ćwierć mili od was.

- Czy wchodziłeś ostatnio w umysł von Hymacka?

- Tak. Jest wciąż w stanie depresji. Bezbronny...

Co z nim teraz zrobimy?

- Poszukiwacze podchodzą coraz bliżej. Proponuję, byśmy po prostu pozwolili im go odnaleźć.

- Sądysz, że go skrzywdzą?

- Trudno powiedzieć. Grupa, którą wyczuwam, podchodzi do tych poszukiwań chłodno i beznamiętnie, chociaż jest w niej kilku niezrównoważonych... Poczekaj! Ponownie się poruszają! Ona podnosi ramię i zaczyna mówić. On także zaczyna gestykulować i powtarza za nią wszystko, cokolwiek ona powie. Teraz...

Miał wrażenie, że eksplodujące w ognistym rozbłysku niebo spada prosto na niego. Grzmot pioruna był silniejszy od wszystkiego, co słyszał w życiu. Gdy powróciły rozdygotane zmysły, stwierdził, że pada deszcz, a z przygryzionych warg spływa krew.

- Co to było. Shind? - zapytał.

Odpowiedziała mu cisza.

Odwrócił się w stronę von Hymacka.

- Heidel, zbliżają się ku nam grupy poszukiwawcze - powiedział. - Chcą cię odnaleźć, by położyć kres epidemiom.

- Nie będzie już żadnych epidemii. Czuję, że się zmieniam. Już nie stanowią dla nikogo niebezpieczeństwa.

- Ponieważ na razie tylko ty jesteś o tym przekonany, bez wątpienia będą chcieli cię pojmać. Sądę, że doktor Pels ma wiele wspólnego z tymi poszukiwaniami. Z pewnością będzie chciał poddać cię kwarantannie i przebadać. Być może izolacja taka byłaby dla ciebie najlepsza.

- Najlepsza?

- Myślę o tych ludziach, którzy cię szukają. Być może niektórzy z nich stracili krewnych, przyjaciół...

- Chyba masz rację. Masz jeszcze jakieś sugestie prócz tej?

- Jeszcze nie. Gdybyśmy tylko wiedzieli...

- Wydaje mi się, że sprawa została już rozstrzygnięta - oświadczył Shind.

- W jaki sposób?

- Tego nie wiem. Oboje są nieprzytomni.

- Czy są ranni?

- *Wydaje się, że to forma psychicznego szoku, więc nie mogę być pewny. Być może powinieneś tu przyjść. Jackara może cię potrzebować.*

- *Masz rację. Jak mam cię odnaleźć?*

- *Otwórz umysł i pozwól, bym cię prowadził.*

- *Tylko nie prowadź zbyt szybko. Heidel ledwo trzyma się na nogach.*

- *Do czego go potrzebujemy?*

- *Do niczego. On potrzebuje nas.*

- *Dobrze więc. Chodź.*

- *Ruszamy, Heidel - powiedział głośno. - Już czas.*

Wstali i okrywając się wspólnie jednym poncho, ruszyli poprzez mgłę i deszcz przed siebie.

Po dotarciu na miejsce Morwin ujrzał Shinda stojącego nieruchomo obok klęczącego Sandowa. Mężczyzna trzymał Jackarę za rękę, drugim ramieniem opasując jej plecy.

- *Czy wszystko z nią w porządku? - zapytał z niepokojem Morwin.*

Sandow spojrzał na Shinda, a dopiero potem na Morwina.

- *Fizycznie tak - odparł.*

Morwin puścił von Hymacka, który opadł ciężko na skałę.

- *Daj to temu człowiekowi - powiedział Sandow.*

- *Co takiego?*

- *Cygaro. Marzy o nim.*

- *Ach, tak. Jak poważnie...*

- *Obaj mamy dostęp do jej myśli - oświadczył Shind. - Ponownie stała się dzieckiem, tym razem odrobinę szczęśliwszym.*

- *Ale jak to jest poważne?*

- *Spróbuj się przekonać, czy cię rozpozna.*

- *Jackara? - zapytał. - Jak się czujesz? To ja, John. Czy wszystko w porządku?*

Odwróciła głowę i spojrzała prosto na niego. Potem uśmiechnęła się.

- *Jak się czujesz? - ponowił pytanie.*

- *Przeżyła szok - powiedział Shind.*

Wyciągnął dłoń. Dziewczyna odwróciła wzrok.

- *To ja, John. Poczekaj!*

Sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet. Podrzucił je w górę. Zawirowały, utworzyły elipsę i tuż przed dziewczyną zaczęły tańczyć, poruszając się coraz szybciej i szybciej. Podniosła wzrok i przez chwilę wpatrywała się w nie bez słowa. Uśmiechnęła się.

Poczuł, jak pomiędzy jego ściągniętymi brwiami zaczynają się zbierać kropelki potu.

- Czy to rekord? - zapytała nagle dziewczyna. Monety zadrżały i spadły na ziemię.

- Nie wiem, nie liczyłem. Ale chyba tak. Pamiętasz.

- ... Tak. Zrób to jeszcze raz, John.

Monety ponownie zawirowały w swym migotliwym tańcu.

- A czy pa...

*- Nie zmuszaj jej, by sobie cokolwiek przypominała. Chce pozostać oszołomiona. Nie chce niczego pamiętać. Ułatw jej to.*

Utrzymał monety w ruchu, jedynie od czasu do czasu rzucając na nią szybkie spojrzenia, by sprawdzić, czy wciąż się uśmiecha. Wciągnął w nozdrza zapach dymu cygara Heideła i nagle wyczuł w swym umyśle obecność Sandowa.

- ... *To tym ją właśnie uderzyłeś* - powiedział. - *Teraz rozumiem...*

Gdy dotarła do niego pełna implikacja tej myśli, monety ponownie spadły na ziemię.

- Nie! - wykrzyknął. - Tylko mi nie mów, że bogini zawładnęła Jackara, ponieważ uderzyłem w nią swoim umysłem! Ja...

*Nie* - odparł Sandow - *być może odrobinę za szybko. Nie. Dziewczyna była idealną osobowością, istniała także więź... - ... stworzona przeze mnie - wtrącił Shind.*

*- To wszystko było zupełnie nieświadome - ciągnął dalej Sandow. - I niech tak pozostanie. Ona nie potrzebuje zewnętrznego bodźca do takiego transferu. A życie i tak jest wystarczająco bolesne, by ktoś musiał rozglądać się w poszukiwaniu dodatkowej winy. Pamiętaj o tym.*

- Zrób to jeszcze raz - powiedziała cichutko Jackara.

- Później. - Sandow pomógł dziewczynie wstać. - Weź go za rękę. - Umieścił jej dłoń w dłoni Morwina. - Shind mówi mi, że grupy poszukiwawcze są już coraz bliżej. Ma rację. Nie chcę być w to wszystko zamieszany. Jeżeli podzielacie mój punkt widzenia, możecie odejść stąd razem ze mną. - Odwrócił się. - Rozumiem, że tak. Chodźmy więc. Mój statek czeka niedaleko.

- Poczekaj.

- Co się stało?

- Komandor - powiedział Morwin. - Malacar. Gdzie on jest?

- Za tymi skałami. Jakies pięćdziesiąt stóp stąd. Poszukiwacze wkrótce go odnajdą. Nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

Lecz Morwin odwrócił się i ruszył we wskazanym kierunku.

- Nie pokazywałbym jej tego! Zatrzymał się.

- Chyba masz rację. A więc zabierz ją i idź stąd. Ja muszę spojrzeć na niego po raz ostatni.

- Poczekajmy.

*- Poszukiwacze są już bardzo blisko!*

- Wiem.

Burza ponownie przybrała na sile, przesuając się na szczęście na południowy zachód.

- Dziękuję za cygaro... sir.

- Frank. Nazywaj mnie po prostu Frank.

- *Będzie wyglądało, jakby dokonano tutaj morderstwa.*

- *Nie będzie to pierwsze nierozwiązane morderstwo w historii.*

- *Gdy go zidentyfikują... powstanie dużo nieprzyjemnego smrodu. Wiem. Pomyśl o tych wszystkich pogłoskach. Morderstwo polityczne. Byłby zadowolony, wiedząc, iż poprzez swoją śmierć tutaj uczyni dla DYNAB więcej, niż udało mu się osiągnąć od czasów wojny.*

- *Jak to?*

- *Pod koniec sesji odbędzie się głosowanie nad przyznaniem statusu Ligi. Nastroje wywołane jego śmiercią okazać się mogą bardzo w tym pomocne. Był kiedyś niezwykle popularnym człowiekiem. Bohaterem.*

- *Był już zmęczony i stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Byłoby to szczytem ironii...*

- *Właśnie. Przywrócenie Ziemi pierwotnego charakteru, jako części DYNAB, także byłoby pewną korzyścią. Przez kilka lat nie będę mógł się zabrać do tej pracy, ale przez ten czas uda mi się wszystko odpowiednio spopularyzować. Także umowy handlowe, które negocjuję już od dłuższego czasu, będą się musiały przedostać do wiadomości publicznej.*

- *Zatem prawdą jest to wszystko, co o tobie mówią.*

- *Co takiego?*

- *Nieważne. Co stanie się z von Hymackiem?*

- *Wszystko zależy od niego. Dopilnuję jednak, by przede wszystkim porozmawiał z Pelsem. Jeżeli zechce, może udać się do kliniki na Homefree, a Pels, orbitując dookoła planety, może do woli konferować z personelem. Jest jednym z niewielu, którzy wiedzą, co tu się w rzeczywistości wydarzyło. Taka klinika może dla niego być najlepszym miejscem - przynajmniej do zakończenia głosowania, I jeszcze... Ja także urodziłem się na Ziemi. Dawno temu.*

- ... Miękki - powiedziała Jackara nachylając się, by pogłaskać Shinda.

- *I ciepły - zgodził się z nią Shind. - Przydaję się w taką pogodę, jak ta. Sądzę, że John wraca. Dlaczego mu nie powiesz, dokąd chcesz się teraz udać?*

Jackara spojrzała na zbliżającą się wolno postać.

- John! - wykrzyknęła. - Zabierz mnie z powrotem do zamku z ognistą fosą. Na Ziemię.

Morwin ujął jej dłonie w swoje i skinął głową.

- Chodźmy - powiedział.

## 6.

Pewnego dnia nadeszła wiosna, pełna zieleni i brązu, miękka, wilgotna i ciepła. Niebo zaroilo się ptactwem wyśpiewującym swe zgiełkliwe trele. Liście były chłodne i słone od morza, które toczyło swe fale, tak jak czyniło to pięć tysięcy lat temu. Kiedy szli, głęboko pod ich stopami płonęły ujarzmione ognie, a oni wędrowali pośród drzew, przemierzali pola i zielone wzgórza.

Idąc poprzez świat swych pragnień, pomyślał o Pelsie, myślał bowiem o muzyce, niewidocznej, ulotnej, konsekwentnej w obrębie własnej logiki. Nie wracał już myślami do Francisa Sandowa, Heidela von Hymacka czy nawet Komandora. Zamiast tego powiedział jedynie: "co za piękny dzień" i rzeczywiście tak było; chmura na niebie, wiewiórka na gałęzi, dziewczyna, wszystko to dawało tak wiele, dawało wszystko.